

Nr 5 (270). Rok XXIV. MAJ 2018 r.

www.slaskgtl.pl

WYDAWCA:  
GÓRNOŚLĄSKIE TOWARZYSTWO  
LITERACKIE W KATOWICACHWSPÓLWYDAWCA:  
BIBLIOTEKA ŚLĄSKATADEUSZ SIERNY  
Redaktor naczelnyANDRZEJ JARCZEWSKI  
Zastępca naczelnego redaktoraMARIAN KISIEL  
Zastępca naczelnego redaktoraTOMASZ BIENEK  
Sekretarz redakcjiMARIA KORUSIEWICZ  
LiteraturaLAURA RYNDAK  
Korekta

Stali współpracownicy:

EWA BARTOS,  
MAGDALENA DZIADEK,  
RYSZARD JASNORZEWSKI,  
WIESŁAWA KONOPELSKA,  
JAN MIODEK,  
KATARZYNA NIESPOREK,  
JERZY PASZEK,  
HENRYK SZCZEPAŃSKI,  
JOANNA WAROŃSKA,  
JANUSZ IRENEUSZ WÓJCIKADRES REDAKCJI:  
40-036 Katowice, ul. J. Ligonia 7  
e-mail: redakcjaslask@onet.plDTP: STP „KorGraf”  
40-081 Katowice, ul. Dąbrówki 15/12  
tel. 32 354-09-88, 32 781-06-48  
e-mail: korgraf@korgraf.com.plDruk: Zakład Poligraficzny Moś i Luczak Sp.j.  
ul. Piwna 1, 61-065 Poznań  
tel. 61 633 71 65Materiałów nie zamówionych nie zwracamy.  
Redakcja zastrzega sobie prawo skrótów, poprawek  
i zmian tytułów w tekstach przyjętych do druku  
oraz skracanie korespondencji.Wydawca nie przewiduje honorariów  
za publikowane materiały prasowe.

Warunki prenumeraty: poprzez Oddziały i Delegatury „RUCHU” – na terenie całego kraju. Bezpośrednio – w Wydawnictwie Naukowym „Śląsk” 40-036 Katowice, ul. Ligonia 7, p. 120. Wpłaty należy dokonywać na konto:

GTL – redakcja miesięcznika „Śląsk”  
BGŻ BNP Paribas o/Katowice  
08 2030 0045 1110 0000 0407 9490Prenumerata roczna – 84 zł, półroczna – 42 zł,  
kwartalna – 21 zł. Pismo w prenumeracie jest dostarczane pod wskazany adres bez dodatkowych opłat.Prenumerata zagraniczna: poprzez Dział RUCH S.A.  
Infolinia 0800 120 029. Tel. +48 022 532-87-31  
www.ruch.com.plCena egzemplarza – 7 zł (w tym 5% VAT)  
ISSN: 1425-3917 Nr indeksu: 33328XCzasopismo  
„Śląsk. Miesięcznik społeczno-kulturalny”  
jest dostępne w wersji elektronicznej  
w ŚLĄSKIEJ BIBLIOTECE CYFROWEJ

## W NUMERZE:

## PUBLICYSTYKA

2. *Tadeusz Sierny* OD REDAKTORA
10. *Andrzej Jarczewski* ŻYCIE LITERACKIE W STANIE WOJENNYM
14. *Grażyna Barbara Szewczyk* LITERACKA OBECNOŚĆ JANA GOCZOŁA
28. *Piotr Zaczekowski* MÓJ TRANSTRÖMER: Z LISTÓW DO LEONARDA NEUGERA
40. *Jerzy Paszek* PORTRETY MISTRZÓW: PROFESOR JAN JAKÓBCZYK
50. *Julia Montewska* STRASZNY DWÓR W WOJCZYCACH
52. *Andrzej Jarczewski* DEMOGRAFICZNE PRZESILENIE
56. *Maciej Kijowski* W HOLDZIE WIELKIM MUZYKOM W 65. ROCZNICĘ ŚMIERCI
58. BLASK ARCYDZIEŁ *Jerzy Paszek* BLASK MONACHOMACHII
73. *Elżbieta Dutka* TOŻSAMOŚĆ I MITOLOGIA „CZŁOWIEKA GÓR” O TWÓRCZOŚCI MICHAŁA JAGIELŁY
76. *Jan Malicki* HUGONA KOŁŁATAJA RĘKOPIS DOMOWY
78. *Ryszard Latusek* KODY QR, OKULARY VR, DŁUGOPISY 3D – DLA CZYTELNIKA W BIBLIOTECE
82. *Wiesława Konopelska* KIEDY ROZBARK W DUSZY GRA

## PLASTYKA, MALARSTWO, FOTOGRAFIA

32. *Maciej Lintner* MALARSTWO
68. *Anna Lorenc* W STRONĘ CENTRUM
69. GALERIA: ANNA LORENC – FOTOGRAFIA
88. *Tomasz Markiewka* FOTOGRAFIA

## POEZJA I PROZA

3. WIERSZ NA OTWARCIE *Robert Hass* JESIEŃ
14. *Robert Hass* WIERSZE (przełożyła *Maria Korusiewicz*)
16. *Anna Węgrzyniak* KORESPONDENCJE. O POEZJI MARII KORUSIEWICZ
19. *Włodzimierz Paźniewski* CZEKAJĄC NA BARBARZYŃCÓW
22. *Tadeusz Sławek* HDT – NA SKRAJU. ESEJ NA GŁOS I KONTRABAS
36. *Michał Wroński* SNY OBIECANE
42. *Jack Kulpa* BOOJUM CREEK (przełożył *Henryk Cierniak*)

## FELIETONY

35. ŚLĄSKA OJCZYZNA POLSZCZYŻNA. *Jan Miodek* I ZBYTE, ZBYCHU!
39. ROK OLIMPIJSKI. *Ryszard Jasnorzewski* KTÓREGO DNIA?
55. MIĘDZY NUTAMI. *Magdalena Dziadek*

## KSIĄŻKI

60. *Grzegorz Supady* RASSENSCHANDE CZY MIŁOŚĆ NIEZNAJĄCA GRANIC
62. *Renata Dampc-Jarosz* TRUDNE MIŁOŚCI
63. *Katarzyna Frąckowiak* MIŁOŚĆ W STANIE ROZKŁADU
64. *Stefan Zabierowski* Z RÓŻNYCH STRON LITERATURY
66. *Jan Miodek* CZŁOWIEK INSTYTUCJA
67. KSIĄŻKI NADEŚLANE

## Z ŻYCIA BIBLIOTEK

80. *Agnieszka Kosmala* RZEŚIŚCIE, ANCYMONEK I PRAŻYNKA, CZYLI MÓW DO MNIE PIĘKNIE

## NOTATNIK KULTURALNY

84. CZĘSTOCHOWA. KATOWICE.

WEWNĄTRZ NUMERU TAKŻE: *Maria Korusiewicz, Bogna Skwara, Tomasz Markiewka*Na okładce: *Kinga Waluszewska-Maciuszkiewicz „My V”, 2012 (olej, płótno).*Pismo wspierane  
finansowo przez:Projekt objęty  
mecenatem  
MIASTA KATOWICEKATOWICE  
dla odmianyMinisterstwo  
Kultury  
i Dziedzictwa  
Narodowego.

Śląskie.

## Od Redaktora!

Kwiecień i maj to miesiące, w których kalendarz przypomina o kulturze, literaturze, polityce, nauce, w tym m.in. o tym, że:

– 135 lat temu zmarł w maju 1883 roku C.K. Norwid, minęła 115 rocznica urodzin Benjamina Spocka, propagatora *beztresowego wychowania dzieci*, 90 lat temu odbyła się premiera pierwszego filmu animowanego z *Myszka Miki*, a 75 lat temu ukazało się pierwsze wydanie *Małego księcia*, i 50 lat temu w 1968 roku pokazano premierę filmu *2001, Odyseja kosmiczna*;

– przed 670 laty założono w Pradze, pierwszy w *Europie Środkowej Uniwersytet Karola IV*, 565 lat temu 29 maja 1453 roku wojska sułtana Mehmeda II *zdobyły Konstantynopol*, w 1753 roku urodził się F.K. Achard, odkrywca sposobu uzyskiwania *cukru z buraków*, 115 lat temu urodził się G.G. Pincus wynalazca *pigułki antykoncepcyjnej*, 85 lat temu 10 maja 1933 roku w 22 miastach niemieckich odbyło się manifestacyjne *palenie przez hitlerowców nieniemieckich książek*, a w 1943 roku urodził się Jerzy Perzanowski twórca słowa *kognitywistyka*, w 1983 roku odkryto retrowirus *HIV* odpowiedzialny za zakażenie *AIDS*, zaledwie 15 lat temu (2003) ogłoszono zakończenie projektu poznania *genomu ludzkiego*;

– 520 lat temu w maju 1498 roku wykonano egzekucję na mnichu *Savonaroli*, przed 145 laty urodził się *Wojciech Korfanty*; przed 85 laty prezydent USA F.D. Roosevelt zniósł trwającą *od 13 lat prohibicję*, 40 lat temu (1978) w Gdańsku powstał *Komitet Założycielski Wolnych Związków Zawodowych Wybrzeża*, 25 lat temu w 1993 roku na sztandary Wojska Polskiego wprowadzono dewizę *„Bóg, Honor, Ojczyzna”*, 20 lat temu wszedł w życie *kankordat* zawarty pomiędzy Stolicą Apostolską i RP, także w tym roku podpisano tzw. *Traktat Ateński*, na mocy którego m.in. *Polska* weszła do Unii Europejskiej; 12 lat temu zmarł Aleksan-

der Zinowjew twórca terminu *homo sovieticus*.

Drugiego kwietnia skromnie obchodziliśmy **Międzynarodowy Dzień Książki dla Dzieci**, 23 kwietnia **Międzynarodowy Dzień Książki i Praw Autorskich**, w maju – 8 maja świętowano **Dzień Bibliotekarza**, 18 maja **Międzynarodowy Dzień Muzeów**, 29 maja przypada **Dzień Działacza Kultury**, no i na koniec 31 maja **Światowy Dzień Rozwoju Kultury**.

Majowe bogactwo świąt i rocznic nie-mych, zapomnianych, ignorowanych. Może nikomu już niepotrzebnych. Nie ma komu ich świętować. A przecież lubimy demonstrować przywiązanie do miłych naszemu sercu i intelektowi wartości.

W historii Katowic, Śląska – poza znakomitymi instytucjami kultury typu: muzea, teatry, filharmonia i in. – jest wiele miejsc, które zapisały się w pamięci kolejnych pokoleń jako swoiste centra życia kulturalnego. Miały swoje chwile chwwały kluby, by przypomnieć tylko: *Akant* (Teatralna 9), *Kwadraty* (Franciszkańska 10), *Marchoń* (Warszawska 37), *Medyk* (Medyków 12 A), *Straszny Dwór* (Studentka 19), *Gołębnik* (Wita Stwosza). Twórców kiedyś można było spotkać w restauracji *Domu Prasy Śląskiej* (Rynek 11), restauracji *Monopol* na ul. Dworcowej, w *Tatianie* i wielu innych „prztylnych” miejscach spotkań artystów, pisarzy, dziennikarzy. Muzycy dorobili się *„Szlaku Śląskiego Blusa”*, literaci bezpowrotnie stracili swój *„Dom Literatury”*. Architekci, fotograficy, graficy, aktorzy mają swoje ulubione stowarzyszeniowe lub środowiskowe „zakątki”. W Gliwicach, Sosnowcu, Bytomiu, Siemianowicach Śl., Mikołowie, Rybniku i innych miastach naszej Metropolii aktywnie działają ośrodki integrujące twórców kultury.

Środowiska twórcze najczęściej postzegane są przez pryzmat ich obyczajowych skandali, ekscentrycznych zachowań gastronomicznych, ekstrawagancji, konsternacji wywołanych niekonwencjonalnymi wypowiedziami lub – oby, jak najczęściej – budzącymi zainteresowanie publiczności efektami ich twórczości. Te zjawiska (poza twórczością), to warstwa zasłaniająca istotne struktury każdego środowiska twórców. Oczywiście by mogło funkcjonować takie środowisko, wa-

runkiem sine qua non jego trwania jest obecność w nim aktywnych twórców (pisarzy, malarzy, muzyków itp.), ale drugim równie istotnym warunkiem jest równoczesne **istnienie zorganizowanych grup społeczności odbiorców**: czytelników, słuchaczy, widzów itp., itd. Odbiorcom winny służyć liczne instytucje edukacyjne (szkoły, uczelnie), komunikacyjne (wydawnictwa, prasa, radio telewizja), informacyjne (krytycy, recenzenci, agencje promocyjne), dystrybucyjne (np. księgarnie, hurtownie), pośredniczące (biblioteki, muzea dyscyplin sztuki), instytucje promujące wśród odbiorców dorobek twórczy (nagrody, stypendia, swoiste wyróżnienia za twórczość), stowarzyszenia odbiorców i twórców z własnymi hierarchiami nagród, wartości estetycznych i prestiżów środowiskowych. Wszystkie te podmioty – winny **współpracować** ze sobą i **rozumną władzą samorządową i administracją państwową**. Tylko długotrwała, konsekwentna współpraca tych trzech elementów struktury społecznej (twórców, instytucji odbiorców i samorządów) – może w konsekwencji doprowadzić do trwałych zmian i wzbogacenia kapitału kulturowego całej społeczności. Przeciwnieństwem tak rozumianej konstrukcji środowiska twórczego jest merkantylność – niestety, dominująca dziś koncepcja – oparta wyłącznie na strukturze rynkowej. Nasz region jest bogaty w liczną rzeszę twórców, kompetencje kulturowe „konsumentów” są wysokie. Paradoks sytuacji polega na tym, że poza instytucjami rynkowymi (przemysłami kultury) ze struktury społecznej wypadły owe niezbędne instytucje pośredniczące – zostawiając „konsumenta” sam na sam z bogatą ofertą rynkową, lecz nie zawsze kulturową. Poza kiermaszami i akcjami promocyjnymi rynek nie pamięta o rocznicach lub uroczystych dniach. To środowiska twórców kreują pamięć zbiorową i jej treść. Dlatego tak ważna jest tradycja, pamięć i trwanie instytucji kultury oraz wszystkich tych elementów, które kreują środowiska: twórców i odbiorców ich dzieł.

TADEUSZ SIERNY

Piątego maja w Jastrzębiu Zdroju w kopalni „Zofiówka” na głębokości 990 metrów nastąpił silny wstrząs podziemny w wyniku którego, ze złoża uwolniony został metan. Życie jedenastu górników było zagrożone. Akcja ratownicza, w której zaangażowanych było blisko 2,5 tysiąca osób trwała 11 dni. Po raz kolejny natura, przyroda pokazała swą bezwzględnie niszczycielską moc silniejszą od naszej ludzkiej mądrości, solidarności, odwagi i poświęcenia.

**W wyniku wstrząsu w kopalni śmierć poniosło pięciu górników.**

*Rodzinom i bliskim zmarłych górników,  
wszystkim pogrążonym w żałobie składamy w tych trudnych chwilach  
głębokie wyrazy współczucia.*

Zarząd GTL i Redakcja miesięcznika „Śląsk”

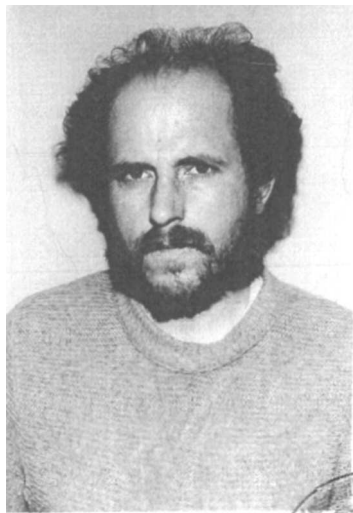
## JESIEŃ

Miłośnicy grzybów, zbieraliśmy je  
tuż przy strzępiastych kępach eukaliptusów,  
pachnących kamforą i nawilgłą od mgły ziemią.  
Pieprzniki, purchawki, kurki –  
dusiliśmy je w winie lub na maśle,  
w cieście czy w śmietanie,  
niepewni, czy  
nie zginiemy przez pomyłkę. – Wzmózona potliwość –  
powiedziałaś późną nocą  
cytując przerażający przewodnik grzybiarza,  
kiedy leżeliśmy zaplątani w pościel i nasze własne ciężkie członki,

– to pierwszy symptom zatrucia.

Przyjaciele mówili na nasze pachnące grzyby  
„kochane ropuchomorki” i jedli tylko te, po których  
najoczywieściej nie umarliśmy.  
W tamtych dniach śmierć  
wstrząsnęła nami nie raz i odpływając w przeszłość,  
wydawała się życiem. Wilgotni jak ziemia, śliscy,  
dryfowaliśmy ku imionom rzeczy.  
Krażki zarodników zaśmiecały nasz stół  
jak niespokojne gwiazdy. Z butwiejących kapeluszy  
unosił się piżmowy zapach łu.

**Robert Hass**, ur. w 1941 w San Francisco, jeden z największych współczesnych poetów amerykańskich, laureat wielu nagród literackich, w tym nagrody Pulitzera oraz National Book Critics Circle Award. W latach 1995-7 był mianowany Poetą Laureatem Stanów Zjednoczonych. Zajmuje się również przekładem, między innymi tłumaczył na język angielski utwory Czesława Miłosza. Zamieszczone tu wiersze pochodzą z wyboru wierszy Hassa *Skrzydlate i ciemne* opublikowanego przez wydawnictwo Znak.



# Życie literackie w stanie wojennym

ANDRZEJ JARCZEWSKI

Pojęciem „życie literackie” obejmujemy zwykle pewien mit, który znamy raczej z opowieści. Kwitło ponoć takie życie przed pierwszą i drugą wojną w wielkim świecie i jeszcze jakoś egzystowało w PRL. Polegało na tym, że w salonach lub w wybranych kawiarniach spotykali się ludzie pióra, dyskutowali o aktualnych ideach, dopuszczali do stolika wielbicieli, którzy stawiali trunki, następnie dochodziły „okołoliteraturne żenszczyzny” i męczono się lub bawiono do rana. Taki obraz, wyniesiony z lektury *Próchna* Wacława Berenta i z wielu XIX-wiecznych powieści rosyjskich czy francuskich utrwalił się do tego stopnia, że niejeden pisarz życzyłby sobie odtworzenia dawnego mitu w III RP. A to jest niemożliwe, bo... o literaturze już się nie dyskutuje. O literatach – owszem.

Opowiem więc o tym, jak naprawdę wyglądało życie literackie w prowincjonalnym mieście śląskim w czasach stanu wojennego: zero kawiarni, zero trunków i zero wielbicielek. Było jednak coś, czego próżno szukać dzisiaj: wysoki stan ducha.

## Pierwsze ulotki

W Gliwicach pierwsze ulotki „ant wojenne” pojawiły się już 13 grudnia 1981. Proste hasła, składano za pomocą zabawkowej drukarenki dziecięcej. Ci, którzy się do tej działalności zorganizowali, decydowali o rozwoju późniejszej konspiracji, ale było to dalekie od jakkolwiek rozumianej literatury; zasługuje na opis, ale może przy innej okazji. Tu przypomnę maso-

wy – w pierwszych dniach stanu wojennego – wysyp wierszy, nawiązujących początkowo do znanych wzorów poetyckich. Powstawały utwory o różnej wartości literackiej, zawsze jednak wyrażające te same, powszechne i niewymagające dalszych wyjaśnień uczucia. Proza przyszła później.

Młodzieży trzeba dziś przypomnieć, że internet istniał wtedy tylko w powieściach *science fiction*. Byliśmy całkowicie pozbawieni możliwości legalnej publikacji czegokolwiek. W czasach Pierwszej „Solidarności” ukazywało się wprawdzie mnóstwo czasopism związkowych, ale 13 grudnia zostało to zakazane pod karą wieloletniego więzienia.

Pierwszy redaktor konspiracyjnego Biuletynu II Garnituru Gliwickiego „Solidarności” – Bogusław Choina – został aresztowany już 17 grudnia 1981. Za 5-dniową działalność, polegającą na wydrukowaniu jednej ulotki w nakładzie kilkuset egzemplarzy Sąd Wojskowy ekspresowo skazał go na 5 lat za kratami. To nie były żarty. Po wyroku na doktora Choinę wszyscy wiedzieli, co za to grozi.

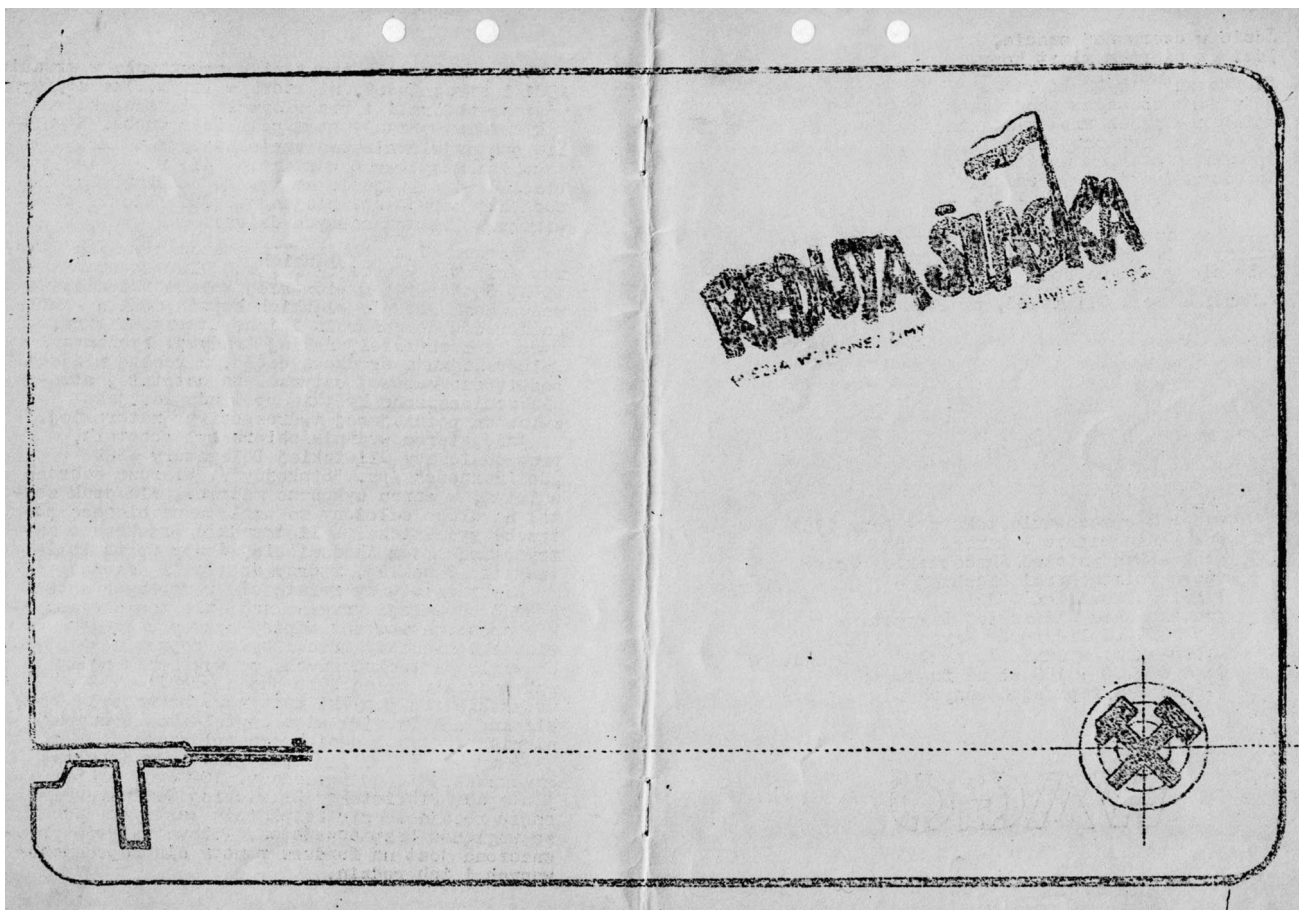
## Zalążki konspiracyj

Piszę to z punktu widzenia uczestnika wydarzeń literackich i politycznych, wpłatanego w konspirę absurdalnie przypadkowo. Otóż w roku 1981 moim sąsiadem był pracownik Politechniki Śląskiej, Andrzej Zamojski, internowany najzupełniej niesłusznie, chyba przez pomyłkę lub wskutek nadgorliwości bezpieczeństwa. Należał wprawdzie do KPN i do „Solidarności”, ale nie był aktywnym działaczem. Trudno zgadnąć, co zdecydowało o wsadzeniu za kraty niewinnego człowieka.

Działacz, nie działacz, ale gość siedzi. Natychmiast więc uruchamia się spontaniczna pomoc społeczna dla jego – pozostawionej bez środków do życia – żony i dzieci. Akurat mieszkałem najbliżej, więc może po dwóch dniach dostałem pierwsze patriotyczne zadanie: dokończyć naprawę grzejnika gazowego, rozgrzebanego przez internowanego sąsiada. Zanim skończyłem, w mieszkaniu Zamojskiego pojawił się zaprzyjaźniony z nim Tadeusz Drzazgowski, który właśnie wyrastał na szefa całej gliwickiej i okolicznej konspiracyj. Ale ja o tym jeszcze nic nie wiedziałem.

Wcześniej, podczas Karnawału Solidarności, byłem redaktorem tygodnika „Informator NSZZ *Solidarność* Politechniki Śląskiej”. Miałem więc jakieś dziennikarskie doświadczenie. Coś powiedziałem na temat swoich publikacji i to nagle zainteresowało Drzazgowskiego, robotnika z Gliwickiego Przedsiębiorstwa Budownictwa Węglowego. Okazało się, że dysponował on już matrycami białkowymi, papierem i umiejętnością druku w warunkach konspira-





cyjnych, o czym ja nie miałem pojęcia. Idealnie uzupełnialiśmy więc swoje braki i utworzyliśmy mocny zespół, ale – gdyby nie internowanie sąsiada – nie spotkalibyśmy się nigdy.

### O „Reducie Śląska”

16 grudnia 1981 – na wieść o strzelaniu do górników na „Wujku” – cały Śląsk oniemiał. Przez chwilę trudno było pozbierać myśli. Nawet nie dlatego, że komuniści strzelają do ludzi. Ale że... do górników! Rozstrzelano długo budowany mit, że górnik jest kimś świętym, czymś – dla ówczesnej władzy – najcenniejszym. Tego nie można było zostawić bez odzewu. Ale co tu robić? Naprawdę byliśmy bezbronni i bezradni.

Pierwsze, co w takiej sytuacji przychodzi do głowy dziennikarzowi, to: sporządzić możliwie solidny reportaż, zebrać świadectwa i dowody, spisać „czyny i rozmowy”.

Politechnikę zamknięto, więc miałem wolne. Wprowadzono wtedy dodatkową szykanę w postaci zezwoleń na przejazd między miastami. To był koncept do tego stopnia sowiecki, że nikt, nawet Milicja Obywatelska, tego nie przestrzegła. Wybrałem się więc następnego dnia z rana na miejsce tragedii. Niestety – już na dobry kilometr przed kopalnią legitymowano przechodniów. Nie dało się dojść za blisko. Zaczynam rozmawiać z ludźmi, ale każdy prezentu-

je inną wersję. Na reportaż to się nie nadawało. Zresztą i tak nie było gdzie publikować. Musiałem więc zrezygnować z reportażu, zwłaszcza że „Wolna Europa” podawała sporo informacji w sposób, który pozwalał przypuszczać, że ktoś porządnie dokumentował przebieg wypadków.

Jednak w głowie aż mi huczało od zasłyszanych opowieści. Przypomniałem sobie wtedy podtytuł „Reduty Orzona”: „Opowiadanie adiutanta”. W drodze do domu (30 km w pięć godzin czterema autobusami) zaczęło się to układać w sensowną całość. Reportażu nie będzie, ale – poprzez nawiązanie do znanego literackiego tropu – możliwe jest zebranie tych opowieści w pełniejszy opis nie tyle faktograficzny, co emocjonalny. Musi to być poemat! Wiersz niezbyt regularny i podtytuł z góry usprawiedliwiający niedokładność opisu, której już wtedy byłem świadom, bo kolejne informacje o tym samym wydarzeniu różniły się w każdym niemal szczególe. Będą to więc „Opowiadania górników”, a tytuł całego poematu narzucał się sam: „Reduta Śląska” (ze „Śląskiem” pisany wielką literą, bo to jest nazwa własna, rzeczownik w dopełniaczu, nie przymiotnik). Wiersz zaczął się tym razem od tytułu, a raczej – od podtytułu.

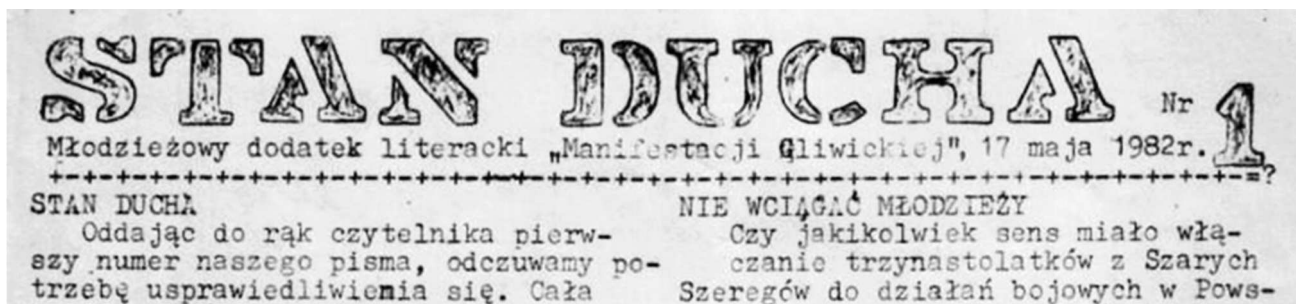
Nie byłem wyjątkiem w przywoływaniu powszechnie znanych lektur szkolnych. Wiele wierszy, pisanych w pierw-

szych dniach stanu wojennego, nawiązywało tytułem, rytmem czy jakąś frazą do wielkiej poezji patriotycznej. Bardziej wyrafinowane, oryginalne utwory powstawały nieco później, gdy ostygło pierwsze wzburzenie.

### Zbieramy wiersze

Pokazałem Drzazgowskiemu „Redutę Śląska”. Zdziwiło mnie, że ten robotnik od razu zaczął czytać mój rękopis, a nawet poczynił pewne uwagi i zdecydował: „drukujemy!”. Musimy tylko zebrać więcej utworów. Wiedzieliśmy, że te wiersze powstają, że są już powielane w różnych biuletynach, że jest tego sporo. Ostatecznie – do końca stycznia 1982 – skompletowaliśmy tomik poezji wojennej zimy, zawierający 47 wierszy różnych autorów.

Wszystkie te utwory przygotowałem do druku w lutym 1982, okładkę zaprojektował Krystian Stangel, przepisywaniem na matryce białkowe zajęła się Iwona Tarnawska, a drukiem – Wydawnictwo Akademickiej Grupy Oporu Politechniki Śląskiej (WAGO) w składzie: Jarosław Cyrankiewicz, Henryk Metz, Krzysztof Cegielski i Piotr Jankowski. Rozprowadzaniem tysięcznego nakładu (po 200 zł za egz.) zajęły się struktury kolportażu, rozbudowane tymczasem przez Drzazgowskiego, a pieniądze zasilili fundusz wsparcia rodzin internowanych i aresztowanych. W podobny



sposób – rok później – rozchodził się (przepisywany przez Annę Dubińską i ozdobiony rysunkami Witolda Gabryśia) zbiór opowiadań pt. „Stan Ducha”, a to jest jeszcze ciekawsza historia.

### Nadrobić epokę literacką

Gdy zmienia się polityczny kontekst, niektóre nasze drobne decyzje skutkują nieoczekiwanymi konsekwencjami. Warto przypomnieć, że w roku 1981 kwitła literatura publicystyczna, ale nie – artystyczna. Okazało się, że mamy do czytelniczego nadrobienia całą epokę twórczości emigracyjnej i sporo tekstów, pisanych w PRL „do szuflady”. Ważniejsze więc od pisania było wówczas zorganizowanie sieci bibliotek z literaturą drugiego obiegu, czyli z takimi książkami, które były w PRL zakazane. Władza miała wtedy inne sprawy na głowie i nie ścięła kolportażu dzieł „bezdebitowych”, wydawanych poza cenzurą.

Przypadek, a może brak polonistów na Politechnice sprawił, że niejako na uboczu innych spraw zająłem się katalogowaniem i porządkowaniem niewielkiego zbioru kilkudziesięciu broszur i książek, które nieznanymi mi drogami trafiły do uczelnianej Komisji Zakładowej *Solidarności*.

Szybko jednak księgozbiór zaczął rosnąć. Ludzie przynosili książki, inni je wypożyczali. Zaczęło to działać prawie jak normalna biblioteka. Ostatni miesiąc przed wprowadzeniem stanu wojennego upłynął w Polsce pod znakiem wielkiego strajku studenckiego, który objął również Politechnikę Śląską. Nasza – licząca już kilkaset tomów – biblioteczka okazała się nagle bardzo potrzebna studentom, którzy pierwszy raz w życiu musieli „bezczyinnie” przetrwać wiele dni i nocy w murach uczelni.

### Skazany na konspirę

W niedzielę 13 grudnia 1981 zebrał się Senat Politechniki Śląskiej, który (bezprawnie, ale przytomnie) zarządził zakończenie strajku i ewakuację wszystkich budynków uczelnianych. Co ciekawe – wielu studentów jakoś mnie odnalazło i próbowało oddać wypożyczone książki. Stwierdziłem jednak, że w nowych okolicznościach pozosta-

wienie księgozbioru na uczelni oznaczałoby utratę szczególnie od tej chwili cennych pozycji.

Ktoś wpadł na pomysł, by ewakuować całą bibliotekę do oddalonego o półtora kilometra klasztoru o.o. Redemptorystów w Gliwicach. Wszyscy studenci mieli plecaki, ponadto władze uczelni wynegocjowały z komendantem Milicji Obywatelskiej, że wracający ze strajku studenci nie będą zatrzymywani. Te okoliczności umożliwiły nam zapakowanie książek do plecaków i przeniesienie ich – małymi grupkami – do klasztoru. Na półkach pozostały tylko takie pozycje, które można było kupić legalnie. Nie wiem, kto nosił te książki. Nie pytałem o nazwiska. To nie był moment na sporządzanie spisów. Wydawało mi się, że tych studentów widziałem wtedy pierwszy i ostatni raz w życiu.

Szybko się jednak okazało, że byłem w błędzie. Wprawdzie ja sam mam ogromne trudności z zapamiętywaniem twarzy, to jednak dla niejednego studenta stałem się na tyle rozpoznawalny, że – natychmiast po wznowieniu zajęć w połowie stycznia 1982 – niektórzy z nich odnaleźli mnie na Wydziale Automatyki i zaczęli śmiało rozmawiać o tym, że „coś” trzeba zrobić. Tylko nikt nie wiedział, czym owo „coś” ma być. Cel był oczywisty: rozwalić komunę. Ale jak? Konkretnie!

Nie mam temperamentu rewolucjonisty i nie przygotowywałem się nigdy do roli organizatora podziemnych sieci. To sytuacja mnie do tego zmusiła i wiele drobnych przypadków. Byłem jedynym polonistą na Politechnice Śląskiej, dysponującym – dzięki Drzazgowskiemu – możliwością druku i rozległą siecią kolportażu. Zostałem więc – wcale tego nie pragnąc – skazany na konspirę. Musiałem zająć się redagowaniem gazетки Akademickiej Grupy Oporu *AGO*, ponadto: głównego biuletynu lokalnej konspiracy *Manifestacja Gliwicka* i pisemka młodzieżowego *Stan Ducha*, wychodzącego w roku 1982 jako dodatek literacki *Manifestacji*.

### Stan Ducha

Życie literackie układało się najciekawiej w grupie licealistów, którzy też chcieli „coś” robić i też nie wiedzieli co.

Niektórzy najchętniej by się prali z zomowcami na manifestacjach, ale ktoś przytomny już po pierwszej manifestacji (3 Maja 1982) sformułował ważne przesłanie: „**Koledzy, nie rzucajmy kamieniami. Słowa są cięższe od kamieni. Piszmy!**”. Zostało to natychmiast zaakceptowane w tej grupie, szybko zaowocowało licznymi tekstami i wymagało stworzenia gazetki.

Moje zadanie polegało na opracowaniu „instrukcji bezpieczeństwa” dla licealistów, czyli takiego systemu, by nawet w razie wpadki, nie można było nikomu udowodnić autorstwa tekstu ani udziału w większym kolportażu. Wiedzieliśmy już, że posiadanie jednej, a później nawet kilku ulotek nie było karane. Groźne były tylko ilości hurtowe, a do hurtu młodzież nie była dopuszczana. Główną rolę w tym systemie pełniła „śluz”, czyli osoba, która przyjmowała od uczniów ich dzieła, przepisywała je w specjalny sposób, następnie dostarczała mi swoje rękopisy, a oryginały paliła w piecu, by po całej tej działalności nie pozostały ślady inne niż gotowe druki. Było to niby bardzo pracochłonne, ale na szczęście nigdy nie brakowało osób, które przede wszystkim chciały być pomocne i wykonywały bez szemrania czynności, do których były zdolne, choć niekiedy wymagało to poświęcenia i czasu, i własnych pieniędzy.

Skutek taki, że ja zostałem całkowicie przez „śluzę” odcięty od autorów, których fascynujące życiorysy poznałem dopiero po 30 latach na pierwszym zjeździe „Stanu Ducha”. Z kolei autorzy byli odcięci od drukarni i kolportażu, choć na swoje potrzeby otrzymywali – zupełnie inną drogą – niewielki plik egzemplarzy.

Ow wspomniany „specjalny” sposób sporządzania rękopisu polegał na takim pisaniu na papierze kratkowanym, by w każdej kratce mieściła się dokładnie jedna litera, kropka lub spacja. To od razu dawało wyobrażenie, ile miejsca zajmie tekst na stronie maszynopisu i studziło zbyt rozentuzjasmowane pióra. Ustaliłem 4.444 jako nieprzekraczalną liczbę znaków na jedno opowiadanie, bo tyle mieściło się na jednej matrycy. W tym reżimie powstały mikroopowiadania, którymi na następnych stronach zamykam tę część wspomnień o życiu literackim stanu wojen-



nego. *Sinus* został opublikowany w pierwszym numerze „Stanu Ducha”, *Kreda* w drugim itd.

### Sen o szpadzie

Znacznie dokładniej opisuję zasygnalizowane zagadnienia w powieści pt. *Selma*, wydanej kilka lat temu w ramach Biblioteki Encyklopedii Solidarności. A teraz dopowiem tylko, dlaczego to jest powieść, a nie dzieło historyczne, reportaż czy wspomnienia. Otóż autorzy *Stanu Ducha* wciąż nie chcą się ujawniać! I wcale nie chodzi tu o politykę, ale o... młodość. O miłość! A ta – nawet jeżeli zostałeś ofiarą seryjnej gwałcicielki – pozostaje święta.

Wszystkie opowiadania publikowane w *Stanie Ducha* (17 tekstów) są oparte na autentycznych wydarzeniach. Ale nie można było niczego opisywać dokładnie, bo bezpieka szybko doszłaby po nitce do kłębka. Autorzy mieli więc obowiązek przyjąć pseudonimy i szyfrować wszystko tak, żeby nie dało się rozpoznać miejsc ani osób. A ja to jeszcze w ostatecznej redakcji tak przekształcałem, by zamazać jakiegokolwiek ślady. Gdyby pod tym względem próbować rozszyfrować np. „Sinusa” (nast. strona), należałoby zacząć od poznanego przeze mnie po 30 latach faktu, że „dyrektor”... była kobietą.

Nasze codzienne życie w realu stanu wojennego wyglądało dość blado. Przypuszczam, że takie dialogi, jakie przeczytamy w *Kredzie*, nie mogły być wtedy wypowiedziane głośno w żadnej szkole. Ale w każdej były wypowiadane cicho, choćby tylko w marzeniach o własnej odwadze. I to właśnie było celem *Stanu Ducha*: nie opisywać faktów wprost, ale drobne incydenty wzmacniać poznana w szkole literaturą, nawiązywać do lektur, przepuścić przez Sofoklesa, Słowackiego i Żeromskiego, a choćby przez Amicisa i Rodziewiczówną. Uczestniczymy w ten sposób w wielopokoleniowych obrotach polskiej myśli niepodległościowej i na każdym kroku zaświadczaamy, że jeśli nawet nasze czyny są mizerne, to jednak duch jest potężny, niezłomny, dumny i... hm... a jeśli nawet całkiem durny, to co?

Przez trzydzieści lat niejednokrotnie zabierałem się do opisanego fenomenu *Stanu Ducha*. Niestety, całej prawdy nikt by mi nie wybaczył, a półprawd nie chciałem kolportować. Nie mogąc jednak – z przyczyn czysto biologicznych – odkładać opisu na przyszłość zbyt odległą, musiałem opracować jakieś niezagrożone linczem rozwiązanie. Za bohaterów powieści przyjąłem więc nie konkretne osoby, ale ich autokreacje w „Stanie Ducha” i kontynuowałem opowieść tym samym szyfrem, który uchronił nas przed dekonspiracją w stanie wojennym.

Główne zasady BHP w podziemiu brzmią tak: „1. Nie wydasz tego, czego nie wiesz. 2. Staraj się wiedzieć o innych jak najmniej!”. Narrator wszechwiedzący został na mocy tych zasad wykluczony. Bo – gdyby wpadł – mógłby wszystko wyśpiewać. Każdy bohater „Selmy” śpiewa więc własnym głosem. Czas oceni i artystyczną metodę, i jej rezultaty. Przykłady tekstów, publikowanych w latach 1982/83 – na następnych stronach.

### KREDA

Na dobrą sprawę można powiedzieć, że cała klasa jest w konspiracji. Oczywiście mało kto robi coś konkretnego, ale wszyscy, nawet dziewczyny, przynoszą bibułę na wymianę. Każdy ma też obowiązek od czasu do czasu skombinować kawałek kredy i przekazać to potem, komu trzeba. Wiadomo, wakacje za pasem i przyda się rezerwa, bo w razie czego... może zabraknąć kredy. Składamy więc kredę, farby, pędzle, papier, tusz i co się da. Wyjątkiem jest Komin, który do niczego nie należy z powodu choroby. Codziennie straszy, że jutro umrze, kpi ze wszystkiego i stale wycina takie nume-

**Stawiamy poprzeczkę powyżej talentów.  
Tam – jeśli nie dzieło – niech zamiar doleci!**

ry, że jedni zrywają boki, a innym cierpienie skóra.

Feralnego dnia, gdyśmy przechodzili do gabinetu biologicznego, zauważyłem piramidkę kredy na parapecie portierni. Niezła porcja. Od razu wydało mi się to podejrzane, bo ostatnio kredę dostają tylko nauczyciele, a wyjątkowo – po sztuce – dyżurni. Poza tym od rana kręcił się po korytarzach jakiś człowiek, który zdecydowanie wyglądał na smutnego pana. Ale chłopców zawiodły nerwy...

Z jednej strony Bryk z Długim zaczęli się niby bić, a z drugiej – Maciek, obstawiony szczerle przez dziewczyny, korzystając z zamieszania, zwinął całą piramidkę. Porozumieli się mrugnięciem oka, więc nie było czasu na zastanowienie. Z pewnością nikt nie widział, jak zniknęła kreda, ale przecież, oprócz nas, nie przechodziła tamtędy żadna klasa! Wystarczyło dosłownie chwili i do gabinetu biologicznego wkroczył promienny dyro w asyście smutnego. Zablefował od razu.

– Wiemy, kto ukradł kredę! Jeżeli złodziej przyniósł się w ciągu dwóch minut – nie będzie żadnych konsekwencji. No, proszę...

Dyrektor spojrzął na zegarek i z triumfalną miną zaczął spacerować po gabinecie, przyglądając się zaskoczonym uczniom. Smutny stanął przed ga-

blotą tyłem do klasy i z wielką uwagą studiował kościec człowieka. Minuta minęła spokojnie, nikt chyba za bardzo się nie bał. Tymczasem smutas znużył się kościotrupem, odwrócił się i burknął niby do siebie.

– No, za minutkę zajrzemy do teczek.

Zerknąłem na Maćka. To go zmroziło. Nie wiedział przecież, kto jakie ulotki ma w tornistrze, a było oczywiste, że rewizja przyniesie efekty apokaliptyczne. Nie znajdzie się tylko kreda, którą Maciek przeczornie ukrył w modelu czaszki, leżącym obok studiowanej przez smutnego gabloty. Nie spojrzałem już na winowajcę, ale wyobrażałem sobie, co w jego bladej czaszce teraz dzieć się musi.

– Jeszcze piętnaście sekund – wesoło oznajmił dyrektor – jeszcze dziesięć, dziewięć – coraz weselej – osiem, siedem...

No tak, nasza klasa została namierzona. Pułapka. Maciek drgnął. Teraz wstanie, chociaż w tzw. „ładne konsekwencje”, znając dyrektora, na pewno nie wierzy. Szybszy był jednak Komin. Wyminął smutnego i podniósł czaszkę ze stołu.

– Zdrajca! – chciałem krzyknąć, ale zabrakło mi głosu.

Komin już wchodził na podest, nadał się i – łącząc sceny z różnych aktów – z tragikomicznym patosem zaczął najslawniejszy monolog świata.

– *To be, or not to be: that is the kreda! Whether 'tis nobler in the mind to suffer...* – Komin

otworzył czaszkę i wysypał kredę na katedrę. Przedstawienie przerwał jednak smutny:

– No i mamy ptaszka – wycedził.

– Macie – odparł Komin – ale bez żadnych konsekwencji. Słowo dyrektora rzecz święta, a ja w święte rzeczy wierzę tak, jak w słowo dyrektora. *The slings and arrows of outrageous fortune, or to take arms against a sea of troubles, and by opposing...*

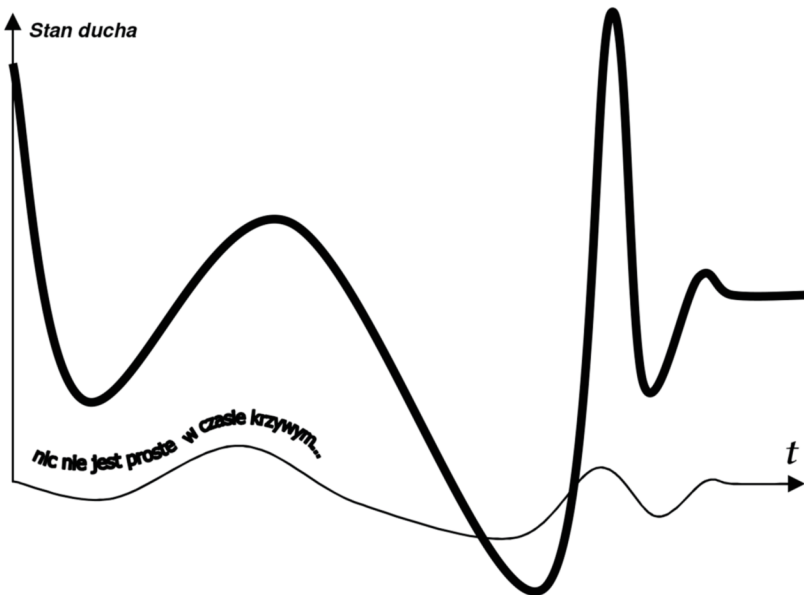
– Ty, Habalski, co to znowu za kpiny? – niepewnie pogroził dyrektor, który nie słynął ze znajomości angielskiego.

– To nie są, panie dyrektorze, kpiny. Jak mają być konsekwencje, to proszę: chowam kredę do czaszki, a ten pan niech szuka jej w teczkach. *And by opposing end them? To die...*

Bezczelność Kominarza tak zaskoczyła dyrektora, że ten ostatecznie stracił kontenans i już całkiem mętnie zapytał.

– Habalski, dlaczego ty kradniesz kredę?

– Kradniesz, zaraz kradniesz. Takie słowa... Wie pan dyrektor, jak się robi szpachlówkę do trumny? Bierze się klej kostny, sproszkowaną kredę, trochę wody, miesza się, grzeje i już można szpachlować. A jak trumna dobrze wyszpachlowana, to aż przyjemnie się



położyć. Sprawdzone. Trenuję te rzeczy, bo mogliby mnie położyć bez przymiar-ki. *To sleep no more...*

– Habalski, co ty wygadujesz? – Dyro był bliski rozpacz.

– Szczera prawdę, panie dyrektorze, znajomy trumniarz naprawdę tak robi szpachłówkę. Teraz spodziewa się większego urodzaju na nieboszczyków, bo ludzie się chętnie... chowają. Poza tym – Kominiarz wręczył czaszkę smutnemu – radzę nosić to przy sobie, bo w razie czego może braknąć... kredy?

Sam

## SIEDEM ARGUMENTÓW

Rodzice początkowo udawali, że nie widzą mojej działalności w redakcji. Nawet gdy raz wróciłem po godzinie milicyjnej z rękawem usmarowanym farbą, wystarczyło usprawiedliwienie, że „gdzieś musiało być świeżo malowane”.

W pierwszym wojennym półroczu, zwłaszcza w maju i czerwcu ogólny stan ducha był niezły. Ojciec na pewno otrzymywał skądś bibułę; mama chyba w swoim instytucie zbierała związkowe składki, ale przede mną to ukrywała i unikała niebezpiecznych rozmów.

Zaczęła się poważnie niepokoić dopiero w sierpniu, gdy kilka razy wpadli do mnie Robert z Kreślarem i inni. Wiedziała, że ojciec Roberta był 13 grudnia internowany. Niepotrzebnie dodałem, że Kreślarz pracuje na politechnice.

– Politechnika, wiadomo... już ja wiem, czym to pachnie...

Prawdziwy strach sparaliżował mamę 31 sierpnia na wieść o internowaniu Roberta i o moim udziale w manifestacji i w mszy u Piotra i Pawła,

po której odbyło się gazowanie miasta i łapanki na ulicach. Wyszedłem z tego cało, ale do sąsiada z góry zomowcy wstrzelili petardę, a pod naszym oknem pałowali na przystanku zupełnie przypadkowych przechodniów.

Pech chciał, że akurat w środę pierwszego września skończyłem 17 lat. Ciężki to był dzień w domu. Mama, zaraz po przyjeździe z biura wyrecytowała tekst, nad którym pracowała pewnie w myślach od rana.

– Po pierwsze, jesteś teraz dorosły w świetle prawa karnego, więc dostaniesz za TO co najmniej siedem lat. Po drugie, nie jesteś jeszcze na własnym utrzymaniu. Po trzecie, jesteś jeszcze za młody, żeby się w TO wciągać... itd., itp.

Słuchałem smętnie, wiedząc, że musi to dojść do siedmiu, jak zwykle w takich razach.

– Po siódme, już dosyć się narażałeś! Teraz czas na innych.

O dyskusji nie było mowy. Koniec i kropka. Niech inni walczą, bo niektórzy się boją. Niech inni działają, bo zomowiec komuś się śni po nocach. Niech inni pracują, bo na mnie jest specjalny paragraf...

Na próżno, Maćku, pisałeś o rekrutach WRON-y. Twoje argumenty nie docierają do sterroryzowanego społeczeństwa. Na próżno, Adamie, pokazałeś, jak bezpieka wciąga nawet przedszkolaków.

Mi nie wolno się wciągać, bo jestem już za stary i jeszcze za młody. Niech walczą inni...

Bosman

## SINUS

Najbardziej baliśmy się Sinusa. Przychodził zawsze siedemnaście sekund po dzwonku. Odległość z pokoju na-

uczycielskiego do naszej klasy mierzył nie w metrach, lecz w sekundach i nie mylił się nigdy. Tym razem Sinus się spóźnił. Siedzieliśmy zadowoleni; narzeczcie i jego stoperek nawalił! Po chwili nastrój poprawił się do tego stopnia, że zaczęliśmy rozrabiać prawie normalnie, a strach przed zapowiedzianą klasówką wyparował gdzieś pod sufit. W drugiej minucie było już pewne, że coś musiało się stać i Sinus w ogóle nie przyjdzie. Może się trafi jakieś niegroźne zastępstwo?

I rzeczywiście. Po kwadransie, zgodnie ze swoją maksymą: *piękne Polki przychodzą ostatnie* – w drzwiach z tyłu klasy pojawiła się Bona w całej okazałości. Odetchnęliśmy. Z historii prawie wszyscy mieli piątki, bo pytała na każdej lekcji kolejnych dwóch według dziennika i zawsze było wiadomo kto, kiedy, które pół rozdziału musi umieć na pamięć. Poza podręcznik nie wychodziło się nigdy. Bona z wdziękiem przeciskała się między stolikami, a my powoli zabieraliśmy się do gry w okręty. Ale nie... Do klasy wszedł jakiś majorek, zaraz za nim dyro, czyli znowu lekcja wychowania „obywatelskiego”? Procesję zamykał sarmacki wąs Sinusa.

Zagał dyro w słowach wielce podniosłych, Bona przydawała majestatu na krześle, a Sinus, zgarbiony jak pół logarytmu, stał ponury pod oknem. Majorek streścił parę dzienników, potępił Trzeciomałowe manifestacje, przejechał się po ekstremie, zganiał i pochwalił, zaciemnił i wyjaśnił, aż w końcu zaczął opowiadać o luksusie, w jaki opływają kuracjusze miejsc odosobnienia. Przechadzając się po klasie między rzędami, major perorował z takim zapałem, że nie zauważył, jak z drugiej ławki wysunęła się Hanka Hoczyk, podeszła szybko do tablicy i napisała: PAN MAJOR... KŁAMIE? Wróciła na miejsce, ale zaraz dopadł ją dyrektor.

– Co to znaczy! Zetrzyj to natychmiast!!

Hanka stała, patrząc w podłogę. Chciała coś powiedzieć i nie mogła wydobyć głosu. Dyrektor, posiniały z wściekłości, krzyczał w kółko.

– Zetrzyj to zaraz, bo wezwę rodziców! To jest obraza polskiego wojska!!

Bona siedziała z otwartymi ustami, Sinus nerwowo gryzł wąsa, dyrektor poczerwiał, wrzeszczał i machał rękami, a Hanka stała coraz bledsza. Pierwszy oprzytomniał major, dobrze widąc zaprawiony w bojach z uczniami. Przynął się do Hanki i powiedział słodko.

– Zetrzyj to, panienko, polski oficer nigdy nie kłamie.

Dyrektor odstąpił na chwilę i czekał w napięciu. Majorowi rzedł niepewny uśmiezek, cisza stawała się coraz cięższa. Niespodziewanie z czwartej ławki wstał Jurek Lesznicki i zapytał spokojnie.

– Czy pan major był w jakimś obozie dla internowanych?



Oficerek zrobił niewyraźną minę, a Jurek, nie czekając, wyjaśnił.

– Ojciec naszej koleżanki był w więzieniu w Zaborzu. Obecnie jest w szpitalu. Ona wie dobrze, jak tam wygląda naprawdę.

Dyrektor rozjuszyl się nie na żarty.

– Siadaj gówniarzu! – I zaraz do Hanki:

– Zetrzesz to, albo wywalę cię ze szkoły na zbity pysk!

Ale ona stała, jak wmurowana.

– Wynocha!!!

Nie poskutkowało. Dyrektor szalał. Wydawało się, że porwie ją zaraz za włosy i wywlecze z klasy. W tym momencie Jurek wyszedł z ławki i powiedział dobitnie:

– Chodźmy, Aniu, pan dyrektor wyrzuci nas ze szkoły.

Widać było, jak Hanka mocuje się z sobą. Bała się ruszyć, by nie wypłynęły łzy, które już w nadmiarze cisnęły się do oczu. Wszyscy trwali w bezruchu dłuższą chwilę, tylko Sinus pod oknem drgnął i zaczął zbliżać się do tych dwojga krokami tak powolnymi, jakby odmierzał nie metry, lecz godziny. Wstrzymaliśmy oddech. Sinus stanął nad nimi, wyprostował się jakoś sztucznie i głosem, którego nikt z jego srogich ust jeszcze nie słyszał, powiedział:

– Chodźmy, dzieci. Pan dyrektor usuwa nas ze szkoły.

Hanka przestała panować nad sobą. Wybiegła z klasy, zostawiając książki na ławce. Jurek dogonił ją dopiero za drzwiami. Tylko Sinus szedł między rzędami powoli, odmierzając starannie swoje ostatnie metry w naszej szkole. Gdy przechodził obok mnie, wyprostowany, z oczyma utkwionymi w przestrzeż, wstałem bezwiednie, jakby to był nie nauczyciel, lecz kapłan, wracający od ołtarza... Rozejrzałem się po klasie – stali wszyscy. I wszyscy wyszli za nim tak, jak wychodzi się po słowach:

– Idźcie, oto ofiara spełniona.

*Sam*

## PODWÓJNA SKŁADKA

Niełatwo matematykowi znaleźć pracę w roku 1982, a w maju i czerwcu było to obiektywnie niemożliwe. Sinusa nie chciano przyjąć do żadnej szkoły średniej nawet od września. Prawdopodobnie było to związane nie tyle z szykanami, co raczej z ogólnym stanem państwa. Sinus pracował w liceum dwa lata, a sytuacja zmieniła się diametralnie. W roku 1980 po trzech telefonach zyskał trzy propozycje, a teraz – po miesiącu chodzenia i dzwonienia – zero.

Po prostu nauczyciele, żeby wyżyć, muszą pracować na półtora etatu i dyrektorzy starają się utrzymywać minimalny stan zatrudnienia. W szkołach podstawowych jest już znacznie lepiej,

ale chyba tam Sinus nie szukał zatrudnienia; z małymi dziećmi nie czułby się dobrze. W końcu trafił do Huty Jednego Maja, gdzie na mizernej posadce doskonalił się w ambitnej sztuce sumowania słupków.

Więcej szczegółów nie znam, gdyż Sinus jest wyjątkowo małomówny w sprawach dotyczących jego pracy. Nie wiem też, dlaczego znalazł się on po południu 11 listopada w pobliżu ulicy Zwycięstwa. Niewykluczone, że zwyczajnie wracał z huty do domu Aleja Przyjaźni Polsko-Zdradzieckiej i chętnie zgadzam się z tą tezą, gdyż był on zdecydowanym przeciwnikiem zbiorowych akcji, stanowiących rację istnienia ZOMO.

Sinus, który pierwszy kwartał stanu wojennego przesiedział jednak w obozie internowanych, a młodość spędził na wywózce w ZSRR, uważał, że powinniśmy manifestować swój stan ducha na każdym kroku. Gdyby taka utopijna akcja przybrała powszechny charakter, wówczas utwierdzilibyśmy wzajemnie swe postawy niezłomne, a komuna, niezdolna do uruchomienia bijącego serca partii, musiałaby związać manatki.

Nie wdając się więc w domysły co do intencji Sinusa 11 listopada, ograniczę się tylko do podania faktów, które on sam ujawnił. Otóż tego dnia powrót do domu wydłużyli Sinusowi jednolicie ubrani gentlemani z maskami gazowymi u boku; dnia następnego uiszczył on w Kolegium złotych dwadzieścia tysięcy, dzięki czemu pozostał wprawdzie na wolności, ale znów pożegnał się z pracą. Wiadomość lotem błyskawicy obiegła szkołę, a nasza klasa, która czuła się z Sinusem szczególnie związana, postanowiła zrobić składkę i zwrócić mu poniesione koszty. Tę niemałą sumę w tajemnicy przed rodzicami zebraliśmy w ciągu tygodnia. Okazało się jednak, że nie ma odważnego, który by poszedł do Sinusa z pieniędzmi. Wyruszyliśmy więc znów całą klasą. Rozmowa dotyczyła różnych tematów, ale cel naszej wizyty tkwił gdzieś w czwartym wymiarze i nie mogliśmy tam trafić żadnym ogródkiem.

Dużo było narzekania na całą generację naszych rodziców, których dzieciństwo przypadło na lata wojny, a młodość na czasy stalinowskie. Zastraszone, zetempowskie, stracone pokolenie. Pierwsze, które już nie pamiętało Niepodległej i ostatnie, które jeszcze nie pragnęło Samorządnej. Przeciwnie poglądy wyrażała tylko Kagatka, której tak zazdrościliśmy rodzinnego spaceru na manifestacji 31 sierpnia. Poparł ją Sinus.

– Jakże wy krzywdzicie to zabiegane pokolenie. Znam z tej generacji osoby, które są bardziej aktywne od was. Nie malują wprawdzie po murach, ale cała wielka akcja pomocowa to właśnie ich dzieło.

Po chwili dodał:

– Parę dni temu przyszła tu pani z Komitetu Rodzicielskiego i zmusiła mnie do przyjęcia dwudziestu tysięcy.

– Jak to – wyrwało się komuś – i Pan Profesor od nich przyjął??

– A ty byś odrzucił? To by było dla nich bardziej przykre, niż dla mnie przyjęcie tych pieniędzy, z których zresztą zrobimy zaraz odpowiedni użytek. A poza tym nie miałem nic do gadania. Ta pani przygwozdziła mnie argumentami wręcz nie do odparcia. Po pierwsze, że dla nich to jest jedyna możliwa forma działania; po drugie, że mają związkowe składki członkowskie, które i tak na te cele regularnie wydają; po trzecie, że szybko pracy nie znajduję; po czwarte itede.

– Zaraz, zaraz – zawołałem podniecony – ile było tych argumentów? Może... siedem?

– Siedem, kolego – odparł zdziwiony Sinus – po szóste było, zdaje się, że jedni się narażają, inni płacą, a znów po siódme, że ci walczą, tamci opatrują rany i tak już musi być... To wyglądało jak przygotowany, dobrze odegrany monodram... ale, ale: skąd wiesz, że siedem?

Zrobiło mi się gorąco, więc zapytałem dla pewności:

– Czy... czy ta pani może miała silne szkła w ciemnej oprawie?

– Owszem – przytaknął Sinus – szczupła szatynka w takich właśnie okularach. Ale dlaczego tak wypytujesz? To są niebezpieczne pytania.

Klasa patrzyła na mnie z zaciekawieniem, a ja z dumą, jakiej jeszcze w życiu nie przyszło mi zaznać, odpowiedziałem:

– To była... moja matka.

*Bosman*

## ILUSTRACJE

1. Andrzej Jarczewski. Zdjęcie wykonane w Areszcie Śledczym w Katowicach w 1985 r. (z archiwum IPN).
2. Okładka pierwszego wydania „Reduty Śląska” z r. 1982. Projekt: Krystian Stangel.
3. Winieta „Stanu Ducha” (numer 1 z r. 1982).
4. Wizja stanu społecznego ducha w stanie wojennym (niewielkie zmiany w realu wywołują wielkie zmiany emocji), rys. Andrzej Jarczewski.

## KATOWICKIE I OPOLSKIE DROGI



Jan Goczoł

# Literacka obecność Jana Goczoła

GRAŻYNA BARBARA SZEWCZYK

## Katowickie przyjaźnie

l ekroć przekraczam próg mojego domu, tylekroć towarzyszy mi postać Jana Goczoła uwiecznionego na zdjęciu z 1969 roku z grupą redaktorów katowickiego dwutygodnika „Poglądy”, w dość nietypowych pozycjach i ubraniach. Opolski poeta miał wtedy 35 lat – stoi do połowy obnażony między zastępcą naczelnego redaktora pisma, pisarzem Janem Pierzchłą a sekretarzem redakcji publicystą Stanisławem Wilczkiem i z podniesionym w górę kilofem przypomina zadowolonego z zakończonej dniówki robotnika. Zdjęcie to miało w zamiarze naczelnego redaktora pisma Wilhelma Szewczyka udokumentować „pracę społeczną” zespołu na zabudowywanej w niezwykle wolnym tempie działce, w rzeczywistości jednak poprzedzało rozmowę członków redakcyjnego kolegium o dalszych losach pisma. Inne związane z osobą J. Goczoła wspomnienia wpisane są w spotkania w latach siedemdziesiątych i osiemdziesiątych, kiedy poeta przyjeżdżał do Katowic i kiedy towarzyszyłam jego katowickim przyjaciółom Bolesławowi Luboszowi i Wilhelmowi Szewczykowi w drodze do Opola i Głogówka, gdzie organizowano literackie biesiady (np. Dni Rafała Urbana w Głogówku), a także do rodzinnego domu poety, Rozmierza. W *Księżce Gości* odnalazłam wpis Goczoła z 8 czerwca 1995 r., który jest śladem trwałych więzi łączących go ze środowiskiem katowickich literatów i który zachęca do wędrówki ścieżkami jego literackiego trudu: „W domu Wilhelma i Grażyny – znowu, po latach, z głębokim wzruszeniem, ze wszystkimi przejmującymi wspomnieniami, tu, gdzie ściśnięty oddech odzyskuje swobodę i życie” Jan Goczoł (Wiwat Katowice, Katowice 1995).

Kiedy pod koniec 1980 r. Jan Goczoł uhonorowany został plakietką katowickiego dwutygodnika kulturalnego „Poglądy”, redakcja pisma przypomniała nie tylko jego wybitne osiągnięcia w dziedzinie poezji – tom poetycki *Manuskrypt* z 1974 r. wyróżniony został Nagrodą im. Stanisława Piętaka – ale także zróżnicowaną tematycznie publicystykę, krótką prozę i działalność redakcyjną. „Przez wiele lat, czytamy we wprowadzającym szkicu, Jan Goczoł członkiem zespołu redakcyjnego „Poglądów”, przedstawicielem środowisk twórczych Opola, Ślązakiem, który zawsze podkreślał jedność kulturalną Śląska



zarówno w aspekcie historycznym jak i współczesnym”. Mimo, że od 1970 r. opolski twórca związał się pracą z ukazującym się w Opolu społeczno-kulturalnym miesięcznikiem „Opole” – kierował nim w latach 1975–1990 – jego kontakty z katowickimi pisarzami, malarzami i filmowcami, były nadal serdeczne i bliskie. Rekonstruując je i oceniając z perspektywy czasu, warto przyrzeć się różnym formom pisarskim „śląskiego Dziedzica” – taki sobie zyskał w gronie krytyków przydomek – w latach jego współpracy z „Poglądami”.

Jan Goczoł pojawia się na łamach „Poglądów” już w pierwszym jego numerze z 1962 r., publikując dla współczesnego odbiorcy frapujący reportaż o miasteczku powiatowym Koźlu, nazywanym w odróżnieniu od Kędzierzyna „małym Michałem” (*Taniec małego Michała*) i przygotowującym się do obchodów 800-lecia swojego istnienia. Autora interesuje przede wszystkim życie kulturalne miasta ujawniające się w ożywionym ruchu muzycznym i we wzrastającym czytelnictwie, swoją wiedzą dzieli się jednak w sposób, który dzisiaj zachęca do zagłębienia się w oryginalne, bogate pokłady języka przekazu. W tekście tym napisanym piórem docieklivego obserwatora i znawcy historii i teraźniejszości małej śląskiej społeczności, zwraca uwagę precyzja i staranność w doborze słów, dzięki czemu relację o Koźlu czyta się jak fabularną opowieść. Tekstów reporterskich Goczoła odnaleźć można w piśmie więcej (np. znakomity reportaż o dzielnicy Opola Nadodrze, opis podróży śląskiego pszczelarza Jana Dzierżonia, poetycki reportaż o Macedonii, zawierający także relację z sympozjum literackiego w Strudze, reportaż o Muzeum Czynu Powstańczego w Leśnicy czy gminie Koperniki na Opolszczyźnie), z czasem zaczyna regularnie nadsyłać swoje korespondencje z Opola podpisywane inicjałami J.G. (np. o dniach Opola, towarzystwach regionalnych, amatorskim ruchu teatralnym, artystach dnia siódmego, zabytkach Opolszczyzny, konkursach recytatorskich, rozpowszechnianiu książek, o Głogówku, Raciborzu i Ozimku, o propozycji zorganizowania Opolskich Dni Literatury, festiwalu Polskiej Piosenki, o rodzinnym domu Józefa Elsnera w Grodkowie, o stadninie koni w Mosznej czy dwóch konkurujących ze sobą ośrodkach telewizyjnych Katowic i Opola) i zmienia formę podawczą; staje się ona krótka, sprawoz-

dawcza i zawiera pointę felietonistyczną. Wszystkie zamieszczane na łamach „Poglądów” teksty opolskiego autora charakteryzują się autentyzmem wypowiedzi, wzbogacając wiedzę czytelnika o nie odnotowywane przez ówczesne fakty z przeszłości i współczesności regionu. Goczoł przybliży również postaci wybitnych współczesnych Opolan, prowadząc z nimi rozmowy (np. z dyrektorem Instytutu Śląskiego w Opolu, prof. Józefem Kokotem, z opolskim rzeźbiarzem, uczniem Xawerego Dunińskiego, Marianem Nowakiem, z dyrektorem Muzeum Śląska Opolskiego Tadeuszem Chróścielem) i przypominając sylwetki zasłużonych dla kultury Ślązaków, np. siedemnastowiecznego cieślę i budowniczego kościołów Marcina Snopka, wspomnianego Jana Dzierżonia, opolskiego pisarza Zbyszko Bednorza, malarza Krzysztofa Buckiego, społecznika Szymona Koszyka czy satyryka i wydawcy Stefana Chmielnickiego. Osobną grupę publikacji Goczoła w „Poglądach” stanowią jego wiersze, opowiadania i autobiograficzne zapiski (*Kartki*).

Jak bardzo ważnym narzędziem wypowiedzi był dla Goczoła upominające się o miejsce kultury Śląska, zwłaszcza Opola w Polsce, język, świadczy zamieszczony w połowie lat siedemdziesiątych artykuł pt. *Opolskie środowiska twórcze – miejsce i zasoby*. Warto zacytować kilka zdań, w których zawarta jest wnikliwa analiza osiągnięć twórczych przedstawicieli powojennego artystycznego środowiska opolskiego, przede wszystkim jednak ogląd ówczesnej sytuacji i próba syntezy. Goczoł w tonie stanowczym protestuje przeciwko coraz częściej stosowanemu ograniczeniu wydatków na kulturę i polityce kulturalnej kierującej się, jak pisze mechanizmami „gield i rynków”. Posługując się ironicznie pojęciem potrzeb i zasobów społecznych stara się zdiagnozować aktualny stan rzeczy i kieruje do czytelników apel o wsparcie dla opolskich twórców i dla swobody ich działań artystycznych. Przywołuje też „bogate i niezwykle dramatyczne złoza tradycji Opolszczyzny”, omawia dokonania literatów kilku pokoleń, Szymona Koszyka, Rafała Urbana, Zbyszko Bednorza, Ryszarda Hajduka, Niny Kracherowej, Alfonsa Niedworoka i wielu młodych poetów, które dowodzą ich „wrażliwości na znaczenie słowa” i są podobnie jak osiągnięcia artystyczne innych środowisk, np.

środowiska teatralnego ze swoimi protoplastami, Krystyną Skuszańką czy Jerzym Grotowskim, środowiska malarskiego czy muzycznego obecne w świadomości polskiego odbiorcy. Jego zamiarem, podkreśla, było zainicjowanie publicznej dyskusji o perspektywach kulturalnego rozwoju regionu i zasygnalizowanie tych „obszarów twórczych, których zza murów administracyjnej odrębności i samodzielności – na ogół się nie dostrzega, nie uświadamia sobie – z partykularnymi skutkami”.

Podsumowując niezwykle ciekawy, dynamiczny i wciąż nieopracowany rozdział w artystycznym życiu Jana Goczoła, który wypełniały jego kontakty ze społeczno-kulturalnym dwutygodnikiem katowickim, „Poglądy” i ze środowiskiem, artystycznym Katowic, warto wspomnieć o wypracowywanej w tamtych latach idei redagowania pisma ukazującego się na Śląsku i będącego periodykiem ogólnopolskim. Słowa Goczoła można dzisiaj odczytywać jako przesłanie do potomnych, upominających się o jeden silny region Śląska, bogaty w potencjał twórczy, otwarty na inność i transfer różnorodnych idei.

„Formuły idealnego czasopisma regionalnego (w rozumieniu – wzorcowego) zapewne nie ma i nie sądzę, by ktoś miał zamiar taką wymyślić. No i dobrze: historyczna i współczesna różnorodność poszczególnych regionów domaga się różnorodnego wyrazu. Zgoda, idzie o to, by te różnorodne i historyczne, i współczesne wartości kulturowe poszczególnych regionów, ewokowane na łamach regionalnych czasopism, weszły w ogólnonarodowy obieg społecznej samowiedzy. A dla takiego ich funkcjonowania istotny jest nie tyle zasięg czytelniczy (dystrybucja) poszczególnych tytułów, ile przyjęcie ponadregionalnie integrującego »kodu« kulturowego – intelektualnego, moralnego, estetycznego. Słowem, naczelnym zadaniem tego typu czasopism jest, w moim przekonaniu, konsekwentne – pośrednio i bezpośrednio – formułowanie ponadprovincialnych (również w sensie przekraczania czy łamania lokalno-partykularnych względów taktycznych czy towarzyskich) kryteriów i hierarchii wartości [...]. Śląsk, by pozostać przy współczesnej literaturze polskiej jest podobną rzeczywistością geograficzno-społeczną jak, powiedzmy Ziemia Kaliska z *Nocy i dni* Marii Dąbrowskiej [...], Ziemia Sandomierska z prozy Jarosława



Iwaszkiewicza, [...] Bieszczady z poematów Jerzego Harasymowicza. Dla mnie Śląsk jest samym środkiem świata. Także wtedy, gdy pisząc o nim nie wymieniam ani jednej nazwy miejscowej”.

### Hans Niekrawietz i Jan Goczoł

Dwaj opolscy poeci reprezentujący różne generacje i dwie różne narodowości, niemiecką i polską należą do grona najbardziej utalentowanych śląskich autorów XX wieku. Ich poezja, będąca wyrazem przywiązania do ziemi rodzinnej, do jej historii, mitów i tradycji jest w doborze słów oszczędna, a w sposobie obrazowania suwerenna i zmuszająca do refleksji. Wypełniona rytmem i metaforami, kieruje uwagę ku szczegółom przeżywanego krajobrazu, przede wszystkim ku Odrze i nadodrzańskiemu wioskowi, ale i ku miastu i jego mieszkańcom.

W liryce urodzonego 8 lutego 1896 roku, na przedmieściu Opola, w niemieckiej, chłopskiej rodzinie Hansa Niekrawietza szczególne miejsce zajmuje rzeka Odra, żeglująca na niej flisacy, pracujący w jej pobliżu chłopcy i robotnicy i otaczająca ich przyroda. Forma wierszy wydaje się być tylko z pozoru prosta i nieskomplikowana, jednak podobnie jak w poezji Eichendorffa bogactwo artystycznych środków powoduje, iż przesłania tekstów nie są jednoznaczne. Począwszy od debiutanckiego tomiku w 1932 roku (*Strophen von heut*), a kończąc na kilkakrotnie wznawianym zbiorze liryków *Oderlieder* (1936) – większość utworów powstała po drugiej wojnie światowej do śmierci poety w 1983 roku – to utwory pisane prozą – poeta starał się wypracować oryginalną melodię wersów powodując, iż sięgali po nie różni kompozytorzy, np. Słazak Fritz Lubrich, pisząc muzykę do jego tekstów.

Trochę inna jest poezja urodzonego 13 maja 1934 roku w Rozmierzy koło Strzelec Opolskich, w rodzinie chłopskiej Jana Goczoła. Nie flisacy, ale rodzice i dziadkowie poety, ich praca i ich ideały zaludniają strofy jego liryków. Po ukazaniu się w 1969 roku zbioru wierszy *Sprzed drzwi*, Jacek Łukasiewicz napisał: „Można ją nazwać poezją zakorzenienia, ale to nie będzie prawda. Można poezją wędrowną, to też nie będzie prawda. Jest w niej rodzinne miejsce zamieszkania, lecz zagrożone psychicznym wychodźstwem. Jest stałość,

której grozi niepokój – z nim więc współbrzmia. A jednocześnie w wędrowności wie się, że istnieje przystań rodzinna okolica, lub inaczej – więcej i mniej zarazem – że istnieje miejsce pewne”.

Lektura wierszy dedykowanych ukochanemu przez obu poetów rodzinnemu pejzażowi, pozwala przyrzeć się ich warsztatowi artystycznemu i wyłowić elementy wskazujące na różne postrzeganie przez nich przyrody i ludzi zakorzenionych w krajobrazie nadodrzańskim. Niekrawietz, zafascynowany rozciągającymi się wzdłuż brzegów Odry lasami i uprawnymi polami, stara się wyłowić niezwykle barwy, dźwięki i zapachy pory wiosennej i gorącego lata. Mimo to jego podmiot liryczny wędrujący połą ścieżką i skrajem lasu z widokiem na Odrę, poszukuje świadomie miejsca odosobnienia, ponieważ, jak pisze, stan samotności budzi w nim ukojenie, możliwość wyciszenia i pragnienie zatrzymania szybko upływającego czasu. Szczególną rolę pełnią w jego poetyckich strofach wspomnienia, w których powraca do stron rodzinnych, widzi dom rodziców, zachwyca się rozkwitającą wiosenną przyrodą, „czuje powiew młodości” i porównuje „cichy nurt rozświetlonej słońcem rzeki” do „tajemniczej pieśni, spoczywającej w ciemnej studni stworzenia”.

Opisując swoją ukochaną rzekę w różnych porach roku, posługuje się bogatą metaforą wyrażającą różne doznania lirycznego podmiotu, wprowadza też kontrasty, wypełniające jego obrazy dynamiką i ruchem. Jednak rzeka Odra – wyznaje w wierszu *Miasto nad Odrą* – pozostaje w przeciwieństwie do położonych nad jej brzegami miejscowości, oazą spokoju, symbolizującą pierwotny rytm życia, niekiedy niezrozumiałą dla ludzi i mroczną.

W wierszach Jana Goczoła nadodrzański krajobraz pełni inną funkcję. Odra podobnie jak w poezji H. Niekrawietza oznacza przede wszystkim ojczystą ziemię (*Heimat*), z którą poeta czuje się związany i która wyzwala w nim radość twórczenia, jednak jej nurt i koryto są, o czym czytamy w wierszu *Rzeka* (1969), wyraźnie odmienione, zniekształcone i zniszczone ręką człowieka. Wiersz ten, będący rozmową lirycznego podmiotu z samym sobą, jest próbą spojrzenia wstecz i porównania tego, co przeminęło ze stanem obecnym. Pojedyncze wersy wypełnione są porównaniami i kontrastami,

z których powstają obrazy budzące niepokój i gorycz. Obraz czystej „przezroczystej w dni słoneczne” Odry, w której przed wielu laty „kapali się nadzy mężczyźni i nagie kobiety” przeciwstawiany jest widokowi zdewastowanej nadodrzańskiej przyrody, gdzie ludzie „poczęli wznosić swoje domy”, wycinać lasy i regulować koryto rzeki. Bezsilność poety wobec postępującego zniszczenia „rodzinnej przystani” dochodzi do głosu w wielu lirykach z tomu *Sprzed drzwi* (1969), np. w wierszach *Zbliź się do twarzy*, w którym mowa jest o „wpełzającym w brzeg rzeki betonie” i „wysuszonych trawach” czy w wierszach *Suche ptaki*, *Pejzaż odmierzony*, gdzie świat pierwotnej natury jest przeciwieństwem „świata cywilizacji i postępu”. W tomikach wierszy z lat osiemdziesiątych, np. w *Znad Odry*, poeta coraz częściej pisze o swoim „psychicznym wychodźstwie” i zagrożeniu, jakim jest zanieczyszczenie i przekształcanie krajobrazu przez „przybyszy”, posługujących się „obcym językiem” i narzucających rodzimej ludności nowe zasady życia i prawa. Jedynie w marzeniach i snach „krajobraz staje się od nowa, a powietrze, jak dawniej, „ostre i przezroczyście”.

Uwieczniając w lirycznych wersach pejzaż rodzinnej, nadodrzańskiej ziemi, obaj poeci Hans Niekrawietz i Jan Goczoł, stali się kronikarzami dziejów Odry, rzeki, która w zależności od pór roku, ale i od upływającego czasu, zmieniała swoje barwy i wygląd. Podczas gdy Niekrawietz opiewał w poezji spokój i ciszę Odry, którą mógł się rozkoszować wędrując samotnie wzdłuż jej brzegów, Goczoł odnotowywał zanieczyszczenie jej wód, wzmagający się wraz z budową nowych nadodrzańskich osiedli hałas i dewastację przyrody. Poezja Niekrawietza, przypominająca miejscami lirykę przyrody Eichendorffa, jest poezją ekspresywną, wyróżniającą się zdolnością postrzegania szczegółów przyrody i stopniowaniem nastrojów. Goczoł tworzy poezję nowoczesną nie tylko w sferze treści, ale i formy, a sięgając do kunsztownych metafor, porównań, paralelizmów, prowokuje czytelnika do zabrania głosu i zwrócenia uwagi na przeobrażenia nadodrzańskiego krajobrazu.

### Goczoł-tłumacz

Próbując określić strategię artystyczną, którą Jan Goczoł zapre-





zentował jako tłumacz poezji, prozy i publicystyki niemieckiej, należało by najpierw wskazać na pewne kręgi tematyczne autorów, które znalazły się w polu zainteresowania poety i spróbować odpowiedzieć na pytanie, czym podyktowane były jego wybory i decyzje. Pierwsze tłumaczenia J. Goczola z języka niemieckiego, wiersze utalentowanego poety enerdowskiego Volкера Brauna, *Gdańsk* i *Romeo i Julia*, ukazały się na łamach „Opola” w 1973 roku. Rok później Goczoł przekłada wiersze Gabriele Eckart, w „Poglądach” z 1976 i 1977 roku zamieszcza poezję trzech poetów z NRD Christy Müller, Reinera Putzgera i Marii Seidmanna oraz utwory rosyjskiego poety z Nowosybirsk, Aleksandra Plitczenko, a w „Literaturze na świecie” teksty Brigitte Meng i Radovana Pavlowskiego. W poetyckich strofach enerdowskich poetów odnajdujemy wątki niemiecko-polskie, ale także motywy egzystencjalne, przedstawione w sposób, który niewiele ma wspólnego z obowiązującą wówczas w literaturze NRD linią programową. Są to często wiersze problematyzujące sytuację jednostki, rozdartej i niepewnie czującej się w otaczającej ją rzeczywistości, zagrożonej i bezsilnej wobec praw zbiorowości.

Z chwilą podjęcia współpracy z redagowanym dwujęzycznie opolskim periodykiem „Joseph von Eichendorff Konversatorium” (1993–2013) działalność translatorska staje się bardziej intensywna i obejmuje inne gatunki literackie. W piśmie tym Goczoł publikuje tłumaczenia esejów i artykułów naukowych współczesnych niemieckich badaczy (np. Günthera Nünninga o Paulu Celanie), Ingeborg Höverkamp o Ingeborg Bachmann, Petera Horsta Neumanna o J.P. Eichendorffie, Rheinholda Olescha o języku polskim na Górnym Śląsku, Eugeniusza Klina o Eichendorffie), a także fragmenty naukowych prac Arno Lubosa o Śląsku i dzienników wojennych Eberharda Schernerera. Do tłumaczeń z literatury pięknej powraca w 2008 r. zamieszczając w periodyku przekłady wierszy śląskiego poety Alfreda Nowinskiego i kilkanaście opowiadań pochodzącego ze Śląska Morawskiego Augusta Scholtisa.

W 2004 roku nakładem oficyny Eichendorff Konversatorium wydana zostaje biografia urodzonego w Kluczborku popularnego niemieckiego prozaika i poety Heinza Piontka w przekładzie J. Goczola i A. Lama,

tłumacza fragmentów poezji. W Świebodzinie, mieście urodzenia niemieckiego pisarza Eberharda Hilschera ukazuje się zbiór jego poezji i prozy w przekładzie Goczola i G.B. Szewczyk.

Aby zrozumieć sztukę przekładu opolskiego poety, warto przyjrzeć się językowi jego tłumaczeń i sposobowi dobierania przez niego ekwiwalentów pojęć, środków obrazowania i ich znaczeń. Powierzchnowy rzut oka na kilka tytułów pozwala stwierdzić, że tłumacz wykazuje się nie tylko znakomitą znajomością realiów, geograficznych, historycznych i kulturowych wypełniających świat oryginału ale i że posiada ogromne wyczucie słowa, zdolność poruszania się między wieloma polami znaczeniowymi, wrażliwość na rytm i melodię zdania. Przykładem mogą być niezwykle trudne w odtworzeniu różnych warstw tekstu opowiadania Augusta Scholtisa.

W kilku numerach zeszytów „Joseph von Eichendorff Konversatorium”, odnajdujemy przekłady opowiadań z tomu *Schlesischer Totentanz* (*Śląski korowód śmierci*) czy z pośmiertnie wydanego zbioru felietonów i krótkich form prozy. Tłumaczenie prozy Scholtisa jest ogromnym wyzwaniem dla współczesnego tłumacza, po pierwsze dlatego, że warstwa obecnych w niej realiów topograficznych i historycznych jest bardzo gęsta; wypełniona wieloma nazwami (np. miast, miasteczek, rzek i gór usytuowanych w krajobrazie polsko-niemiecko-czeskiego pogranicza) i nazwiskami postaci związanymi z historią tego obszaru zmusza do żmudnego poszukiwania ich odpowiedników w polszczyźnie, co wymaga czasu i ładunku wiedzy, po drugie, że Scholtis wplatając autentyczne wydarzenia i postacie historyczne w zmyśloną fabułę opowieści posługuje się w dialogach językiem będącym mieszaniną niemieckiego, polskiego i czeskiego, po trzecie, iż w narracji chętnie stosuje formy apofroczne, artykułując w ten sposób przywiązanie do swojej małej ojczyzny (np. „O dolino Opawy, wspaniała dolino stron rodzinnych, moich nieukojonych łez”, „Podróż do stron rodzinnych”), po czwarte że podkreślając dynamikę obrazów wprowadza do narracji ogromną ilość metafor i neologizmów, które mają przekonać czytelnika o prawdziwości relacji.

Jan Goczoł znakomicie radzi sobie z tymi trudnościami, dowodząc nie tylko, iż znakomicie rozumie oryginalny

nał, ale że potrafi w przekładzie odtwarzać jego artystyczne walory. Wszystkie zresztą przekłady opolskiego poety, zarówno prozy jak i poezji niemieckiej ujawniają umiejętność przekraczania nieprzekraczalnych zdawałoby się ograniczeń języka, historii i tradycji. Procesowi tłumaczenia towarzyszą kreatywne rozwiązania i kompetencje twórcze, powodując, że przełożony na język polski oryginał uruchamia w trakcie lektury przestrzenie skojarzeń i aktywizuje uwagę odbiorcy. Nie bez powodu Goczoł sięga do utworów z tematem śląskim; ich przekładanie to być może także dążenie do zrozumienia siebie, wypowiedania siebie poprzez interpretację tekstu i jego znaków i do odszyfrowywania wspólnego dziedzictwa kulturowego.

Należy przy tym dodać, iż poezje Jana Goczola były również tłumaczone na język niemiecki. Siedemnaście wierszy z opublikowanego w 1999 r. tomu *Zapisy śladowe* przełożyła na język niemiecki Urszula Usakowska Wolf publikując je w wersji internetowej (kilka z nich weszło do tomów monograficznych o Śląsku, np. do wydanego przez Berndta Witte tomu *Oberschlesische Dialoge* (2000) bądź zamieszczonych zostało w polsko-niemieckich pismach „Zbliżenia” i „Eichendorff Konversatorium”) oraz w niemieckim „Matrix. Zeitschrift für Literatur und Kunst”, dzięki czemu pojawiły się one na niemieckim rynku wydawniczym i w świadomości czytelników zainteresowanych tematyką Śląska.

Kończąc moje wspomnienie i refleksję o „nadodrzańskiej poezji” i przekładach Jana Goczola z języka niemieckiego, chcę podkreślić, że jego związki z czasopiśmem „Poglądy” i z licznym gronem katowickich literatów, dokumentują więzi, które łączyły w latach sześćdziesiątych, siedemdziesiątych i osiemdziesiątych XX w. dwa twórcze prężnie działające środowiska, opolskie i katowickie, więzi, wpływające na powstanie nowoczesnej literatury na Górnym Śląsku po 1945 roku i na życie kulturalne w regionach Śląska. Natomiast poezje i przekłady wrażliwego i niezwykle utalentowanego opolskiego poety, przerzucały mosty ponad różnymi językami i kulturami, zbliżając je do siebie, pokonując barierę obcości i odkrywając przed polskim czytelnikiem nieznaną literackie światy.

## ROBERT HASS

przełożyła Maria Korusiewicz

## JABŁONIE W OLEMA

Spacerują po lesie wzdłuż wybrzeża  
i na trawiastej, dziczej łące odkrywają  
dwie stare zapomniane jabłonie. Choć mech okrył  
każdą gałąź i drewno konarów zaczynało próchnieć,  
oba drzewa oszalały kwieciami, a zielony ogień  
maleńkich nowych liści migotał nawet na najsuchszych  
gałązkach.

Niezapominajki, maki, kępki łubinu  
upstrzyły łąkę. I tajemniczy kwiat o lamparcich cętkach  
i zielonych liściach, którego nazwy nie znali.

Psiząb, powiedział; nasięźrzał, powiedziała.  
Wstrząsa nią białe, surowe, wewnętrzne światło  
kwiatów jabłoni. On pełen jest radości  
jakby coś, co przeczuwał, okazało się prawdą  
i patrzy na nią szukając potwierdzenia.

Jeśli jest popołudnie, to chudy księżyc mojego przerażenia  
blednie jak blizna w niebie, na wschód od tych dwojga.

On mógłby walić dziko we śnie w zamknięte drzwi.

Ona tymczasem myśli, że mech  
przypomina schnące beztrąsko w dokach wodorosty.

Strzępy mięsa, przerażały ją właśnie  
powtarzające się strzępy mięsa apetytu  
w chłodnych, białych pąkach. Teraz wyglądają tak łagodnie  
i choć wcześniej czuła odrazę, teraz oswaja się z drzewami  
i przyjmuje je w siebie. Ale on już  
nie ma jabłoni. To równie smutne lub wesołe  
jak fala, odpływ i przypływ, o zachodzie słońca.

Światło schwymane w drobinki wody, która pieni się  
na skałach, ma tę samą barwę co czyż mały,  
który na ich oczach błyska nikłym złotem w świetlistym  
powietrzu nad polem. Podziwiają ptaka,  
to zbliża ich do siebie i znów idą.

Tak właśnie mały chłopiec błąka się po hotelowych korytarzach.

Za jednymi drzwiami pokojówka. Za innymi goli się  
mężczyzna w pasiastej piżamie. Chłopiec trzyma numer  
swego pokoju w głębi swojego umysłu  
ostrożnie i poważnie, jakby to był klucz,

po czym wchodzi pomiędzy obcych; to wszystko, czego pragnie.

Grafika: Agnieszka Korusiewicz



## MAPY

BUŁKA FRANCUSKA  
I PINOT CHARDONNAY

\*

Morele...  
pokryte puszkami pośladki  
rzeźba twardych czarnych konarów  
na moknących w deszczu wzgórzach Saratogi.

\*

Oto dawne filary chińskiego handlu:  
wydra morska, drzewo sandałowe i strzykwy

\*

Pointylizm wawrzynów  
na dnie doliny  
ich blade, cętkowane ciało wiruje  
w porannym wietrze  
Dafne była gibka  
moja żona jest złota od słońca,  
w mrocznych zagłębieniach twarzy  
ma bladą zmarszczkę

\*

Kit Carson w Kalifornii:  
to oczy ryb  
odebrały mu łagodność wzroku  
gdy przyglądał się statkom wpływającym  
do Yerba Buena, gorszyła go  
inteligencja krabów  
ich boczny chód, krzyk mew  
skrzeczących o białe mięso  
płastug w cebrze, przerażonych

\*

Piżmowa woń jesieni...  
śluz mleczają rydza  
nakrapiany muchomor  
delikatny falliczny trujący

\*

Jakże dziwne  
owocowe ciepło różowego wina  
geometrie „racjonalnej uprawy winorośli”

Wyrwane z piany wodorostów  
chłodnego słońca i cuchnących odpływów  
ogórki morskie  
rozparte w szczelinach skał  
handlowano ludźmi dość długo by  
wyciąć w skale starą linię kolejową Crockera  
by jeść te ślimaki bêche-de-mer

\*

W noc, gdy zbombardowano Hanoi  
piliśmy czerwone wino  
owej zimy nasz orzech stał nagi  
jak i tamte pustynne krzewy, na których wiosną  
siadywały pijane owocami ognika jemiołuszki  
dni szkwałów i wichury odeszły  
na północ na nieszczęsny Pacyfik

\*

Mroczna zawilość erozji tych skał

morza zgorzkniałe od soli kontynentów

\*

Jerozolimskie karczochy  
hodowane na piaszczystych łąkach San Gregorio  
tuż przy porośniętych trzciną plażach, gdzie docierał tęczak

W spiekocie i senności sierpnia  
strumień z nabrzeżnych gór zmienił się w słony naciek

\*

Ten fiolet na wzgórzach  
to opleciona łubinem koniczyna  
z białych zapylonych kwiatów  
cieknie czerwień

oko włada tym co  
znajomym dreszczem przebiega po skórze  
„barwą ametystu”

\*

Pieśni, recytacje:  
Olema  
Tamalpais Mariposa  
Mendocino Sausalito San Rafael  
Przesmyk Emigrantów  
Przełęcz Donnera

Ze wszystkich spraw  
które wiążą nas z przeszłością  
najbardziej uparte są  
imiona rzeczy

\*

Późne lato...  
czerwone jagody ciemnieją w krzewach głogu  
kłębki żółci w wawrzynach

twoje ciało i faliste  
ostre grzbiety wzgórz

\*

Małże, słuchotki, sercówki, chitony, kraby

\*

Ishi  
w San Francisco, rok 1911:  
to nie morzu dziwił się  
ten człowiek z głębi łądu, który widział jak łososie  
umierają, by się mnożyć i szaleństwem tej płodności  
karmił swój wymierający lud  
lecz tysiącom białych ciał  
na plaży  
„Hansi saltu...” tak wiele  
Duchów

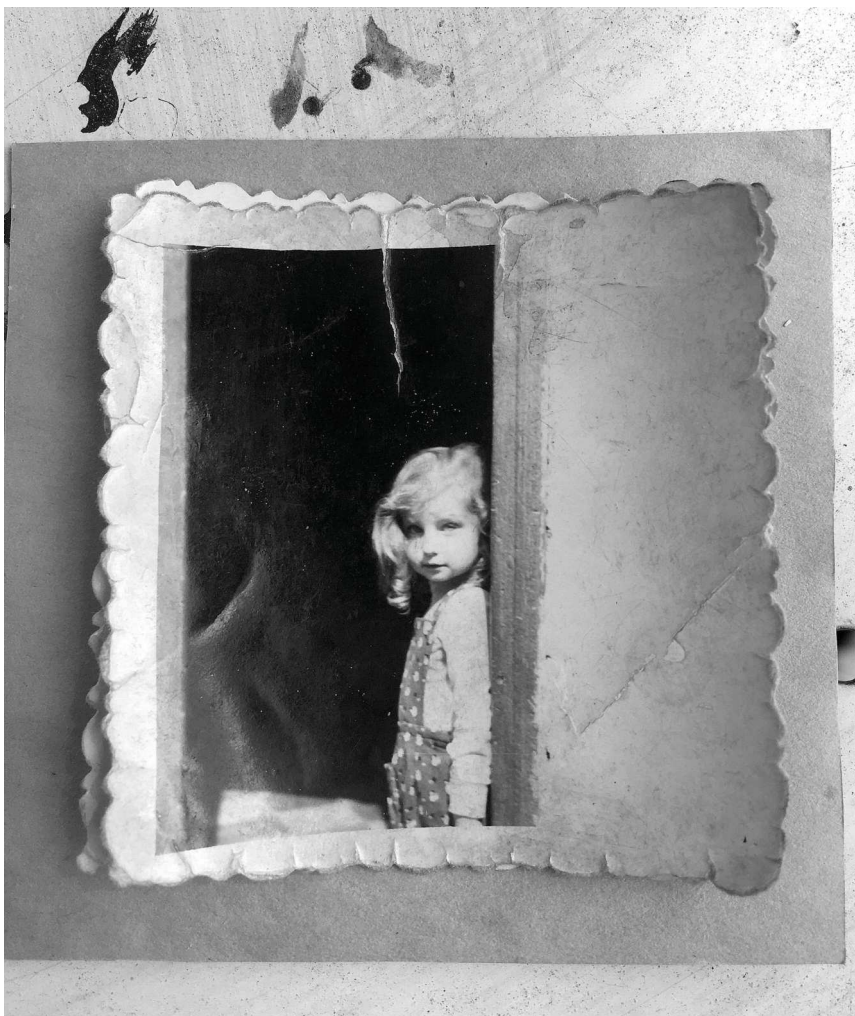
\*

Ta długa zmarszczka w młacie  
to skunks –  
unika dnia

Grafika: Agnieszka Korusiewicz







# Korespondencje. O poezji Marii Korusiewicz

ANNA WĘGRZYŃIAK

Tytuł tego szkicu, korespondujący z formułą tytułową drugiego tomu wierszy *Tajemnica korespondencji* (1991), można potraktować jako „klucz”, otwierający różne konteksty twórczości poetki, która tłumaczy literaturę anglojęzyczną, uprawia grafikę warsztatową, doktoryzuje się z filozofii, a po stażu naukowym na Uniwersytecie Stanforda u René Girarda, wydaje książkę *Geometrie kultury według René Girarda* (2015).

Jest autorką wielu publikacji na temat teorii kultury i kultury japońskiej. W książce *Cień wiśni. Natura w kulturze japońskiej. Doi, Saito, Kagawa-Fox* (2014) – śledząc koncepcje współczesnych, wymienionych w tytule autorów japońskich, którzy sytuują się na pograniczu kultur, pomiędzy Japonią i Zachodem – dowodzi, że wyrastające z buddyzmu *zen*, tradycyjnie harmonijne „życie z naturą” jest utopią. Na pytanie o wzajemne relacje

człowieka z naturą odpowiadają: filozofia natury, antropologia, teologia, etyka, estetyka... Trzeba nie lada odwagi, by zająć się tak trudnym tematem. Mimo istotnych różnic kulturowych pomiędzy Krajem Kwitnącej Wiśni i Zachodem, w świecie zglobalizowanym tradycyjne opozycje tracą wyrazistość. Uwagę badaczki przyciągają, formujące świadomość ekologiczną, japońskie sposoby estetyzacji natury. Poczucie odpowiedzialności za glob (człowiek jest sprawcą zagrożeń i potencjalnym „lekarzem”), bliska współczesnej ekofilozofii etyczno-estetyczna wrażliwość Marii Korusiewicz skłania ją do poszukiwania tego, co w XXI wieku odmienne kultury łączy.

Obecnie Pani Profesor kieruje Instytutem Neofilologii w Akademii Techniczno-Humanistycznej w Bielsku-Białej, a ponieważ jej droga do habilitacji prowadziła przez krytykę literacką, translatorykę, studia estetyczne, antropologię i filozofię kultury, w poezji wszystkie wyżej wymienione obszary są obecne na zasadzie korespondencji. W jednym wierszu spotykają się życie, nauka i sztuka, bo czytając „listy” z przeszłości, podmiot ujawnia odbiorcy różne tajemnice. W znaczeniu potocznym „korespondencja” (inaczej „poczta”) to międzyludzka wymiana informacji (na papierze, w postaci elektronicznej), ale też dopasowanie (korespondują za sobą teksty kultury, style, pojęcia, rzeczy...). Użyty w tytule frazeologizm „tajemnica korespondencji” (zagwarantowana przez prawo ochrona życia prywatnego) można interpretować wielorako. Otwarta na tajemnice historii, otaczającego świata i sztuki, autorka zawsze respektuje „tajemnicę korespondencji” – nie ukrywa, ale też nie manifestuje płci, opowiada o sobie w gramatyce kultury, unika zwierzeń i „bebeczów”. Czytając jej wiersze, słyszę głos kobiety – wnuczki, córki, matki – która przygląda się światu „okiem” ukształtowanym etycznie i estetycznie; wspomina trudne dzieje rodzinne, myśli o bliskich, z którymi kontaktuje się listownie („na stole list z Monachium/ kartka z Sydney pocztówka z San Francisco” – *Tajemnica korespondencji*), z czułą uwagą przygląda się postaciom biblijnym, rozmyśla o Rzymianach i Słazakach, a czytelnik mimochodem znajduje łączące je korespondencje. Dzięki erudycji i malarskiej wyobraźni, kojarząc starożytnych eremitów Egiptu z Bernadetą Brolik z Pątnowa, poetka dotyka *Tajemnicy*. W średniowiecznym kościele w München-Gladbach, gdzie nawet oświetlają błękitne szybki witraży, staruszka modląca się o wybaczenie win, „klęcząc/ w srebr-



nym niepojętym świetle/ płaczu” (*Rajski owoc grzechu, TK*). Kolejną ważną korespondencję znajdującą pomiędzy mleczarką przelewającą mleko (*Vermeer z Majoliki*), babcią, do której prowadzi wyobraźnia, i każdą kobietą: „W drzwiach kobieta/ wysoka tęga nalewa ze dzbanka// mleko. To co nas łączy/ rośnie po dwóch stronach czasu” (*Opowieść o babci z tomu Tajemnica korespondencji*). Motywom mleka i bieli należałoby tu poświęcić osobne studium.

Poetka zadebiutowała tomem *Odział kobiecy nad ranem* (1987), w którym manifestowała kobiecą solidarność ze wspólnotą rodzących. W latach 90. tłumaczyła poezję Anne Sexton i Sylwii Plath, a jednocześnie zajęła się grafiką warsztatową, czytała poetów i filozofów, podróżowała po świecie, w muzeach i galeriach doskonaliła „macierzyńskie” spojrzenie na świat. Jej sztukę widzenia formowało złote Bizancjum, sztukę myślenia – filozofująca poezja kultury.

Autorka tomów *Tajemnica korespondencji* (1991) i *Majolika* (2010) mówi/ myśli kodem kultury. Dzięki konwersacyjnej lekkości wypowiedzi, wprowadzeniu realiów życia rodzinnego i jej malarskiej wyobraźni, w pierwszym odbiorze ta poezja wydaje się przystępna. Sensy „powierzchniowe” chwytamy od razu, pełniejszy, rozumiejący odbiór utrudnia erudycyjność, która znakomicie komplikuje pozornie czytelny przekaz. Poetka – jak Zbigniew Herbert – gustuje w historiach antycznych i biblijnych, chętnie stosuje lirykę roli, czego świadectwem są monologi: Goliata (*Goliat*), Jazona (*Kolchida*), Batszeby i Dawida (*Opowieść królewska, TK*), Łazarza (*Łazarz, TK*). Lubi historie niejasne, wymagające dopełnień, interpretacji, np. wiersz *Rozmyślając o potędze Rzymu* (TK), osnuty na motywie zamachu na Cezara, wprowadza postacie dwu Brutusów: Marcusa i Decimusa. W społecznej świadomości słynne słowa Cezara: „Brutusie, i ty, przeciwko mnie!” odnoszą się do jakiegoś zdrajcy, ale kto wie, że było ich dwu. Scenę w senacie powtarzają teksty popkultury, wraca ona „na plan filmowy/ w strzęp komiksu”. Podmiot – komentator zdarzeń w Rzymie nie wie, który z Brutusów – adiutant czy senator – zadał śmiertelny cios Rzymowi. Skazany na domysły na temat ich dalszych losów, swoje rozmyślenia kończy ironicznym pytaniem: „śmiech historii/ zemsta mitu/ żart zasztyletowanego?”

W liryce Korusiewicz słyszymy głos osoby, która patrzy, myśli, komentuje, wspomina, eseistycznie kojarzy różne wątki, w taki sposób, że czytelnik musi podjąć próbę rekonstrukcji

skojarzeń, interpretować jej myśli w odpowiednich kontekstach. Liczne aluzje do tekstów kultury oraz przywołane historie rodzinne sprzyjają temu, by utożsamiać podmiot z autorką. Skłaniają do tego motywy autobiograficzne oraz umieszczona na okładce tomu *Tajemnica korespondencji* złotawa grafika autorstwa Marii Korusiewicz, zatytułowana „Rysunek Ani”. Widząc nagą kobiecą postać, którą ogrzewa wesołe słońeczko Ani, domyślam się, że mała rączka porysowała grafikę mamy. W tej korespondencji rąk – dziecinniej i dorosłej – znajdują kolejny „klucz” do lektury tomu. Wielofunkcyjny motyw korespondencji łączy tutaj czasy dawne z terażniejszością, zapowiada istotne gry intertekstualne, ponad wiekami przenosi „prawdy” Dawnych Mistrzów pióra i pędzla do współczesności, a także – na co zwracam szczególną uwagę – zapowiada spojrzenie „kobiece”, wierność wartościom matrylinearnym, które symbolizuje mleko, spływające warokcem z płótna Vermeera.

*Majolika* czaruje ciepłem kobiecego spojrzenia. Już tytułowa formuła tomu brzmi tajemniczo i egzotycznie, jak imię kobiety. Majolika to fajans, w renesansie wyrabiany pod wpływem ceramiki wschodniej. Ceramika słynąca z bogatej kolorystyki, wspaniale odbija światło i zadziwia malarskim kunstem. Zanim odbiorca przeczyta wiersze, przemawia do niego tytuł i prace plastyczne. Fajansowa kruchość, ciepło, zmysłowa wyobraźnia autorki, która pisze/maluje znaczącymi detalami – to cechy pozwalające dostrzec kontynuację „majolikowej” tradycji.

*Majolikę* otwiera *Vermeer (1958)* – liryczna kontemplacja obrazu *Nalewająca mleko*. To arcydziełne płótno interpretowano wielokrotnie (z poetów np. Herbert, Szymborska, Zagajewski), znajdując w nim różne treści. XVII-wieczni malarze Holandii „umieli mieszkać”, często przedstawiali codzienne zajęcia kobiet, ale jednak inaczej niż Mistrz z Delft. Jego mleczarka – otoczona aurą sakralnego ciepła – z fajansowego dzbanka do majolikowej miski przelewa mleko w świętym skupieniu i właśnie „tajemnica majoliki” przyciąga uwagę Korusiewicz. *Vermeer* Szymborskiej, usytuowany w tomie pomiędzy wierszem *Ella w niebie a Metafizyką* („Było, minęło”), jasnym akordem domyka elegijne rozmyślenia nad Światem (z dużej litery!), który bardziej przeraża niż zachwyca. Śmierci i przemijaniu poetka przeciwstawia wieczność chwili utrwalającej esencję istnienia. W *Pokoju umebłowanym* Herberta podróżny, kontemplując reprodukcję obrazu, podąża za „złotym światłem”.

Opuszcza wnętrza hotelowe, poddaje się iluzji obrazu, zanurza się w nieprawdziwy świat (czułość, słodycz, wieczność). Herbert w wstępie zderza mrok z „warkoczem mleka”, potem wymienia znaczące świecące rekwizyty: „na stole nóż serweta/ chleb ryba pęczek cebuli”. Korusiewicz też zaczyna od mleka: „Nalewająca mleko nie uрони kropli”, a następnie wylicza detale: „chleb stół, dzban i misa”. Mając w pamięci aluzję do tego obrazu, zauważam, że poetka świadomie wskazuje tropy wcześniejszych ujęć ekfrazystycznych. Wskazuje korespondencje, ale czyta ten obraz inaczej niż poprzednicy. W wierszu Herberta wnętrza holenderskie prowadzi patrzącego w przestrzeń mitu, świat na obrazie jest ciepły (jak chleb) i złoty (jak jabłko). Korusiewicz też „myśli kolorami”, ale innymi. Na początku „W szarym świetle poranka czysta żółć rękawa”, a w finale: „farba na brzegu pędzla co rozkwita // prosto w błękit”. Jej interpretacja mocno podkreśla wartość zatrzymanej chwili, której nie zakłóci „żaden zmierzch” czy szept. Skupienie, doskonałość, cisza, „cień perły” – każdy z tych motywów prowadzi w stronę Vermeera i komentatorów jego sztuki, lecz autorka elegijnej *Majoliki*, intensywnie myśląc o zimie, szczególną wartość przypisuje bieli. Z obrazu Vermeera wydobywa biel mleka i biel krochmalonego czepek, a ponieważ z jasną strużką mleka kontrastuje ciemne wnętrza dzbanka, kontemplacja obrazu prowadzi w obszar medytacji egzystencjalno-metafizycznej: „W mrocznym tunelu dzbanka drzemie nienazwane/ Ciemny rytuał przejścia gdzieś na inną stronę”. Na płótnie Vermeera „krochmalona biel płótna” (czyli czepek) rzuca cień na twarz dziewczyny nalewającej mleko, a poza obrazem „biel płótna kryje twarz” zmarłego (aluzja do pochówku Chrystusa). Motyw płótna łączy tutaj życie, śmierć, sztukę, ewangelię. Biel (symbol doskonałości, czystości, Baranka, duchowości, śmierci...) jest łącznikiem między sztuką i życiem, spina utrwaloną na obrazie metafizykę codzienności z tajemnicą „przejścia”. Medytację bieli pointuje farba rozkwitająca „prosto w błękit”.

Trudno pominąć wyraźnie obecną w tej poezji korespondencję kolorów (np. „farby rozkwitającej...” z błękitnymi szybami kościoła w Monachium) i znaczących motywów. Parafrazując doskonały autotematyczny tytuł drugiego tomu wierszy, powiem, że tajemnica poezji Marii Korusiewicz zawiera się w rozlicznych korespondencjach.

Z arcydzieła Vermeera poetka wydobywa biel, żółć i czułość. Zawsze powściągliwa w wyrażaniu uczuć,

na wszystko patrzy z czułością. Cechuje ją zmysłowe otwarcie na ludzi, zwierzęta i otaczające ją przedmioty, a źródłem czulej (współodczuwającej) wrażliwości są miłość, przyjaźń, przywiązanie, pamięć o najbliższych, zdolność wybaczenia, współczucie, wszystkie dobre emocje, o których nie mówi się wprost. *Śmierć Prokris* (M), z dopiskiem: „wg obrazu Piera di Cosimo, ok. 1490” – poetycką interpretację śmierci wtopionej w sienneński pejzaż (obok ciała zmarłej rosną żółte kwiatki), przechodzącej w życie „od żdzbla do żdzbla”, zamyka lakoniczny komentarz: „jest litość”.

W utworze *Plótno* czułą uwagę patrzącą na *Bitwę pod San Romano* Uccella przyciąga „posłaniec ledwie zaznaczony bielą”, postać prawie niewidoczna, uchwycona w urwanym geście uniesionej stopy. W wierszu *Vermeer*, z którego można wyprowadzić niepisany „program” poezji Korusiewicz, dziewczyna czule i uważnie, by nie uronić żadnej kropli, „czuwa nad biegnącą bielą” mleka i życia (rodzi, karmi, omywa rany, wita zmarłych), z czułością patrzy na nią malarz i równie czułym (wrażliwym, nie czułościowym) spojrzeniem obejmuje tę postać Maria Korusiewicz. W jej poetyckim słowniku „czułość” – jako postawa wobec świata – zajmuje miejsce szczególnie uprzywilejowane. W omawianym wierszu czułości kobiecej odpowiada „czułość ostateczna”, która „tkwi w porządku Rzeczy”.

Wiel miejsca w poezji Korusiewicz zajmują wrażenia z podróży po świecie i muzeach. Przy okazji wspomnę jej pracę *Jak funkcjonuje dzieło sztuki, czyli muzeum według Nelsona Goodmana* (w antologii *Muzeum sztuki*, 2005, pod red. Marii Popczyk), w której wskazując rolę muzeum w kształtowaniu naszego postrzegania świata, pisze: „Sztuka stymuluje nasze zmysły i umysł, poszerza perspektywy, otwiera i rozświetla dla nas rzeczywistość, [...] uczestniczy w stwarza-

niu naszego świata” (s. 145). Otóż, zmysłowe „oko” poetki tyle samo zawdzięcza nauce, co muzeum i galeriom. W kalifornijskim parku Yosemite, pod mostkiem na dnie parowu, w starych kamieniach nagrobnych znajduje ślady pierwszych przybyszów z Zachodu, a myśląc o bezimien-nych, widzi „dłonie starych mistrzów”: „Tintoretto świetlistych smug/ Zurbarán żółci na skurczonym liściu/ mali Holendrzy wśród drobnych kamyków” (*Chłopiec*, M).

Obrazowanie Korusiewicz charakteryzują codzienne rekwizyty, świetliste punkty i smugi. W narracjach osnutych na faktach nam nieznanach, autorka poprzedza wiersze informacjami, które ułatwiają odbiór. O samobójczej śmierci mistrza ceremonii herbaty, zadanej sobie na rozkaz dyktatora, czterysta lat później myśli – zwiedzająca jego zasypane piaskiem ogrody – „turystka w pożyczonym kimono” (*Wielkie morze piasku*, M). Bohater tego wiersza, zanim popełnił samobójstwo, „po raz ostatni przygotował herbatę dla swoich przyjaciół” – czytamy we wprowadzeniu. W poezji Korusiewicz czarka bądź szklanka ciepłej herbaty sprzyja rozmowie i czasem podlega estetyzacji: „Obok dymi szklanka zimowej herbaty/ nóż złocista wstążka cytrynowej skórki/ blada porcelana snów” (*Rozmawiając przez telefon piętnastego marca*, M), „siedzimy na tarasie tata nalewa herbatę/ Ania skacze Agnieszka brudną łapką rozkruszyła ciasto” (*Wieczorem u podnóża góry*, M); „pajęczyna pary zastygła rozpaczliwie/ nad kubkiem bursztynowej herbaty dłoń” (*Emilia Machnik z domu Puzik*, M). Herbata łączy rodzinę i przyjaciół, jest rekwizytem więzi i dawcą ciepła. Na przekór mgłom, piaskom, zimom i przemijaniu, szklanka herbaty rozjaśnia umysł, pozwala pomyśleć o tym, co pozostaje tajemnicą – „kto nakreślił granicę między ziarnem i pustynią”, czym jest zło, co jest po tamtej stronie... Korusiewicz opowiada o zdarze-

niach tragicznych: o zburzeniu Troi i wyburzeniu górniczych domków w Katowicach, o bitwie pod San Romano i pojedynku samurajów, o miłości, zdradzie, umieraniu, okrucieństwie potomstwa Kaina. Jednak w tej liryce światłocienia grozę śmierci i zbrodnie historii rozjaśnia czule, rozumiejące spojrzenie, tęsknota za innym wymiarem, współczucie, promyk światła, skupienie uwagi na konkretnie wspomnieniowym. Poetka myśli kodem kulturowym, Starych Mistrzów godzi z fascynacją kulturą Chin i Japonii, a chłonie ją z rozważą, od mistrzów zen bierze to, co Europejka może wziąć. Dobrym kontekstem do tych wierszy jest rozdział III jej książki *Geometrie kultury według René Girarda*, pod znaczącym tytułem *Biblia i symetrie współczesności*. Mam na uwadze tezę: „jedność wszystkiego co religijne” (boskość jest obecna w każdej religii) i krytykę ponowoczesności (do post-sekularyzmu prowadzi kryzys rytuału).

W filozofującej poezji Korusiewicz trudne pytania wynikają ze wspomnień, zasłyszanych historii czy kontemplacji dzieł sztuki, wobec których człowiek stara się zająć własne stanowisko. W myśleniu o czasie minionym pomagają dialogi i odniesienia do współczesności. Od konkretów przez „wieczność” mitu i sztuki poetka przechodzi do uniwersum. W labirynt dziejów prowadzą korespondencje, a majolikową przestrzeń wyobraźni współtworzą światła rozumu i emocji – „między nami/ bezszelstnie obraca się zielona Ziemia/ czas wiruje powoli wokół wielkiej Osi” (*List I*, M), czai się śmierć, ale świat ludzki trwa dzięki korespondencjom (listom, e-mailom, kronikom, dziełom sztuki...), od wieków przekazywanym tym, którzy przyjdą po nas. Na koniec dodam, że tajemnica trwania koresponduje z tajemnicą korespondencji.





Na przełomie roku 2017, kolejny przypadek, niby lekarz w klinice psychiatrycznej, włożył tzw. Europe pod pachę termometr, aby stwierdzić ponad wszelką wątpliwość, że leciwa pacjentka cierpi na chorobę przewlekłą, która nie leczona, może skończyć się dla niej śmiercią, a przynajmniej trwałym kalectwem umysłowym. Paradoksalnie, przychodnią, która stwierdziła, że z kondycją psychiczną badanej nie jest ostatnio najlepiej, okazała się nie Izba Przyjęć w szpitalu, lecz eksperymentalny Maxim Gorki Theater w Berlinie, gdzie wystawiono blisko godzinny, makabryczny show autorstwa Krzysztofa Minkowskiego (rocznik 1980) i w jego wiekopomnej reżyserii, „O dwóch takich, co ukradli księżyc” (niemiecki tytuł: *Zwei Mond diebe*), czyli tak naprawdę sprokurowano ubaw po pachy, z katastrofy, która wydarzyła się 10 kwietnia 2010 roku pod Smoleńskiem. Ten kabaret, jak nazywa się czasami berlińskie widowisko, przypomina uprawianie zboczenia nekrofilii i to w skrajnej postaci. Żartuje się w nim i kpi z 96 ofiar tamtego lotu, czyli ze zmarłych, którzy nie mogą się bronić. Nie wstaną i nie dadzą w mordę reżyserowi, choć bardzo mu się to należy, nie nakopią aktorom ile wlezie. W tej sytuacji są kompletnie bezbronni.

Wnętrze samolotu zostało całkiem zrecznie zaaranżowane przez scenografa. Pije się dużo wódki, wiadoma sprawa, Polacy. Pasażerów obsługuje stewardesa o imieniu Beata (zbieżność danych osobowych całkowicie przypadkowa). Są i filmowe wstawki. Widowisko zostało utrzymane w stylu politycznej agitki wczesnych lat pięćdziesiątych zeszłego stulecia. Duch „genialnego językoznawcy” kłania się co jakiś czas. Kabaret Minkowskiego daje zdecydowany odpór, wiadomo komu, a czyni to w zenujący sposób, że człowieka nachodzą wątpliwości: Europa to jeszcze, czy już Azja, najpewniej Centralna. Wypociny Minkowskiego to skrajny prymitywizm umysłowy i kompletna absencja dobrego smaku.

O samym panie reżyserze wiemy niewiele. Wiadomo, że pochodzi ze Szczecina. Uczył się reżyserii, także w Niemczech. Na stałe mieszka w Berlinie, więc może bezpiecznie, niczego nie ryzykując, uprawiać zwój antypolonizm, tak dobrze widziany u naszych zachodnich sąsiadów.

Mocno dwuznaczna, bo podszyta nędzną propagandą polityczną rólka kobieca w *Zwei Mond diebe* przypadła aktorce Teatru Współczesnego we Wrocławiu Marcie Malikowskiej (rocznik 1982), która do tej pory by-

# Czekając na barbarzyńców

WŁODZIMIERZ PAŹNIEWSKI

ła znana raczej ze scen rozbieranych w spektaklach teatralnych, choć zaznaczmy od razu, że nie za bardzo ma co pokazywać, bo nie ta uroda i nie ten sex appeal.

„Ten spektakl wart każdych pieniędzy – powiadają między sobą Niemcy. – To była trafna decyzja: zapłacić a potem sobie popatrzeć, jak Polacy robią sobie jaja z najnowszej historii własnego kraju i tzw. tragedii. My tylko wyłożyliśmy kasę i znaleźliśmy chętnych Polaczków, którzy to robią, więc w tej jednej sprawie jesteśmy czysti, jak ła i nikt niczego nie może mieć nam za złe. Posłużyliśmy się wynajętymi Murzynami, którzy za pieniądze zrobią wszystko. Dla nas to bardzo wygodne rozwiązanie”.

Jeszcze do niedawna naigranie się z umarłych było obce wartościom europejskim. Uważano je za objaw niepożądanej drażliwości i braku oglądy. Majestat śmierci jednak szanowano. Tzw. teatrzyk Minkowskiego świadczy o tym, że dalsza azjatykacja kultury naszego kontynentu postępuje coraz szybciej i chyba nikt i nic nie zdoła powstrzymać tego upadku. A najmniej nadaje się do tego niemieckie lenistwo umysłowe.

W tym miejscu trudno uciec od pewnej dygresji, ponieważ o tym społeczeństwie mówi ona bardzo dużo, gdyż ujawnia niemiecką słabość do ekscesów, na które nikt o zdrowych zmysłach by nie wpadł, dlatego budzi ogromne zdumienie sam pomysł, jego realizacja i nasuwające się skojarzenia. Pod hasłem wywoławczym (co za subtelne poczucie humoru) „Najpiękniejsze obozy koncentracyjne Niemiec” została zorganizowana w 2016 roku wystawa

najważniejszych projektów niejakiego Bernharda Kuipera, który miał swój wcale niemały udział w budowie lagrów. A nadawał się do tego jak mało kto. Był obersturmfu (u umlaut) hrerem SS, a przy okazji wziętym w III Rzeszy architektem. Aby widzowie nie mieli żadnych wątpliwości w czym się szczególnie zasłużył, ekspozycję prezentowano w dawnym obozie zagłady w Sachsenhausen. Wystawę, jako wydarzenie kulturalne, sfinansowały władze administracyjne powiatu Meppen. Znowu w sposób pośredni mamy tu do czynienia z rechem na temat śmierci tysięcy ludzi w tle. Nie od rzeczy będzie zwrócić uwagę na okoliczność, że chichocą potomkowie katów i to w miejscu popełnienia masowej zbrodni.

Zdaje się, że zjawisko sztydzenia z tragedii posiada o wiele szerszy zasięg. Nie jest od niego również wolny np. kalifat paryski. Parę lat temu francuski tygodnik satyryczny „Charlie Hebdo”, zamieszczając karykatury Mahometa, naraził się na atak islamskich terrorystów, podczas którego zginęli ludzie. Cały świat współczuł wtedy ofiarom. Ale to było dawno temu.

Obecnie w jednym z ostatnich numerów rysownicy tego francuskiego tygodnika zupełnie po chamsku skomentowali katastrofę rosyjskiego samolotu Tu-154, który runął do Morza Czarnego chwilę po starcie z lotniska w Soczi i śmierć w tym tragicznym wypadku wielu artystów z Chóru Aleksandrowa. A uczynili to w sposób karygodny. Na jednym z rysunków członkowie zespołu pływają w otoczeniu ławicy ryb. Autor nazywa ryby „ich nową wi-

downią”. Na innym jeden ze śpiewaków krzyczy z przerażenia. Rysownik nazwał ten krzyk „nowym repertuarem”. Nie wiadomo śmiać się czy płakać. Z rysunków wylania się taki sam polot i poczucie humoru, jak ze spektaklu teatralnego knota, wystawionego przez Minkowskiego w Berlinie.

Sytuacja rodzi uniwersalne pytanie jaka jest rola obydwóch wymienionych przeze mnie kalifatów: berlińskiego i paryskiego w nadciągającej katastrofie Europy, tak skutecznie atakowanej dzisiaj od środka? Przypuszczam, że wcale nie marginalna.

Ale na tym bynajmniej nie koniec bieżącej degrengolady. Oto inne wieści z kalifatu berlińskiego, gdzie na żądanie muzułmańskich migrantów dzielnicy Kreuzberg, w Boże Narodzenie 2016 roku umilkły kościelne dzwony, zdaje się, że na zawsze, aby nie drażnić przybyszów publicznym afiszowaniem się obecnością chrześcijaństwa w stolicy Niemiec i nie zakłócać wyznawcom Allaha wypoczynku. Zakaz wydała administracja dzielnicy. Istny obłęd. Oto kolejny przykład w jaki sposób współcześni Niemcy zarządzają własnym strachem. Najczęstszą formą niemieckiej reakcji są bowiem ustępstwa, aby tylko nie narazić się islamistom i mieć święty spokój. W takich sytuacjach Niemcy okazują się bardzo bojowi, wszystkiego się boją.

W Sylwestra 2015 roku bandy muzułmanów mogły bez przeszkód molestować seksualnie niemieckie kobiety i dziewczęta, a nawet dopuszczać się na nich gwałtów w Kolonii i innych miastach, ponieważ niemieccy mężczyźni okazali się zbiorowiskiem zniewieściałych tchórzy. Żadnemu z nich nawet nie przyszło do głowy, że kobiet trzeba bronić. Pozostawiono je osamotnione sam na sam z napastnikami. Mężczyźni na wszelki wypadek uciekli, a policjanci chowali się po kątach. Tak w szczegółach objawia się wspólczesne szaleństwo samozagłady.

Nikt tego nie napisał otwartym kodem, lecz tak naprawdę upadek naszego kontynentu zaczął się od Niemiec i na nich prawdopodobnie się zakończy. Nie zapominajmy, że dwie największe infekcje dwudziestowieczne wykluły się w tym kraju: komunizm i nazizm. Najpierw zaraziły Europę a potem cały świat.

Również dzisiejsza degrengolada Europy ma swoje źródła w Niemczech, przede wszystkim w samobójczych dla cywilizacji europejskiej i niszczycielskich pomysłach Szkoły Frankfurckiej. Za to, co obecnie dzieje się z Europą, a także ze Stanami Zjednoczonymi, skupieni w niej filo-

zofowie i profesorowie socjologii, ponoszą główną część winy. „Zgnilizna nadal idzie ze Szkoły Frankfurckiej” – napisał niedawno pewien publicysta, którego cenię za przenikliwość i odwagę, i trudno się z nim nie zgodzić. Niemcy jako zbiorowość od czasów drugiej wojny światowej są mocno uzależnieni od swoistej pornografii zła i tylko ono zdaje się ich fascynować. Natężenia tego typu odchyłki od normy nie spotkamy w żadnym innym społeczeństwie europejskim, i to jest to, co ten kraj wyróżnia a nawet każe się mieć przed nim na baczności.

Dla przypomnienia: Szkołą Frankfurcką nazwano grono filozofów i socjologów Instytutu Badań Społecznych, który w latach 1923-1933 istniał w uniwersytecie we Frankfurcie nad Menem. Jej dyrektorem był Carl Grunberg (u umlaut) notoryczny marksista. Poza Grunbergem tworzyli ją: Max Horkheimer, Theodor Adorno, Erich Fromm, Herbert Marcuse, Jürgen (u umlaut) Habermas i wielu innych filozofów oraz socjologów. Myśliciele łączyli jedno: szkoła obrała marksizm jako metodologię i w rezultacie stała się na lata główną wylęgarnią europejskiego lewactwa. Ponieważ część profesorów była żydowskiego pochodzenia, musiała opuścić Niemcy po dojściu Hitlera do władzy w roku 1933. Paradoksalnie ta wymuszona emigracja pośrednio przyczyniła się do szerszego upowszechnienia dorobku Szkoły, która odtworzyła się bardzo szybko przy paryskiej École Normale Supérieure i nowojorskim Columbia University.

Od samego początku Szkoła Frankfurcka stawiała sobie bardzo ambitne plany gruntownej, prawie rewolucyjnej, przebudowy życia społecznego i jego instytucji, których sens dalszego istnienia w dotychczasowej formie kwestionowano jako przejaw skostnienia i nienadążania za postępem. Z tego powodu podważano tradycyjny porządek społeczny, obowiązujące hierarchie i respektowane wartości, które uważano za przeżytek. Aby dokonać kardynalnych zmian, filozofowie tworzący Szkołę Frankfurcką zamierzali wykorzystywać energię buntów i niepokojów społecznych oraz tak modelować ich przebieg, by były one zgodne z wyznaczanymi teoriami.

Dopiero po roku 1949 część uczonych powróciła do Frankfurtu nad Menem, choć bardzo wielu zadomowiło się na stałe w życiu intelektualnym Ameryki, prowadząc dalej swoją destrukcyjną robotę w tym kraju.

Z czasem w Stanach Zjednoczonych jej profesorowie opanowali wy-

działy socjologii na najważniejszych uniwersytetach amerykańskich i np. taki Herbert Marcuse patronował wielkiej młodzieżowej ruchowce lat sześćdziesiątych zeszłego stulecia, rewolucji seksualnej, jaka się wówczas dokonała i całej kontrkulturze. To w kręgu Szkoły Frankfurckiej w okresie wojny wietnamskiej sformułowano chwytliwe hasło: „Make love, not war” („Uprawiaj miłość, nie wojnę”). Młodym ludziom, bardzo się ono spodobało, więc uznali je za swoje.

A przecież upadek Stanów Zjednoczonych, jako imperium o charakterze globalnym, zaczął się od dotkliwej porażki jaką kraj ten poniósł właśnie w wojnie wietnamskiej, do czego skrupulatnie wprowadzane w życie, pacyfistyczne pomysły uczonych ze Szkoły Frankfurckiej walenie się przyczyniły, gdyż Ameryka przegrała wojnę nie w azjatyckiej dżungli, lecz na ulicach amerykańskich miast. W następnych latach proces degrengolady jeszcze nabral przyspieszenia.

Równoległe nadeszła rewolta obyczajowa. Marcuse był autorem głośnej książki *Eros and Civilisation*, którą obwołano swoistą Biblią tamtego czasu. Od tej pory swobodę seksualną uznano za podstawowy wyznacznik wolności jednostki. Życiem zdawała się dyrygować atrakcyjna triada: sex, drugs i rock and roll. Poza tym, jak go określano w języku potocznym, było to pokolenie „szybkie i wściekłe”. Kokaina i haszysz dawały niezłego kopa. O wiele gorzej bywało z refleksją.

Bez mała wszystkie zjawiska niszczące obecnie tkanki życia społecznego mają swoje korzenie lub znalazły impuls do działania, w pracach uczonych powiązanych ze Szkołą Frankfurcką. Sam zestaw problemów jest szokujący i daje bardzo dużo do myślenia.

A zatem przedstawiciele Szkoły Frankfurckiej, odnosząc się tylko do ich publikacji i działalności publicznej, należy oskarżyć o następujące grzechy główne: ustanowienie przestępstw rasowych, nawoływanie do ciągłych zmian, często z przesadą nazywanych rewolucjami, w celu podsycania i utrzymania napięć społecznych oraz nieporozumień, nauczanie dzieci o seksie i homoseksualizmie, chroniczne podważanie autorytetu szkoły i nauczycieli, propagowanie wielkich przemieszczeń migracyjnych ludności tylko po to, by systematycznie rozmywać tożsamość narodową, a nawet ją zniszczyć, bałwochwalczy stosunek do multikulti i bagatelizowanie różnic, które dzielą ludzi, walka z religią na płaszczyźnie kultury,





w myśl dyżurnego hasła: „opróżnić kościoły”, opowiadanie się za nierzetelnym systemem prawnym, gdzie do głosu często dochodzą uprzedzenia wobec ofiar przestępstw, uzależnienie jednostek od państwa czy świadczeń państwowych, kontrola i ogłupianie mediów np. za pomocą poprawności politycznej, która bardzo często przyjmuje formę autocenzury, zachęcanie do rozpadu rodziny, wychowanie młodego pokolenia pozbawione jakichkolwiek rygorów i wymagań; wiele złego spowodowało tropienie wszędzie ksenofobii, antysemityzmu i nacjonalistycznej gorączki, nawet tam, gdzie ich nie ma, co w zachowaniach liberalnego establishmentu bardzo szybko zmieniło się w dyżurny odruch psa Pawłowa itp. Trzeba bezstronnie przyznać, że nic tak dobrze nie wychodziło Szkole Frankfurckiej jak sianie zamętu społecznego.

Do tego należy dodać sporo spraw szczegółowych, jak np. szczenie kobiet przeciwko mężczyznom, pod hasłem dążenia do wyzwolenia spod męskiej dominacji i osiągnięcia równości, czyli Szkoła Frankfurcka kryje się także za ustanowieniem i promocją wszelkich ruchów feministycznych. Niektórzy są przekonani, że swoje pomysły społeczne szkoła szczególnie chętnie adresowała do jednostek rozdartych, neurastenicznych lub zagubionych wewnętrznie.

Obecnie obserwujemy nieodwracalne skutki gigantycznych zniszczeń jakich w imię postępu dokonała Szkoła Frankfurcka i jej nadgorliwi wyznawcy, przede wszystkim w Niemczech, które zostały psychicznie sparaliżowane, bo w mieszkańcach zanika zarówno odwaga, jak i duch oporu. Coś podobnego dzieje się również w życiu zbiorowym pozostałych krajów europejskich.

Jedno nie ulega wątpliwości. Śmiertelnie chora Europa, w której z każdym rokiem coraz mniej wartości europejskich, wyraźnie dryfuje w stronę topornej barbarii i samounicestwienia. Podobno nikt i nic nie zdoła już zawrócić jej z tej drogi w stronę przepaści i uratować kontynent przed nieuchronnie nadciągającym krachem.

Tak naprawdę pogańska Europa, ostentacyjnie odcinająca się od swoich chrześcijańskich korzeni, nie ma obecnie żadnych szans w konfrontacji np. z silnie zintegrowaną wokół własnej religii mniejszością muzułmańską i jej agresywną determinacją oraz porażającą przewagą demograficzną. Może co najwyżej wywieszać białe flagi i ze strachu podnosić ręce do góry, co czyni nader chętnie, z genetycznego tchórzostwa

oraz osobistej wygody poszczególnych jednostek.

Ale to nie koniec gromadzących się chmur. Istnieje jeszcze inne zagrożenie, ponieważ wszystkimi bez wyjątku chorobami Szkoły Frankfurckiej Niemcy zaraziły w ciągu ubiegłych lat Unię Europejską, gdzie odgrywają rolę dominującą, przed czym ostrzegała dawno temu premier Wielkiej Brytanii Margaret Thatcher, lecz Bruksela jakby tego nie dostrzega, choć rokowania na przyszłość są dla niej niekorzystne i muszą zakończyć się katastrofą, gdyż skuteczna terapia, czytaj: gruntowna przebudowa UE, jest stale odwlekana, a czasu nie pozostało zbyt wiele, potem na wszystko może być za późno.

Ciekawe skąd bierze się to kunktatorstwo? Nietrudno zgadnąć, ponieważ większość biurokratów, którzy obsadzili najważniejsze stanowiska w Brukseli to wychowankowie lub pojętni uczniowie Szkoły Frankfurckiej oraz zasłużeni uczestnicy młodzieżowej ruchawki roku 1968. Niedaleko więc pada jabłko od jabłoni. Nadal są zakamuflowanymi lewakami.

Tymczasem dogłębne zreformowanie UE oznacza niezwłocznie wyrzucenie na śmietnik większości zaleceń oraz odkryć Szkoły Frankfurckiej i proponowanych przez jej guru praktyk społecznych. By sprzeniewierzyć się bezkrytycznie uwielbianym mistrzom trzeba dużo odwagi, a przede wszystkim silnego charakteru. Nikt z eurobiurokratów nie jest do tej naprawy przygotowany psychicznie i intelektualnie, bo brakuje im zarówno jednego, jak i drugiego. Dlatego nie chcąc ryzykować zmian brną w beznadziejną kontynuację unijnego bałaganu, który nie sprawdza się na płaszczyźnie metod i sposobów działania. Jest to zatem porażka na całej linii. Z czego się cieszyć.

W podobnych sytuacjach Anglicy recytują tylko dwa słowa: „no comment”. Zdaje się, że żadne zdania komentarza w niczym nie oddadzą tłoczących się myśli i uczuć. Być może trzeba w tym miejscu odwołać się do literatury pięknej.

Istnieje wiersz *Czekając na barbarzyńców* Konstandinosa Kawafisa, greckiego poety (1863-1933), który mieszkał i tworzył w Aleksandrii. Od tego autora zapożyczyłem tytuł tego tekstu o wielu niezbyt optymistycznych zjawiskach współczesności.

Utwór, przetłumaczony przez Zygmunta Kubiaka opisuje dziwne zachowanie władców i zwykłych obywateli pewnego miasta-państwa, gdzie nic szczególnego się nie dzieje, poza celebrowaniem czekania. Wszyscy pragną zmiany, lecz całą nadzieję pokładają

w barbarzyńcach, czemu towarzyszy powszechna wiara, że gdy przyjdą, narreszcie zaprowadzą swoje porządki. W tej sytuacji wszelkie działanie nie ma sensu. Największą wagę przywiązuje się do uległości. Takie postępowanie podpowiada zwyczajny rozsądek i instynkt samozachowawczy. Jedno pragnienie dominuje: tubylcy przede wszystkim chcą dobrze wypaść. Dlatego biorą udział w gorączkowych przygotowaniach do uroczystego powitania barbarzyńców. Jego program jest dopracowany w najdrobniejszych szczegółach. Z jednej strony powinien olśnić przybyszów, z drugiej – zjednać ich przychylności. W końcu – wszystko zostaje zapięte na ostatni guzik. Jeszcze trochę cierpliwości a spełnią się powszechne oczekiwania. Ale barbarzyńcy nie nadchodzą, więc zamiast euforii szok i zaskoczenie. Może wypadło im coś pilniejszego albo w ostatniej chwili, zupełnie zmienili swoje plany. Niestety:

Jacyś nasi, co właśnie od granicy przybyli,  
mówią, że już nie ma żadnych barbarzyńców.

Bez barbarzyńców – cóż pocniemy teraz?

Ci ludzie byli jakimś rozwiązaniem.

Dzisiaj sytuacja naszego kontynentu jest zupełnie odmienna niż w utworze Kawafisa, bo barbarzyńcy zalewają Europę drzwiami i oknami. Przy okazji chowając się za humanitaryzm coraz łatwiej głosić podniosłe slogany. W tej sytuacji nie warto nawet dociekać, gdzie podziła się logiczna elegancja myślenia. Skoro uproszczone sądy o rzeczywistości, stają się powszechnymi opiniami, szary człowiek ulicy nauczył się je zmieniać zależnie od okoliczności, bezgranicznie z siebie zadowolony, że stać go na odwagę poszukiwania, za każdym razem czegoś nowego, w imię tak zwanego postępu i pełniejszego rozwoju własnej osobowości. Ale najgorsze w tym wszystkim, że anarchizacyjny, a w gruncie rzeczy bałaganiarski banał i rezygnację, skutecznie pomyłono z doznawaniem i przeżywaniem wolności. Najcięższa próba zawsze spada na człowieka w chwili klęski.

W roku 2008 niemiecki malarz Ronon Eidelman gorąco zachęcał Izrael, aby przeniósł się do Europy. Jako miejsce osiedlenia proponował Niemcy albo Polskę. Od czasów Adolfa H. zdanie malarzy w Niemczech należy brać pod uwagę, bo przecież nigdy nic z nimi nie wiadomo.

# TADEUSZ SŁAWEK

---

## hdt – NA SKRAJU. ESEJ NA GŁOS I KONTRABAS.

### 1.

#### hdt

Henry David Thoreau, właściwie David Henry Thoreau.  
Urodzony na farmie przy Virginia Road, w mieście Concord,  
trzecie dziecko Johna i Cynthii Thoreau, 12 lipca 1817 roku.  
John założył w tym mieście fabryczkę ołówków,  
i odtąd rodzinie wiodło się całkiem znośnie.  
Może na przekór temu wszystkiemu zmieniłem kolejność imion  
i stałem się Henrym Davidem Thoreau.

Lecz jeśli człowiek jest tylko topniejącą gliną,  
wystarczy H.D. Thoreau,  
a ponieważ zakładamy, że strumyki tej topniejącej gliny  
spłyną do rzeki i razem z nią do morza,  
wystarczy H.D.T.,  
a zważywszy, że najsumienniejszym rozwiązaniem  
jest powierzyć się strumieniowi tej rzeki jak drewniana drzazga,  
wówczas okazać się konieczne już tylko małe, najmniejsze litery  
wystarczy hdt.  
Jakbym zszedł poniżej dnia swoich narodzin,  
A skoro tak, to w pobliże śmierci.

*Runriverrun, runriverrun*

Spałem na drewnianej pryczy w mej chacie,  
nocowało mnie niebo Massachusetts,  
śnił mnie piasek na Cape Cod,  
na tej samej plaży, na której po sztormie składano zwłoki rozbitków.  
Bo też jako hdt nie mogłem nie być rozbitkiem.  
Niby w sile wieku, bezsilny wobec czasu, żyłem na skraju, nieobliczalnie –  
geometra hdt,  
nie starający się dostać do wyniosłego zamku, nad którego splątane korytarze  
przedkładałem leśne drogi żalące się niebu.  
Jakbym przez całą wieczność wyzbywał się siebie, potem nagle urodził się  
i teraz już koniec.  
Myślę sobie: hdt tak żyłeś,  
tak chodziłeś niestrudzenie, aż doszedłeś,  
do tego łóżka, z którego już nie wstaniesz  
choć daleko ci do starości,  
a twoje ostatnie słowa,  
pomimo tych wszystkich książek,  
wędrówek po Cape Cod, Maine, wspinaczek na szczyt Ktaadn,  
pomimo tych 14 tomów Dzienników,  
twoje ostatnie słowa  
będą tylko dwa – „Ios” i „Indianin”, i jeszcze szept o Ellen Sewall,  
bo jako hdt zawsze żyłeś na skraju.

Urzędnik w ratuszu miasta Concord zapisał w księdze zgonów:  
„Henry D. Thoreau. Lat 44, 9 miesięcy i 24 dni. Przyrodnik”.  
Był 6 maja 1862 roku.



2.

## MIASTO CONCORD

Miasto Concord.

Człowiek utożsamia się z ziemią i z materią tak,  
jak ten, kto ma w swych żyłach ledwie kroplę afrykańskiej krwi  
czuje się murzynem.

Ale duch jest im obcy; miasto lęka się ducha.

Miasto Concord:  
masz 250 domów,  
masz kościół i dom spotkań, szkołę i cmentarz Sleepy Hollow,  
tak piękny, że wydaje się, że pochowane są w nim chmury i deszcze,  
masz wiele sklepów i dworzec kolejowy,  
i wielu masz zacnych, powszechnie szanowanych obywateli ...  
masz więcej niż dwa tysiące mieszkańców,  
to znaczy, że masz więcej niż dwa tysiące dusz.  
Ale... miasto Concord,  
czy ty w ogóle masz ducha?

Zapominam, że to, co dzisiaj nazywa się Concord  
kiedyś nazywało się Musketaquid...  
Gdzie nie pójde, natrafie na pozostałości tego plemienia,  
które zniknęło niczym wdeptane w ziemię.  
Moje kroki idą ścieżką jego przeznaczeń.  
Rozrzucam stopą popioły ich ognisk, ślady ich polowań.  
Ziarno sadzę w tej samej bruździe, z której i im wzrastało,  
gdzie się nie zwrócę, natrafiam na ślady, wspomnienia.  
Jako hdt żyję na skraju.

Życie dobre: proste, niezależne, wielkoduszne i ufne.  
(ufność to spokój i zdrowie).  
Mimo wszystko: chociaż świat nigdy nie przestanie toczyć swoich wojen.



Rys. Bogna Skwara





## TADEUSZ SŁAWEK

### 3. KSIĄŻKA

Myślę, że mógłbym napisać wiersz pod tytułem „Concord”.  
 Za materiał miałbym w pierwszym rzędzie nie ludzi, ale Rzekę, Lasy, Stawy, Wzgórza, Pola,  
 Łąki i Bagniska, Domy i Ulice, mieszkańców wreszcie.  
 A dalej – Ranek, Południe i Wieczór,  
 Wiosnę, Lato, Jesień, Zimę, Babie Lato,  
 i Góry na Horyzoncie. (1.282)

Książka winna być tak prawdziwa, by ludzie czuli ją  
 tak bezpośrednio i blisko, jak czują na twarzy słońce –  
 takie słowo padnie rzadko tylko, na przykład wobec towarzysza,  
 kiedy latem idziecie przez las,  
 zachowując niezmaconą ciszę.

Z tysiąca wydrukowanych egzemplarzy *Walden*  
 Zwrócono mi 706, mam więc w domu pokaźną bibliotekę  
 dzieł mojego własnego pióra.

Rys. Bogna Skwara



## 4.

**PRAWO**

A była niedziela, gdy położyliśmy z bratem nasze czołno na wodę.  
 Ludzie wychodzili z kościoła.  
 Waliło dzwonem serce powietrza.  
 Wszystko było zgodne z prawem:  
 Na południu zgodnie z prawem wyprowadzono niewolników na pola bawełny.  
 Wszyscy zapomnieli, że w tym wszystkim nie chodzi o prawo, ale o sprawiedliwość.  
 Dlatego na południe, zgodnie z prawem, lecz niezgodnie ze sprawiedliwością,  
 wyprowadzano niewolników na pola bawełny.  
 Gdy upomnieli się o sprawiedliwość, zgodnie z prawem wieszano ich na drzewach,  
 niczym dojrzały owoc. *Strange fruit*.  
 Czasem kastrowali ich i wciskali penisa do ust.  
 Choć to pewnie już nie było zgodne z prawem.  
 Ale ponieważ prawo nie mówiło, żeby tego nie robić, więc czemu nie?  
 Nasz czas jest kolczasty.  
 Trzyma nas na krótkim łańcuchu.  
 Jeździ po nas jak tłusta lokomotywa.  
 Obcy siewcy sieją w naszym czasie.

Widziałem, jak stali z rękami wzniesionymi w górę  
 i wzywali, mozolni tancerze bawełny naznaczeni ranami,  
 by zstąpił Mojżesz i postawiwszy żagiel wolności wyprowadził ich  
 z mielizny tych pól – lecz Mojżesz nie przyszedł,  
 Noe nie zbudował arki, nie było potopu, Bóg odwołał deszcze.  
 Bawełna wciąż rosła i rosła.

Kiedyś, kiedy wiatr dudnił niczym pociąg po dachu mej chaty nad jeziorem Walden,  
 miałem sen: na gliniastej ziemi, pod tysiącem gwiazd,  
 spoglądając w dopiero co odryglowane drzwi wagonów,  
 stały kobiety, niektóre dygotały w chłodzie, inne zasłaniały nagość,  
 ale jedna z nich, o włosach białych jak skrzydło mewy,  
 wznosiła ramiona zawodząc „Szma Israel, Adonai Elohejnu”,  
 przyjdź jedyny, mój jedyny Boże,  
 wyrzucała ramiona w górę, jakby chciała przyciągnąć niebo do ziemi,  
 nakryć się niebem jak kocem –  
 ale Bóg nie przyszedł, koc nieba wymknął się wyciągniętym ręką  
 i kobiety rozwiały się w bladym świetle poranka jak dym.

Miej zaufanie do historii: użyj wszystkich okrutnych sposobów,  
 a zna ich tysiące, by odsłonić absurdalność twojego istnienia,  
 codziennej krzątaniny, naiwnie nazywanej życiem. A przecież nie mamy nic innego.



## TADEUSZ SŁAWEK

---

### 5.

#### SUMIENIE

„Gdyby znalazł się choć jeden uczciwy człowiek, który dałby wolność swoim niewolnikom i wycofałby się w ten sposób z całej spółki, a zamknięto by go za to w więzieniu, zniósłby tym samym niewolnictwo w całej Ameryce”.

„Po co człowiek ma sumienie?”  
Kilka ewentualnych odpowiedzi:

Żeby nie być bezsilny wobec Boga.  
Gdyby Abraham miał sumienie, nie poszedłby na górę Choreb z Izaakiem.

Żeby człowiek miał wyobraźnię  
i nie był bardziej absurdalny od swego losu.

Aby móc być mniej marionetkowy niż świat spraw ludzkich.  
Aby człowiek mógł się trzymać na marginesie i być człowiekiem peryferii.

Żeby człowiek nie opowiadał o sobie natchnionych baśni  
z tysiąca i drugiej nocy.

Żeby człowiek mógł powiedzieć: „nie wszystko zaprzepąściłem, nie wszystko przegrałem”.  
I jednocześnie wiedzieć, że nie znaczy to, że cokolwiek wygrał czy osiągnął.

Żeby człowiek wiedział, że jest tylko gościem, a nie gospodarzem.  
I to gościem szczególnym:  
nie wie u kogo gości, gdzie mieszka gospodarz,  
jest wielce prawdopodobne, że gospodarz nie ma żadnego obowiązku bawienia swych gości.  
Co więcej, może w ogóle być niegościnnie.  
A jednak jestem tu gościem.  
Muszę w to wierzyć, aby odrzucić pokusę uznania siebie za gospodarza.

Po co człowiekowi sumienie?  
Żeby nie uznawał zbyt łatwo co dobre, co złe.  
Żeby wiedział, że tkanina prawdy jest pofałdowana i kryje wiele tajemnic.

Po co człowiekowi sumienie?  
Żeby mógł w narastającej ciemności wojować z napierającym zewsząd bagnem.

### 6.

#### NIEPOSŁUSZEŃSTWO

Posłusznie *melduję*.  
Nieposłusznie *pytam*.

Nieposłuszeństwo może czasami nie wiedzieć, co począć.  
Ale właśnie tak trzeba, gdy wmawiają ci, jak doskonale jesteś rządzony.

Posłuszeństwo jest ociężałe,  
nieposłuszeństwo ma lekkie stopy i przenosi się z miejsca w miejsce.  
Wraz z nim zmienia się obraz świata.

Posłuszeństwo krzyczy gromko – „naród”, „państwo”, „rodacy” ...  
Nieposłuszeństwo prosto do ucha szepcze – „Kowalski”, „Malinowski”, „Smith”

...

Posłuszeństwo nadużywa prawa, ale czasami to  
dzięki nieposłuszeństwu dzieje się sprawiedliwość.  
Zaprawdę godne to i sprawiedliwe  
szukać perły nieposłuszeństwa.



## 7.

## WYKŁAD

Najchętniej wykladałbym.

Chociaż nauczyciel zarabia tylko 100 dolarów – jeśli jest mężczyzną,

I ledwie 40 jeśli jest kobietą.

Lubię to bardziej niż być geodetą i odmierzać działki farmerom.

Jakby cokolwiek ważnego dało się odmierzyć.

Ale zeszłej zimy nie zaproszono mnie na ani jeden wykład,

A w tym roku tylko jeden jedyny raz i to za darmo.

Za to ofert do odmierzania gruntu mam aż za dużo.

Uderzająca jest głupota i umysłowa powolność farmerów.

Nawet chodzę dla nich zbyt szybko.

A taki żywot martwi mnie

i nie znajduję dla niego usprawiedliwienia poza tymi paroma dolarami.

Żyję wtedy byle jak, nie zwracając nawet uwagi na to, co jem.

A to moja wina.

Jakbym świadomie zdeptał na ścieżce wiewiórkę.

Jedzenie i praca, a właściwie praca i jedzenie to rozdziały tej samej księgi.

A gdy pracuję tak bezmyślnie wśród ludzi, którzy niczego ode mnie nie wymagają

(bo nie wymagają niczego od siebie samych),

czuję się jakbym bazgrał, oczy miał mokre i powieki opuchnięte z wysiłku.

Wtedy, gdy robię to, co chcę, nigdy nie piję herbaty ani kawy, nie jem też mięsa.

A tu w tym tygodniu pośród tego całego mierzenia gruntów,

aż cztery razy trafia się na stole herbata i zawsze mięso.

Mięso zawsze, krwiste łono matki, bez którego ci farmerzy nie potrafiliby się narodzić,

mięso – jedyna chluba ich marzeń, jedyne ich lektury to grube albumy mięsa,

których karty przewracają palcami grubymi od harówki,

zostawiając na nich krwawe odciski kciuków.

Jakbym celebrował rewolucyjne święto gilotyny.

Wykładanie jest trochę nie-ludzkie;

Od-swaja wszystko, co się do tej pory wiedziało.

Ma początek, ale nigdy nie wiadomo, gdzie znajdzie swój koniec.

Jest o tym, że coś w świecie każe nam myśleć,

i że nie domyślimy się nigdy, czym jest to *coś*.

## Z listów do Leonarda Neugera

Zdjęcia: Arkadiusz Lawrynowicz



Paula Tranströmer

# Mój Tranströmer

---

 PIOTR ZACZKOWSKI
 

---

Zgodnie ze spostrzeżeniem Tomasa Tranströmera, przechowywanym w wierszu *Zapomniany kapitan*: „(...) pisanie o umarłych / to także zabawa / która nabiera wagi / od tego co nadejdzie”.

Oczywiście, zapominanie kapitanów jest łatwiejsze, bo zostawili po sobie co najwyżej dzienniki pokładowe, na tyle osobowe, na ile osobny był charakter pisma, którym odnotowali ciężar towarów bądź wątłe wspomnienie portów, przyjaznych lub nieprzyjaznych prądów i przypadkowe imiona mijanych statków pod obojętną banderą.

Bez wątplenia niektórzy „umarli, / co zeszedli pod pokład, są z nami / razem

w drodze” i być może przydarza się to zarówno kapitanom, jak i pierwszym oficerom, a nawet chłopcom okrętowym, którzy czegoś wypatrywali – daremnie – z niecierpliwego gniazda. Wiersz, który cytuję, nosi tytuł *Epilog*, a więc przypomina regułę, że każda podróż ma swój kres, zaś cisza morska niewiele różni się, a może wcale, od milczenia cmentarzy.

Pisanie lub mówienie o umarłych potocznie to zabawa bezpieczna, nawet wówczas, gdy zamykamy tomiki i bawimy się sami ze sobą z naszą depresją. Myślę o czymś wierszu, ten wiersz odpisuję w sobie – i jednocześnie

wiersz odpisuje mnie samemu. W haiku Tranströmera: „Śmierć schyla się / nade mną, / problem szachowy. / Ma rozwiązanie”. Życie fragmentu przygląda mi się z drugiego brzegu, więc nie przygląda wcale, lecz to ja się w ten fragment wpatruję. I mimo że istnieję sam, to niesamotnie, bo odnaleziony cytat jest mi przyjazny, jest mi pociechą.

Wiem, że życie nie szuka rozwiązań problemu szachowego, że nie rozwiązuje żadnego problemu. Bezpiecznie zabawiam się słowami odnalezionymi w książce, moja depresja dopływa do przystani uspokojenie, za mną, w rze-

ce, w morzu Heraklita, dryfują odwrócone grzbietem szachownice.

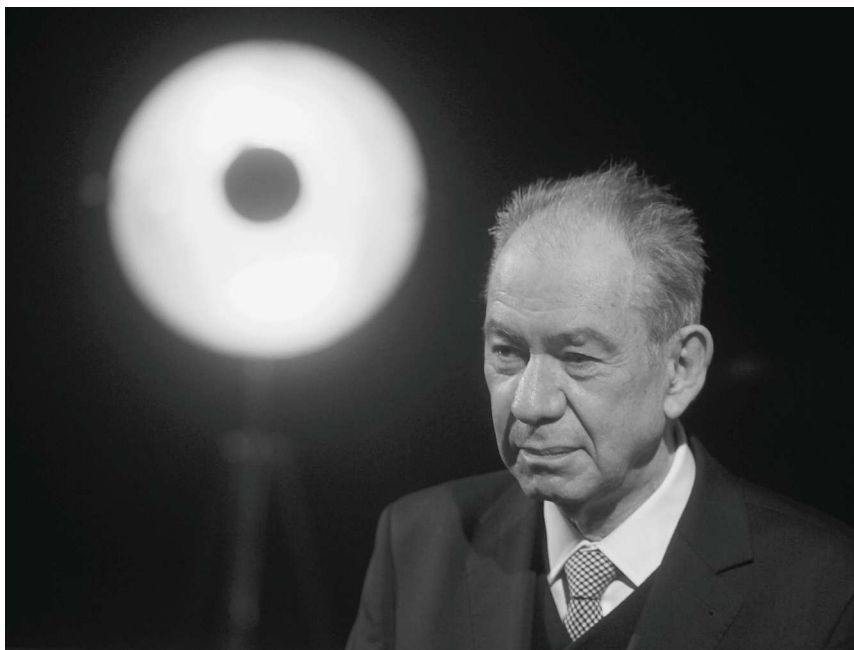
I może jeszcze dumam o czymś, może zasypiam. Na użytek tego szkicu budzę się z wierszem Tranströmera: „Przebudzenie jest skokiem spadochronowym ze snu. / Uwolniony od duszącego wiru podróżny / opada ku zielonej strefie poranka”.

To początek wiersza bez tytułu, otwierającego polskojęzyczny wybór poezji, ogłoszony przez Wydawnictwo a5. Skok spadochronowy zdarzył się podróżnemu, co nie jest typowe, gdyż żaden bilet lotniczy i żadna karta pokładowa tego nie obiecuje. Ale być może pasażer jest również pilotem, być może wszystkie role oraz losy są wymienne i zmienne. Na pewno spadochron „uwalnia” od samej podróży, od jej „duszącego wiru”, wstrzymuje, powstrzymuje wir, bo pozwala opaść ku innej, ku „zielonej strefie”. To wszystko dzieje się po moim przebudzeniu – trzeba jednak pamiętać, że przebudziłem się do lektury wiersza Tranströmera, chociaż tak naprawdę sam wiersz postanawia mnie, oderwanego od snu, bezradnego po przebudzeniu, czytać.

Wszystko – wiersz Tranströmera i moja z wierszem rozmowa – dostępne jest na pokładzie przelatującego przez życie życia, które ma skłonność do wpadania w turbulencje. Mimo to możliwy jednak bywa skok w życzliwą „strefę poranka”, skok jak słowo ziemia. Dlatego bardzo podoba mi się finał wiersza: „W pierwszych godzinach dnia świadomość może ogarnąć świat / jak dłoń chwytająca ogrzany słońcem kamień. / Podróżny stoi pod drzewem. Czy, / po tym spadaniu przez wir śmierci, / ogromne światło rozwinie się ponad jego głową?”. Łatwo gość się na słowo wir, gdyż nie dusi, jest dobre, syte, codzienne, ... jest od „pierwszych godzin”, a więc na pewno od godzin tyle śmiertelnych, ile żywych, dotkliwych i jak należy bolesnych.

Spadochronowy skok w zieleń lasu bywa niebezpieczny, lecz podróżny – był nim podmiot liryczny, był sam Tranströmer i teraz ja czuję się tym podróżnym – zdołał wylądować, przyznajmy, szczęśliwie. Wstał z łóżka, łóżko go opuściło, a on stoi, nic złego nie stało się jego wyprostowanej, poniekąd uproszczonej, ale mimo wszystko korzystnej, postawie. Jest cały, potrafi zobaczyć coś ważnego – wolno mu to podejrzeć, nieproszonemu i zaproszonemu, u Tranströmera – widzi, że nad jego losem rozwinęła się czasza światła – „ogromnego światła”. (Czy naprawdę jest gotowy ogarnąć przygodę nowego dnia zmysłami, czy chciałby chwycić „ogrzany słońcem kamień”, pozostawmy w nawiasie).

W mitach po niebie wędrowali bogowie, zapalali i gasili światła, gubili w roztargnieniu iskry bądź gwiazdy. Nie ma mitów o skokach spadochronowych, ale bardzo chcę, aby były, aby pozwalały oswoić sny ludzi – i samych ludzi – z ziemią.



Leonard Neuger

Później, po powrocie z biura, przy wieczornym biurku, próbuję napisać długi list do elegii, ale nie piszę listu, otwieram książkę z wierszami. W *Elegii* Tranströmera odnajdziemy zalecenie, aby „Wspiąć się na bąburkę Śmierci”. Bąburka to lewa burta – bierna, ospała, trudniejsza, gorsza – znaczona czerwoną latarnią, która przed czymś przestrzega. Słowo śmierć na tej szczególnej burcie napisano z wielkiej, a więc ceremonialnej litery. Wspiąć się zatem trzeba na coś bardzo ważnego, ale to burta statku, a więc dla samotnej wspinaczki, dla osamotnionego abordażu – nieosiągalna. Wspiąć się trzeba, kaleczyć dłonie, łamać paznokcie, aby w tym wszystkim pękniętym, złama-

nym, pozostać w losie, który to nakazuje. Wspiąć się być może po to jedynie, by – jak wyznał Tranströmer w wierszu *Dźwięk* – „Cmentarz i szkolne boisko spotkały się i połączyły / jak dwa nurty w morzu” Myślę, że Tomas Tranströmer mógłby wysłać lapidarny telegram – „Cmentarz i szkolne boisko” – na adres elegii.

Wiem, Pani Elegio, że nie powinienem być tego robić – wiem, że nie należało wybiegać ze szkoły w mokrym od potu mundurku. Jakże dziecinnie, Pani Elegio, wyobrażałem sobie śmierć, jakże łatwo pisało się ją z małej litery, koślawo, niegramatycznie, nieskładnie i z nadmiarem krzyku. Nie otwarto jeszcze ulic, a ja tak szybko biegłem,



Marian Kisiel i Malwina Mus





Adam Zagajewski

Pani Elegio. I biegłem, Pani Elegio, z wiatrem, biały kołnierzyk mojego mundurka powiewał na wietrze, na wietrzyku, powiewał jak czarny żagielek.

Teraz, już wiem, jak wiedział Tranströmer, że „Śmierć jest bezwietrzna”. I wiem, że trzeba ją długo, bez pośpiechu czytać – i czytać zwyczajnie. Wiersze też są zwyczajne. W tym samym bezwietrznym haiku: „Jakaś kobieta wiesz pranie / w czyszy” – i pewno nadal to czyni, gdy czytamy o niej, a wiersz się smutno uśmiecha.

„Puste mieszkanie to wielka luneta, skierowana prosto w niebo”, przypomina Tranströmer. Puste mieszkanie to opuszczona kajuta, i okno maleńkie. Widok z niego prowadzi na życie albo na morze, które widzi, jak wspomnienie, niebo. A wcześniej wypada nam tylko czytać „fragmenty / które były długo w drodze”. Czytać i już lepiej rozumieć. Jak w impresji *Szkoła realna*, z prozy *Wspomnienia mnie widzą*: „Lustro widzi tylko moją ostatnią z rzędu twarz, ja czuję wszystkie wcześniejsze”.

Wiem bardzo dobrze, że każda szkoła realna, szkoła rzeczywista i nadrealna, potrafi nauczyć ucieczki do wnętrza lustra. I ja się bałem, że gdy stanę naprzeciw odbicia, to zginę.

Emil Cioran pisał w *Księdze złudzeń*: „Jedynym środkiem zaradczym na przeciętność jest cierpienie”. Efekciarski Cioran i tyle. Marzyła mu się z góry przesądzona, umęczona loteria i azyl na biegunie depresji. Jedyną odpowiedzią na przeciętność jest pisanie. Jakoś mi bliższy jest Tranströmer. Właśnie przekroczył próg pokoju do wynajęcia: „Zatrzymałem się na noc w motelu przy E3”. Motele, hotele, stacje i pracownie zdarzają się każdemu – wprowa-

dzamy się do nich i czasem jeszcze wprowadzamy kogoś ze sobą. Jestem przekonany, że pisanie jest takim zatrzymaniem się na noc, dzięki któremu łatwiej (czy uczciwiej) da się coś zrozumieć ze świata albo z fragmentu, z grudki świata – w podróży albo w przypadkowych pokojach, gdzieś przy E3, przy jakiejś drodze A lub Z.

Podmiot „Galerii” kupił sobie pauzę w podróży, zapłacił za pokój w motelu. W takich pokojach pozostają zapachy lub wyobrażenia zapachów – da się je wyczuć, jakby zmysły od progu studiowały księgę meldunkową innych zmysłów. Te zmysły, spełnione i niedopełnione, można dostrzec na ścianach. Przypominają maski teatralne, azjatyckie, nie tyle dookreślają owal twarzy, ile go poszerzają, ubarwiają demonicznie lub z tendencją komiczną, niewątpliwie niezemską, bo zbyt kolorową. Skoro „przedzierają się przez białą ścianę”, powinny to czynić z potrzeby kontrastu, powinny łamać i odrzucać biel – jakby łamało się i odrzucało pustkę. Maski przecież inicjują rytuał, wypełniają niewypełnione. Maski jest rzeczą, która może być – albo mogła być – ale tak naprawdę nie jest echem czegoś, a kogoś.

Biała ściana jest jednak ścianą „zapomnienia”. Przedzieranie się, przechodzenie skrycie – domniemy, że z tego, co się śni – do jawy, ku „rozbudzeniu”, nie nadaje aktowi obecności podmiotu statusu widza, a więc współuczestnika magicznego pokazu. To nie ściana motelu odgradza, a któraś ze ścian wzniesiona w sobie. Maski „znikają i pojawiają się znowu”. Są widome i – jak wszystkie pamiętania rozdzielane przez czas, przedzierające się przez czas – widmowe.

Więzienie ma wiele ścian. Czy dlatego „Panuje tu smutek chociaż tak się nie nazywa?”. Można odczuwać smutek, czuć się smutnym. Kodeksy karne i sądy – zarówno czasowe, jak i ostateczne – są nie tyle smutne, ile surowe. W pewnych uzasadnionych wypadkach i sądy, i więzienia, można uznać za absurdalne. Kiedy powiemy „panuje radość”, proklamujemy euforię, mówiąc „panuje smutek”, ogłaszamy na obszarze życia depresję. Ale smutek, który „tak się nie nazywa”, który nie ma imienia, utracił (czy zatracił) sens i tożsamość. Wiele w nim utajonego, tłoczącego się w podświadomości zawstydzenia i dużo szeptanej po kątach winy: „zapomnienie i pamięć prowadzą swoje / ciemne interesy”. Wiele w nim cierpienia, takiego dosłownego i niezbyt wysokich lotów: „Witajcie w prawdziwej galerii! / Witajcie na prawdziwych galeriach! / Za prawdziwymi kratami!”. Klatka pamięci jest otwarta. Papuga śmierci (w masce rajskiego ptaka?) powtarza imiona, znaki imion: „Chłopiec który uderzeniem karate sparaliżował / człowieka”; „Kobieta kupuje i kupuje rzeczy / by je wrzucać w paszczę pustki”; „Pan X nie waży się wyjść z pokoju”; „Ona która kiedyś uciekła z Karelii”. I tak dalej.

W dziwnej, koszmarniej galerii, czas, jak na galeriach, nie płynie do przodu, a zawsze do tyłu. Dla pana X cykl życia nie zamyka się w kole, to koło rani, bo jest „ostrokolem” – może nie tylko dla pana X. Maski wyszły ze snu, ze ściany, zza kurtyny. Bez litości, w pozbawionym rygoru ruchu, zmieszane i pomieszane, jakby mówiły, jedne przez drugie, monstrialne, kolorowe owady, postaci teatru Nō. Patrzenie się opatrzyło, zabandażowano oczy, ale one do końca pozostaną „szeroko otwarte pod bandażem”. Tak bywa – „Zatrzymałem się na noc w domu w którym wszystko slychać” – tak się zdarza, zdarzało. „Domy lunatyków” otwarte są całą dobę, w kasynek dla żywych trupów ktoś wciąż miesza losy, nie wygrywa ani białe, ani czarne. W świecie nie jest ani ciepło, ani zimno. Jest strasznie i głupio. Trwa karnawał uczynków, w przesadnych i za dużych maskach.

Co jest tak „niewyraźne”, że aż „przygniata”? Dlaczego z ciężarów się „wyrasta”? Dlaczego światu można sprostać tylko wtedy, gdy się „wyrasta z niego”? Co skłoniło człowieka, by się zatrzymał, zaniechał na chwilę wędrówki? Dlaczego nie zakorzenił się we wnętrzu skały albo nie zamieszkał w „skorupce ślimaka”, użytecznej i jak dom zręcznej? Dlaczego – mimo wszystko – „To jest jego życie, to jest jego labirynt”? Dlaczego nasz wspólny, dlaczego każdego labirynt?

W domu pamięci nie traci się pamięci, ale „dawne odpowiedzi pełną bezdomne”. Tylko zmysły znają właściwą odpowiedź: „Czasem choć nieczęsto zdarza się / że ktoś z nas rzeczywiście widzi drugiego”. Drugiego, czyli kolej-

nego, czyli odbitego, powtórzonego, jakby powtarzało się samego siebie: „na moment ukazuje się człowiek / jak na fotografii tylko wyraźniej”. Świat jest zawsze osobowy. Na fotografii osobowe jest umowne, bo chwilowe, bo w takiej czy innej scenografii, z modelem, który nałożył maskę lub który nigdy maski nie zdejmował. Pamięć w nikłym stopniu gromadzi fotografie, bardziej zainteresowana jest błyskami fleszy – wtedy życie staje się wyraźniejsze i widać znacznie więcej.

*Galeria* Tranströmera jest jednak o czymś jeszcze. O przygodzie zapisywania pamięci, o przygodzie, która zawsze kończy się tak samo: „w końcu marginesy występują z brzegów / i zatapiają tekst”. Dla Tranströmera zatopienie nie równało się zagładzie, bezpowrotnej utracie. To wspólny los żaglowców, skarbów, które ukryto w ładowniach, i życia. I pisania.

W prozie poetyckiej *Niebieski dom* Tranströmera prolog przegląda się w sobie: „Ponad zdziczałym sadem trzepocze cień bumerangu rzucanego raz po raz. Ma to związek z kimś, kto mieszkał w tym domu na długo przed moim czasem. Niemal dziecko. Od niego pochodzi impuls, myśl, życzenie: *tworzyć... rysować*. Żeby wydostać się ze swojego losu”. Oczywiście, zazwyczaj trzepocze nie cień, a (jak w *Galerii*) sen, niejednokrotnie senny koszmar, z którego pragniemy się wydostać – jak z zastawionej na siebie pułapki. Sny są w nas i są z nas, a zatem to my je sami piszemy, będąc ich paradoksalnym, wymykającym się z obławy, tworzywem.

Ale zawsze, jak w haiku, przychodzi uspokojenie i wszystko już wiemy: „Samotny bieg treningowy / białego słońca / ku niebieskim górą śmierci”. Bieg treningowy zakłada powagę wysiłku – nie jest bezinteresowny – ćwiczenie zadaje się sobie, aby wypaść jak lepiej w rywalizacji na torach biegni lub w gonitwie na przełaj. Każdy zgodził się na próbę wysiłku, samotności i bólu – każdy walczy z czasem i zawsze w zmaganiach z czasem przegrywa. Słońce na horyzoncie haiku i u kresu życia jest już zmęczone, pobladłe, a może tak naprawdę jest białe, bo chce się poddać. Zatrzymało się, jest nieruchomą, uspokojoną białą flagą. Można już zrezygnować z biegu. To ten bieg z nas zrezygnował. Nie trzeba niczego pragnąć ani nie trzeba gór żadnych zdobywać. Sami jesteśmy zdobyczą, zawsze nią byliśmy. Śmierć nam się przygląda.

*Wiersze Tomasa Tranströmera cytowałem w przekładach Magdaleny Wasilewskiej-Chmury i Leonarda Neugera.*

*Dziękujemy Wydawnictwu a5 za zgodę na przedruk wierszy.*

## TOMAS TRANSTRÖMER

przełożył Leonard Neuger

### NOC ZIMOWA

Burza przykłada usta do domu  
i dmie by wydobyć ton.

Śpię niespokojnie, przewracam się, czytam  
z zamkniętymi oczami tekst burzy.

Lecz oczy dziecka są wielkie w ciemności  
i burza dla dziecka wyje.

Oboje lubią lamp kołysanie.

Oboje – o krok od języka.

Burza ma ręce dziecinne, i skrzydła.

Karawana mknie do Laponii.

A dom zna swój gwiazdozbiór z gwoździ,  
które nie dają rozpaść się ścianom.

Nad naszą podłogą noc jest cicha

(gdzie każdy cichnący krok

spoczywa jak zatopione liście w stawie),  
a na dworze nocy dzicz!

Nad światem idzie poważniejsza burza.

Przykłada usta do naszych dusz

i dmie by wydobyć ton. Boimy się  
że burza wydmie nas do pusta.



Barbara Gruszka-Zych i Józef Baran

# Maciej Linttner

[Fragment wstępu do książki  
„Notatki z niewiedzy”]

Właściwie niedawno zdałem sobie sprawę, że wszystko, co robię od lat, podporządkowane jest abstrakcyjnej (bo prawdopodobnie niemożliwej) wizji, mającej na celu połączenie malowania z pisaniem. Gdyby spojrzeć z góry na moje zachowanie, widać zapewne, iż jest to absurdalna krzątanina kogoś niesionego głupią nadzieją pozbawioną? Tkwiąc w wiecznym konflikcie, maluję na obrazach to, co widzę wokół i to, czego nie widzę, a wiem, że istnieje i nierzadko zawiera się w słowach. Takim oto banalnym sposobem szukam argumentów, że jestem tu i teraz.

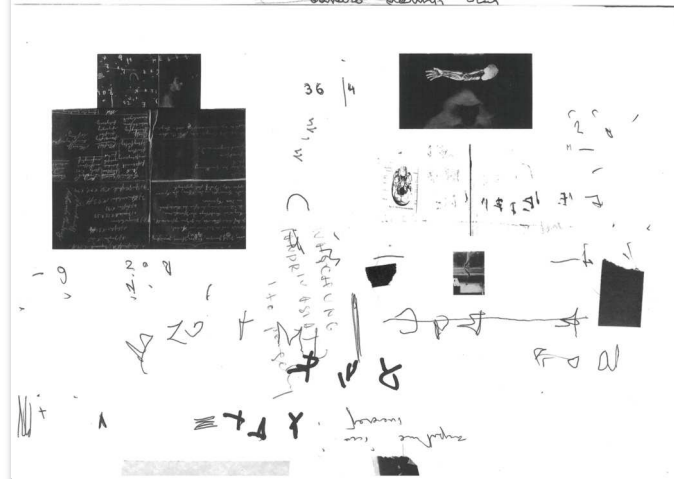
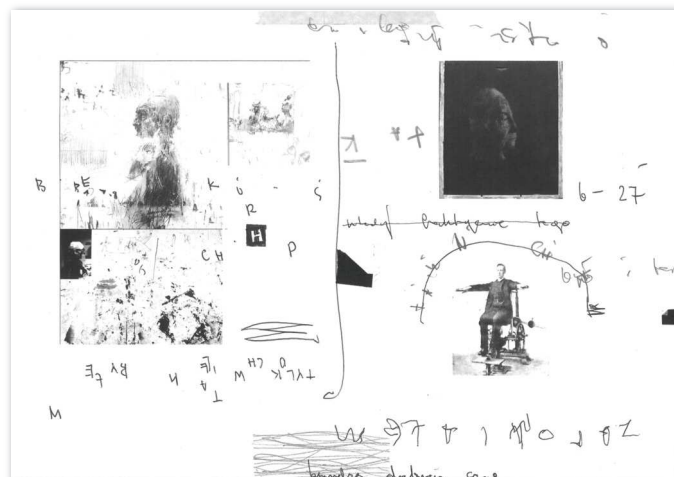
Nie tak dawno zbudowałem szafę, w niej chowam swoje prace. Są tam obrazy na skrzynkach, a w nich moje książki, w których – obok rysunków

– znajdują się słowa. Wszystko jest poukładane za pomocą przypadkowej chronologii podobnej do tej, dzięki której powstały bezimienne cmentarze pośrodku lasu, o których nikt już nie pamięta.

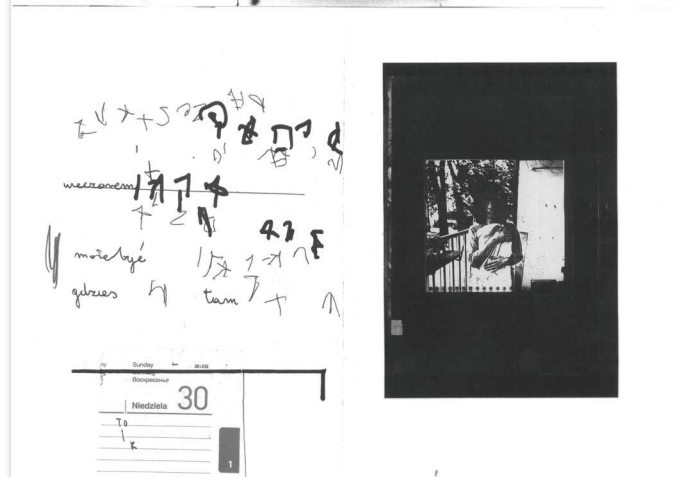
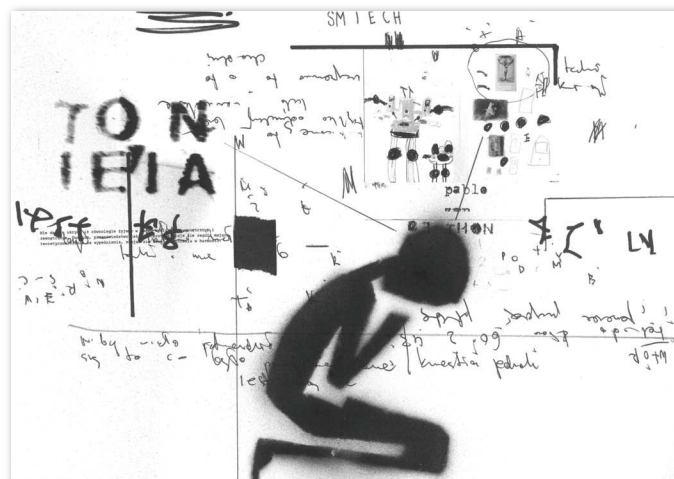
**Maciej Linttner** pracuje w Katedrze Malarstwa na Wydziale Artystycznym katowickiej Akademii Sztuk Pięknych. Dyplom magistra w zakresie projektowania graficznego uzyskał w 1993 roku na Wydziale Grafiki Akademii Sztuk Pięknych w Krakowie (filia w Katowicach). W 2002 otrzymał Stypendium Urzędu Marszałkowskiego Województwa Śląskiego. W 2005 uzyskał stopień doktora, a w 2013 doktora habilitowanego w zakresie malarstwa. Zorganizował kilkanaście wystaw indywidualnych, brał również udział w wielu wystawach zbiorowych, jest laureatem wielu nagród i wyróżnień. Mieszka w Bytomiu.

W przedstawianych pracach Maciej Linttner skupia się na różnych sposobach poszukiwania koherencji pomiędzy wartościami literackimi i wizualnymi – przede wszystkim malarskimi. Oprócz tworzenia plastycznego wykorzystuje także bezpośrednio słowo: tworzy książki artystyczne, w których pojawiają się formy literackie obcujące z elementem wizualnym budując skomplikowane konstrukcje znaczeń i konotacji.

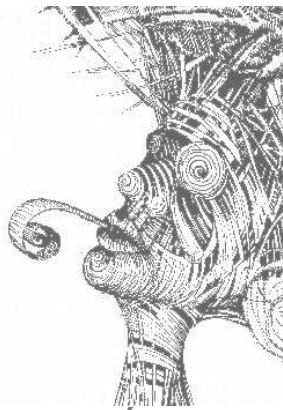
strona internetowa: <http://littner.blogspot.com>



*Nic czyli wszystko już było*







## ŚLĄSKA OJCZYZNA POLSZCZYZNA

JAN MIODEK

# I zbyte, Zbychu!

Tytułowa forma dzisiejszego odcinka to bardzo popularne w gwarach śląskich zwieńczenie wypowiedzi, mówiące o końcu takich czy innych czynności, o ich załatwieniu bez kłopotów, odpowiadające w przybliżeniu standardowym a potocznym z *głowy, mam to z głowy, kłopot z głowy*. Czytam w *Małym słowniku gwary Górnego Śląska* Bożeny Cząstki-Szymon, Jerzego Ludwiga i Heleny Synowiec z roku 2000: „No nareszcie wszyscy pošli, mómy zbyte te urodziny”. To kolejny staropolski archaizm – imiesłów przymiotnikowy bierny od czasownika *zbyć* (*zbyć* – *zbyty* – tak jak *myć* – *myty*, *kryć* – *kryty*, *poznać* – *pozczęty*), nieobecny w języku ogólnym.

A i sam czasownik *zbyć*, *zbywać*, od *być* pochodzący, jest już we współczesnej polszczyźnie coraz rzadziej używany, w słownikach zaopatrywany w kwalifikator przestarzałości, choć przywołujemy go nieraz w znaczeniu „zostawać jako nadwyżka, występować w nadmiarze”: „Wynajmuję zbywający pokój”, „Zbywało mu trochę czasu”. Kiedy zaś powiemy, że *nie zbywa komuś na czymś* – np. „Na złych manierach ci nie zbywa”, „Nie zbywało mu fantazji”, to znaczy to, że „ktoś ma czegoś w nadmiarze lub w dostatecznej ilości”, natomiast konstrukcje typu „Na urodzie mu nie zbywa, ale jest duszą towarzystwa” funkcjonują w znaczeniu „ktoś ma czegoś mało lub nie ma tego w ogóle”. Odczasownikowy rzeczownik *zbycie* – dodajmy – obecny jest w zwrocie *mieć coś na zbyciu*, czyli „mieć czegoś w nadmiarze, móc się czymś podzielić”, np. „Nie masz przypadkiem stu złotych na zbyciu?”.

Książkowy charakter mają też wypowiedzi „Zbył jej pytanie milczeniem”, „Zbył go żartem, obietnicą”, „Zbył te przestrogi śmiechem”. *Zbyć* znaczy w nich tyle, co „zareagować na czyjeś

pytanie, czyjaś prośbę w sposób zdawkowy, wymijający, lekceważący”.

W języku urzędowym *zbyć* to „sprzedać, odstąpić coś za pieniądze, pozbyć się czegoś przez sprzedaż: „Zbyć ziemię, posesję”, „Zbyć coś na licytacji”, „Zbywać akcje, wierzytelności”.

W języku handlowym z kolei *zbyt* jest „pierwszym ogniwem łączącym sferę produkcji ze sferą obrotu, sprzedażą”: „Korzystny, łatwy zbyt”, „Zbyt na towary, na artykuły przemysłowe”, „Rynek zbytu”, „Cena zbytu”, „Organizować, rozszerzyć, zapewnić sobie zbyt na coś”, „Liczyć na zbyt”, „Poszukiwać, szukać zbytu na coś”, „Mieć trudności ze zbytem towarów”.

Oczywiście, do tej samej rodziny wyrazowej co przywołane wyżej formy należą takie słowa, jak *nazbyt*, *niezbyt*, *zbytni*, *zbyttnio*, *zbyteczny*, *zbytecznie*, *zbyteczność*, *zbytek*, *zbytki*, *zbytkowny*, *zbytkować*, *zbytnik*, *zbywalny*, *zbywalność*, *pozbyć się*.

To ostatnie – powszechnie używane („Pozbyłem się kłopotu”, „Pozbyłem się starych ubrań”, „Pozbyłem się uciążliwych obowiązków”) – praktycznie wyparło z obiegu komunikacyjnego dawne *zbyć*. W języku staropolskim funkcjonowało ono w znaczeniu „pozbyć się stracić” („Więcej zbędzie niż nabędzie” – Erazm Gliczner XVI w.), „Złym złego zbył” – z tekstu XVII-wiecznego), „ujść, umknąć, zniknąć” („Opadł mię kupca żołnierstwa, atoli im zbyła między leśne cienie” – Piotr Kochanowski 1566-1620), „przejść, przemienić się” („Zbył w kamień, który został pod węża osobą” – Jakub Żebrowski XVII w.). Zwrot *zbyć garła* znaczył tyle, co „postradać życie, stracić życie” („Malutką raną zbył garła” – Erazm Otwinowski XVI/XVII w.), a *zbyć mowy* – „stracić mowę, zamilknąć, zaniemówić” („Zbywszy mowy, wspólnie mieszały wzdychania” – Piotr Kochanowski).

*Zbyt* był kiedyś „nadmiarem, pozostałością” („Wieleście koszów zbytu ułomków chleba wzięli” – Stanisław Murzynowski XVI w.), „Wszak już tego na trzy zbyty” – „Proteus albo odmieniec” z r. 1564), „zbytkiem, luksusem” („Biedny lud pracuje na zbyty panów” – Wojciech Chrościński XVII/XVIII w.), a także „wybrykiem, wydziwianiem” („Jakie nad nami szczęście czyni zbyty” – Walerian Chrościński) – tak jak *zbytność* to dawna „nadmierność, nieumiarkowanie, zbytek, przepych, luksus” („I dziś na wszystkie zbytności chrześcijański lud przywoździ” – „Komedia o mięsopuście” z pocz. XVI w.).

Nie mogę w dzisiejszym odcinku nie powiedzieć i tego, że etymologiczny związek z czasownikiem *zbyć* ma imię *Zbygniew*, w polskich źródłach poświadczane od XI wieku, złożone z dwu członów: *Zby-* „zbyć, pozbyć się” oraz *-gniew* „gniew”. Etymologicznie *Zbygniew* oznacza zatem „tego, który zbył, pozbył się gniewu”. Urobiono od tej postaci bardzo silnie utrwalone w codziennym języku zdrobnienia: *Zbych*, *Zbyś*, *Zbyszek*, *Zbyszko*, *Zbynio* – wszystkie z pierwotną samogłoską „y”. Ponieważ w dokumentach przez wieki mieszały się znaki „y” oraz „i”, od XVI stulecia zaczęło się pojawiać – błędne z punktu widzenia etymologicznego – wtórne brzmienie *Zbigniew*. W wieku XVIII imię to wyszło z użycia. Wróciło w stuleciu XIX wraz modą na imiona słowiańskie, a popularność jego wzrosła na początku XX wieku dzięki „Krzyżakom” Henryka Sienkiewicza, w których jednym z bohaterów jest *Zbyszko* z Bogdańca. I tylko nie mogę pojąć, dlaczego ostatecznie wygrał wariant *Zbigniew*. Czy rodakom nic nie podpowiedziały przywołane zdrobnienia *Zbych*, *Zbyszek*, *Zbyszko*, *Zbysio* – wszystkie z „y”?! ■



MICHAŁ WRÓŃSKI

# Sny obiecane

## CYLINDER

Nie jestem pewien – śniło mi się to, czy zdarzyło naprawdę.

W samo południe spotkałem starego człowieka w czarnym cylindrze, który powiedział mi:

– Pamiętaj... – i potem mówił długo, gestykulując skomplikowanie, a ja wszystko doskonale rozumiałem.

Ale co mówił, już nie pamiętam. Wiem tylko, że była to cała prawda o naszym świecie.

Mam nadzieję, że się nie zgubiła i jest tam gdzieś we mnie...

## KARTKA

Miałem podpisać papier.

Siedziałem sam przy dużym stole nad kartką. Obok leżał czerwony długopis, wycelowany w nią ostrą końcówką.

Za drzwiami czekali ludzie, którzy mnie tu doprowadzili.

Nie mogłem podnieść rąk, były zdrętwiałe – jak podczas snu, kiedy podkłada się je pod głowę.

Nie podpisałem. Zresztą, nie pamiętałem swojego nazwiska. Tyle ich miałem w poprzednich wcieleniach...

## HORDA

Zostałem przywódcą stepowej hordy.

Pamiętam, że długo musiałem walczyć na maczugi, aby nim zostać. Kobiety przyglądały się, trup ścielił się gęsto...

Obolały i zwycięski stanąłem na wzgórzu mi przynależnym i rozejrzałem się po mojej okolicy. Za nią, hen daleko, leżały ziemie do zdobycia.

Westchnąłem, ale tak, żeby nikt nie słyszał.

– Co ja teraz z tym wszystkim zrobię? – pytałem sam siebie. – Nie chcę władzy. Nienawidzę rozkazywać, zdobywać i decydować za kogoś. Więc dlaczego biłem się o to?

A obok, niżej, w tumanach kurzu, toczyła się zażarta walka o to, kto będzie nosił za mną złotą maczugę...

## DALEKA PÓŁNOC

Nagle znalazłem się w środku nocy polarnej, gdzieś na dalekiej północy, wśród lodu i półmroku.

Towarzyszył mi oswojony biały niedźwiedź, usiłujący nauczyć mnie życia w tak nieludzkich warunkach – bez miast, zieleni, rzek, kwiatów i przyjemnego ciepła.

Nie nauczył...

Gdy wreszcie obudziłem się, przerażony beznadzieją, zauważyłem, że za oknem spadło pół metra białego puchu. Czekало mnie odśnieżanie auta, którym miałem jechać na ważne spotkanie, gdzie – być może – los całkowicie odmienił moje życie.

Spóźniłem się i nie odmienił...

## MOJE

To był najdziwniejszy sen w moim życiu.

Leciałem, siedząc na wielkim orle i podziwiałem góry, morza, lasy, rzeki. Nigdzie nie było ludzi.

To wszystko było moje.

Żałowałem tylko, że nie mogę o tym komuś powiedzieć. Ale i tak zapewne nikt by mi nie uwierzył...

## TŁUM

Wcale nie chciałem tam być, a byłem – w środku wielotysięcznego tłumu i słuchałem przemówienia w nieznanym mi języku. Co jakiś czas ludzie klaskali i wydawali namiętne okrzyki. Ja też, chociaż absolutnie nie wiedziałem o co chodzi.

W pewnym momencie tłum nagle zniknął, jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki. Został tylko mówca w białym garniturze. Podszedł do mnie i powiedział:

– Zapalimy?

Wiedziałem, że muszę, chociaż nie paliłem od dwudziestu kilku lat...

## CHMURA

Płynąłem przez życie na wielkiej chmurze, stojąc nad dwoma kotłami i przelewałem moje myśli z jednego do drugiego.

W jednym nie ubywało, w drugim nie przybywało...

## WILKI

Dwanaście wielkich wilków czekało na coś, stojąc nieruchomo, tyłem do mnie.

Obserwowałem je na skraju rozległej polany, z ambony, którą pamiętałem z dzieciństwa, zbudowanej kiedyś przez mojego dziadka.

Nadchodził zmierzch. Wiedziałem, że muszę wracać do domu, ale bałem się zejść.

Nagle wilki zaczęły przeraźliwie wyc. Zza drzew ukazał się nieskazitelnie piękny, wielki Księżyc w pełni.

Zwierzęta w jednym momencie zmieniły się w brodatych ludzi i go pożarły.

Pląkałem...

## BEZ SNÓW

Bez podania powodów odebrano mi prawo do snów.

Moje spanie stało się czynnością jałową, zupełnie bez sensu. Śniłem o tym, że nic mi się nie śni. Brnąłem przez sen w kompletnej pustce, bez kształtów i kolorów. Wszędzie królowała marność nicości – ponura i beznadziejna jak nieskończoność.

W pewnym momencie przemknęła tylko szara myszka, której też – byłem przekonany – odebrano prawo do przeżywania malowniczych snów...

## WINA

Jakaś prawie zapomniana wina tliła się we mnie od niejasnego początku, nie przeszkadzając mi zupełnie w spełnianiu codziennych obowiązków.

Ale każdej nocy zniecka dawała mi o sobie gwałtownie znać. Chociaż na chwilę. Rozpalała się niebotycznym ogniem i poczucie winy zmieniało się w poczucie palącego wstydu, nieokreślonego i nienazwanego, tak jak nieokreślona i nienazwana była wina.

– Pewnie każdy ma coś takiego, od Adama i Ewy – myślałem co rano, a poczucie winy majaczyło coraz słabiej, aż w końcu rozplątało się w moim niezachwianym poczuciu prawości i świętej racji...

## BEZSENS

Porozglądałem się wokoło i zobaczyłem zupełnie nagi BEZSENS. Tańczył, chichocząc i poklepywał się po chudych udach, a towarzyszyły mu małe ziewające obłoki, obojętne na wszystko.

Tak do samego rana, kiedy otworzył mi oczy na sens jednorazowego istnienia, a być może nawet wielokrotnego...

## SZCZĘŚCIE

Na rozległym polu pod lasem siałem szczęście!

Miałem na sobie płócienną płachtę siewcy, pełną maleńkich ziarenek, prawie niewidocznych. Przemierzając rytmicznym krokiem, zamachiwałem się z garścią przyszłej szczęśliwości. Od brzegu do brzegu pola.

Do zachodu słońca.

Potem siadłem zmęczony na kamieniu i czekałem, jakby z nadzieją, że szczęście zaraz wyrośnie.

Ale ziemia była jałowa. W dali szumiał uśpiony las...

## CISZA

Śniła mi się jakaś beztroska historyjka z kankanem na scenie, kiedy nagle obudził mnie głośny, przebijający muzykę Offenbacha, żaloszny płacz.

Zapaliłem światło – CISZA!

Samotna i zagubiona w wielkim mieście, chciała, żebym ją usłyszał. Byłem z nią już do świtu...

## PODRÓŻ

Siedziałem w wykwintnym wagonie restauracyjnym, obsługiwał mnie kelner w białym garniturze. Jadłem wyszukane dania: jakieś homary, krewetki, trufle i piłem najlepsze koniaki, nie upijając się. Rozbrzmiewała cicha muzyka orientalna, a za oknami pojawiały się i znikwały wspaniałe krajobrazy, tak wspaniałe, że zapierały dech.

Nagle pociąg zatrzymał się, kazano mi wysiąść. Stanowczo i bezdyskusyjnie.

Znajdowałem się w środku odrapanej maszyny z wielkimi rolkami płótna, z namalowanymi pejzażami. Kilku robotników, którzy zapewne je przesuwali podczas mojej podróży, skończyło pracę i szło do domów. Patrzyli na mnie obojętnie, bez uśmiechu.

Nie miałem żadnego bagażu. Nie wiedziałem, gdzie mam pójść...

## PRZEGRYWANIE

Przegrywanie dziwnie mnie podniecało. Każdego ranka wychodziłem do życiowej gonitwy, aby nie być pierwszym na mecie. Gwiżdżącym kibicom przyjaźnie machałem ręką.

– Chodźcie! – wołałem. – Spróbujcie, jak to przyjemnie przegrywać!...

I znowu ustawiałem się na starcie, obok dyszących zwycięstwem zawodników.

Padął strzał...

## WĘDROWANIE

Tym razem wędrowałem na KONIEC ŚWIATA, wiedząc, że świat nie może mieć końca.

– Nawet, gdy zniknie, pojawi się zaraz następny – słyszałem wiele razy.

Otwierały się przede mną wszystkie horyzonty, mijano mnie tysiące ludzi – obojętnie, czasem uśmiechając się przyjaźnie, rzadko okazywano mi wrogość. Raz tylko zostałem napadnięty przez dwóch osiłków, bo nie podobała im się moja gęba i zabrano mi plecak. Był ciężki, wypełniony cegłami na budowę mojego domu, dalej wędrowało się trochę wygodniej. Miałem jednak już dość!

Głodny, spragniony i śpiący – resztkami sił modliłem się o ranek, który mnie zbawi, doprowadzając do jutra, z błahymi, codziennymi obowiązkami bez wędrowek.

Doprowadził mnie w końcu i napisałem te słowa...

## BEZ BUDZIKA

Gęsim piórem, w grubym kajecie, z wielkim mozołem pisałem jedno długie zdanie bez przecinków, kiedy poczułem, że nie mogę skończyć. Jakbym chciał zapisać wieczność.

Pisałem, pisałem, pisałem!

Ktoś ukradł mój budzik?



## KIERAT

Byłem zaprzęgnięty do niezbyt dużego kieratu, z trzema jeszcze osiołkami. Chodziliśmy w koło, wydawało się, dla samego chodzenia, ponieważ kierat nic nie produkował, do niczego nie był podłączony.

– To bez sensu – zapłakał jeden z osiołków.

– A nie wszystko ci jedno, durniu? – wysapał drugi.

– Ja tam lubię kieratować dla samego kieratowania – odparł trzeci.

Ja milczałem, bo wiedziałem, że to tylko sen. Rano pójdę do pracy i dostanę za to pieniądze na wszystko...

## LOTERIA

Na jakiejś ogólnoswiatowej loterii wygrałem półtora miliarda dolarów i zaczęło się moje nieszczęście.

Nie dawały mi spokoju służby podatkowe, różne zbożne fundacje, płaczące grupy zwykłych naciągaczy, koledzy z podstawówki (których nie pamiętałem) oraz bandy bezczelnych złodziei. Przyjaciele zmienili się we wrogów, porzuciła mnie długoletnia towarzyszka życia, bo kupiłem jej za mały diament, a nawet przegrałem jakieś ważne wybory z niewiadomych powodów.

Schroniłem się w wielkim zamku na wysokiej górze, ale i tam znalazła mnie armia dalekich krewnych z żądaniem wsparcia.

Uciekłem prywatnym helikopterem i wylądowałem na ostatniej bezludnej wyspie, gdzie niepotrzebne były żadne pieniądze.

Po odesłaniu helikoptera, zbudowałem sobie na drzewie szałas, o którym zawsze marzyłem. Zasnąłem z rozkoszą.

Obudziła mnie na śniadanie piękna, długonoga Piętaszka opalona na brąz. Dostałem małże i wodę ze źródła.

I tyle...

## RYSOWNIK

Okazało się, że jestem znany – na całym rozległym terytorium – rysownikiem naskalnym.

Mieszkałem w przytulnej małej jaskini, gdzie przynoszono mi ogień, najlepsze kawałki mięs, a nawet co ładniejsze niewolnice z sąsiednich plemion.

Żyłem szczęśliwie i niezbyt pracowicie do momentu, kiedy nasz strasznie brzydki i koślawy wódz kazał mi wyryc na zboczach najwyższej góry swój portret. Wspiąłem się tam zgnębiony. Wiedziałem, że zostanę stamtąd strącony za karę.

Byłem bowiem rysownikiem realistycznym i moja ręka nie potrafiła kłamać...



## JABŁKO

To śni mi się mniej więcej raz w miesiącu.

Stoję na stołku, a w moją stronę pełźnie długi wąż, z czerwonym jabłkiem w pysku. Za nim idzie prawie całkiem goła kobieta i popędza go batem.

Czuję dziwne zagrożenie dla świata, zwłaszcza, że w oddali słychać tragiczną wagnerowską melodię.

Ale wąż z jabłkiem i kobietą mijają mnie obojętnie, nic ode mnie nie chcą. Znikają za odległym wzgórzem.

Schodzę ze stołka. Wydaje mi się, że ocaliłem świat...

## BZDURKA

Zaprzyjaźniłem się z BZDURĄ, właściwie z bzdurką, bo była nie za duża i mówiła cienkim głosem.

Chodziliśmy na spacer po świecie, ale trochę się jej wstydzilem, bo mimo swojej małości rzuciła się ludziom w oczy jaskrawym ubraniem i była krzykliwa. A dyskutowała bez przerwy: o sztuce, o polityce, o historii, o budownictwie lądowym i wodnym, o wychowaniu dzieci, o modzie oczywiście i w ogóle o wszystkim,

na czym spoczęły jej niebieskie oczka.

– Dlaczego z nią się zadajesz? – pytano mnie bezustannie.

– Może dlatego, że mówi to, co myśli i wiem jak ją przekonać do moich wyuczonych argumentów – chciałem tak wyjaśnić, ale zwykle mówiłem:

– Przyjaźnię się z moją bzdurką, bo ją lubię. Jest zabawna. No i czuję się przy niej mądrzejszy...

## KOLEJKA

Stałem w długiej kolejce do wyjścia. Wyjścia nie wiadomo dokąd, właściwie. Starłem się zawsze być na końcu, ale nie zawsze mi się to udawało.

Musiałem odchodzić i wracać, odchodzić i wracać.

– Zdecyduj się wreszcie, człowieku! – usłyszałem z góry. – To jest kolejka do wejścia, nie wyjścia...



**Michał Wroński**, poeta, jest autorem kilkudziesięciu słuchowisk radiowych i widowisk telewizyjnych, kilku sztuk teatralnych, kilkunastu bajek scenicznych i musicali. Wydał wiele książek z prozą poetycką. Wybrane fragmenty pochodzą ze *Snów obiecanych*, Gliwice 2016, Wydawnictwo MEW. Autor jest stale obecny w internecie: [michalwronski45.blogspot.com](http://michalwronski45.blogspot.com).

Rok olimpijski

# Którego dnia (?)

RYSZARD JASNORZEWSKI

Według Krzysztofa Zuchory miała deklarować, „że nie widzi istotnej różnicy między pisaniem wierszy, a rzucaaniem dyskiem – jedno i drugie wymaga bowiem natchnienia, miłości i umiłowania piękna”. Mowa o Halinie Konopackiej, pierwszej polskiej mistrzyni olimpijskiej, dyskobolce i jednocześnie autorce lirycznego zbioru o tytule *Któregoś dnia*. Siedemnaście wierszy z tego wydanego w 1929 roku tomiku, odosobnionego incydentu wydawniczego w dorobku poetki (czy może bardziej sportsmenki), przypomniano literackiej publiczności dwukrotnie – w 1994 roku i przed dziesięciu laty, upamiętniając osiemdziesiąt rocznicę zdobycia przez Konopacką złotego medalu na igrzyskach w Amsterdamie.

W tytułowym wierszu zbioru podmiot zwierza się z nieszczęśliwie odkrywczością pragnienia: „w wielką uciec przestrzeń / Przed dniem, co musi przyjść, – / Bo pragnę błędzić jeszcze / Nim kiedyś zacznę iść”. Błądzenie, pielgrzymowanie, poszukiwanie własnej przestrzeni – lub szukanie i nazywanie świata dla siebie – to właściwie poetycka inicjacja. Można, przynajmniej, oddać jej sprawiedliwość bardziej oryginalnie, ale niewiele chyba w literaturze światowej takiego błędzenia, które samo siebie mogło konfrontować z wędrówką na lekkoatletyczny stadion i z pełnym gracji wspięciem się na najwyższy stopień olimpijskiego podium.

Ale nie konfrontowało. Tulilo i pieściło zastępczy, wtórny, manieryczny żywot literacki: „Wezmę słowa najprostsze, / Miękką mam dłoń, a przecież / Jak noże je wyostrzę”. W istocie noże słów drzemały głęboko w futerałach sentymentu, w oprawie maniery ni to romantycznej, ni to młodopolskiej, ale bezwzględnie młodzieńczej i naiwnej. I jakoś żal, że „miękką dłoń” nie pojęła swej sportowej, właściwej twardości. Czy podobnie napisałaby o swoim drugim, wyidealizowanym ja, współczesna mistrzyni dysku, kuli i młota? Czy spaliłaby rzut rymu i lot metafor? Czy na poetyckiej agorze warto mierzyć siły na zamiary, czy może zawsze należy mierzyć się z nimi bez miary – dla uniwersalnej, podgorączkowej wiary? „Za kimś pokłony biję / I cudzym śpiewam głosem” – zanotuje podmiot liryczny, odnotuje jakieś zamiary i chociaż to zamiary dyskobolki, rekordzistki świata – ich postać skromna, wątła i krucha.

Poezja nie odważymniała mistrzyni dysku afektu. Po wojnie Konopacka, osiadła w Ameryce, szukała artystycznego spełnienia w malarstwie, wybierając najczęściej pejzaże. Może gdzieś w ich tle dostrzegala i nie dostrzegala siebie, coś w sobie odkrywając i jednocześnie przed czymś się ukrywając – na tle ciepłych wód, pod błękitnym niebem, w mgłach jesieni, przez które przebiegały opiółki złotawego słońca. Namalowała także „Autoportret z szalem”, powtarzając w samodzielnym geście portret, na którym uwiecznił ją Witkacy.

Każde pisanie, nawet niedoskonałe, to również szkicowanie autoportretu. Na lek-

koatletyczne areny Konopacka wkraczała w czerwonym, tyle sportowym, ile artystowskim berecie. W Tatrach, podczas mniej lub bardziej zawziętych spacerów, do czerwonego beretu wybierała kompozycję z czerwonym swetrem – jakby chciała chronić się w kolorze silnym, gęstym i nieodparcie żywotnym. W wierszach z jedyne go tomiku odnotowała „sygnałów przestrogi czerwone” lub to, że noże „błysły czerwono”. Gdzieś obok, we wnętrzu tej samej książki, swoje naiwne jestestwo głosiła „róża czerwona”. Gdyby wpiąć ją w beret, byłaby niepoważna, bo nie na swoim miejscu i pewno w obrocie, który trzeba wykonać przed rzucaaniem dysku, drgałaby od podmuchów powietrza śmiesznie, dziwnie i bez wyraźnego celu.

W pisany w 1980 roku liście do uczniów Liceum im. Polskich Olimpijczyków w Szczecinie Konopacka streściła z elegancką skromnością przygodę młodości: „to nie wielka moja zasługa, że dysk wyrwał się trochę za daleko, to zasługa radości życia, słońca i niebieskiego nieba i zielonej trawy boisk”. Wyrwał się dysk i pofrunął najdalej, mijając ślady, które pozostawiły dyski współzawodniczek w najważniejszych, bo olimpijskich zawodach. Wyrwała się także poezja. Nie dane jej było mierzyć się z twórczością równoległe obecnych na poetyckim rynku Marii Pawlikowskiej-Jasnorzewskiej, Bronisławy Ostrowskiej czy Kazimierzy Iłakowiczówny. Wierszopisanie Konopackiej jest świadectwem bezpretensjonalnej (podobnej do tej szukającej swego wyrazu na stadionie) radości życia – takiej radości, której nie zaszkodzi zadać na papierze dyktando z egzaltacji, z wyważonego smutku i przemijania. Najciekawsza ze wszystkich była w liryce Konopackiej przygoda podróży: „Nie płaczcie nad odjazdem. Kiedyś wychylna / Z mknących okien wagonu – zatęsknię, zacierpię”. Wtedy, a może innym razem, a może już zawsze: „Wtulę się w słodkim kurczem pachnące siedzenia”. W swym życiu odbyła poet-

ka i dyskobolka wiele podróży – zwyczajnych i dramatycznych – a „pociągu niknąca latarnia” z wiersza „Pożegnanie” oświetliła, jak w wielu wojennych i powojennych polskich losach, dobrowolne wygnanie. Być może każdemu, nawet jeżeli to tylko przecucie: „Mgły namokłe rozwlecze odchodzący pociąg, / Umilknie gwizd daleki, nasiąkły wilgocią”. Wilgotne, łzawe są rozstania – z ludźmi, z ojczyznami, ze sztambuchem wypełnionym wierszami.

„Niepokój” z utworu Konopackiej pod tym samym tytułem: „Waleś się, słania, / Jak cień wierny przy boku”. W myśl starożytnych zasad niepokój powinien objawiać się tyle wiernie, ile dyskretnie. Nigdy nie dowiemy się, dlaczego wybitna lekkoatletka, zdobywczyni najwyższych sportowych laurów, pragnęła mówić o sobie niedoskonałymi wierszami. Ale jakoś dobrze tym wierszom w archaicznym epoce sportu, gdy był żywiołem romantycznych amatorów. Romantycznych i wykształconych, dobrze wychowanych i świadomych, że konwencjonalnie, powtarzając echa literatury, trzeba rozprawiać o uczuciach i o lękach, które wykluwają się w życiu. W takim rozprawianiu epitafia są odpowiednio gorzkie i mimowolnie słodkie: „I zdawać mi się będzie, że czytam poemat, / W dawnym dworze, w milczeniu starej biblioteki / I uwierzę w to nawet, zamknąwszy powieki, / Ze powracam do domu, którego już nie ma”.

Nie ma już dworu dojrzanego w błysku lirycznej tęsknoty. I jakoś żal, że nie ma świata, gdzie dyskobolki piszą wiersze, malują pejzaże, chodzą po górach bez wyraźnego, treningowego powodu i niepokonane wycofują się ze sportowej rywalizacji. A potem zwyczajnie pokonują resztę życia. Tylko niekiedy – w zgodzie z inną strofą przywoływanego wcześniej „Niepokój” – „jakaś prawda daleka – / umiera”. A nawet jeżeli nie umiera, to długo, dotkliwie uwiera. Któregoś dnia poezja przyjrzy się nam wszystkim z oddali.



# Profesor Jan Jakóbczyk

JERZY PASZEK

Gdy się dostatecznie długo żyje, to można z pozycji starszego kolegi pisać na temat młodszego o 15 lat Przyjaciela jako o Mistrzu! Tak się dzieje wśród badaczy polskiej literatury, iż mamy niekiedy podobne zainteresowania i fachowe fascynacje. Tu tą fachową fascynacją jest tekstuologia, do której doszedł dr hab. Jan Jakóbczyk, profesor Uniwersytetu Śląskiego i dyrektor Wydawnictwa tejże Uczelni w dojrzałym okresie swojej pracy naukowej. Nie będę ukrywał, że najpiękniejszą księgą wspomnianej Oficyny jest dla mnie oczywiście okazały tom zatytułowany *Alfabet Paszka. Berent, stylistyka (i okolice), Żeromski*, zredagowany przez Ja-

na Jakóbczyka z pomocą Krystyny Kralkowskiej-Gątkowskiej i Magdaleny Piekary, a opublikowany w roku 2010 z okazji mojego 70-lecia. Najważniejszą zaś dla Jasia (niechaj mi wybaczy tę hipokorystyczną formułę, ale 35 lat znajomości – czyli Dantejska połowa naszego pobytu na tym padole płaczu – do czegoś upoważnia i nawet zobowiązuje!) pewnie pozostanie fundamentalna dwutomowa edycja *Niedrukowanych dramatów Gabrieli Zapolskiej* z roku 2012, w której pod jego naczelną redakcją zgrupowano takie inedita pisarki, jak *Nerwowa awantura*, *Pariasy* (tom 1), *Carewicz*, *Asystent* (tom 2). Wspominając o tym teksto-

logicznym wyczynie i sukcesie (Jaś był siatkarzem w młodości i wieku męskim!), czas na rozpoczęcie narracji *ab ovo*, czyli od naszego spotkania w roku 1983, gdy mgr Jakóbczyk zawitał w Zakładzie Historii Literatury Poromantycznej, będącym częścią Instytutu Nauk o Literaturze Polskiej katowickiej Alma Mater.

Choć kierownikiem owego Zakładu był wówczas prof. Tadeusz Bujnicki (przejąłem jego obowiązki dopiero po trzech latach), to właśnie mnie wybrał sobie wysmukły i usportowiony amator piłki siatkowej na promotora pracy doktorskiej. Wynikiem naszych dyskusji i przemyśleń był tom pod wymownym tytułem: *O tym, jak Młoda Polska posiwała. Proza młodopolska wobec rewolucji 1905 roku* (Katowice 1992, nb. okładka 132-stronicowego woluminu jest srebrno-siwa!). Książka opowiada o powieściach i nowelach Gustawa Daniłowskiego (*Jaskółka* – powieść i nowela!), Władysława Stanisława Reymonta (tom opowiadań z roku 1907 poświęconych rewolucji – *Na krawędzi*; trzecia i czwarta część *Chłopów*), Stanisława Brzozowskiego (*Płomienie; Książka o starej kobiecie*), Józefa Weyssenhoffa (cykl *Dni polityczne; Hetmani*), Grzegorza Glassa (*Wizerunek człowieka w r. 1906 w Polsce pocziwego. Pamiętnik śp. Wiesława Wrony, przemysłowca, kupca, obywatela i wyborcy*), Andrzeja Niemojewskiego (*Ludzie rewolucji*), Marion-Cecylii Glückman – (*Obrazki rewolucyjne*), Andrzeja Struga (*Ludzie podziemi, Dzieje jednego pociągu, Jutro, Portret*). Omawia się tu również esej – oddzielnie wydany – Wacława Berenta *Idea w ruchu rewolucyjnym*. Zająłem się tak dokładnie tym pierwszym świadectwem bądź owocem kariery naukowej Jakóbczyka, by udokumentować czytanie doktoranta w bogatej produkcji literackiej okresu modernistycznego, epoki, której został wierny przez całą swoją biografie dydaktyczną, badawczą i edytorską.

Podobny – syntetyczny – charakter ma czwarta książka dra hab. Jakóbczyka, a mianowicie *Późne tropy Młodej Polski (1914-1939)*, wydana w Katowicach w roku 2009. I znów znajdujemy się w gronie tych samych nazwisk, choć nieco poszerzonym o: Artura Górskiego, Karola Irzykowskię, Bolesława Leśmiana, Tadeusza Micińskiego, Adolfa Nowaczyńskiego, Władysława Orkana, Stanisława Przybyszewskiego, Wacława Sieroszewskiego, Leopolda Staffa, Kazimierza Przerwę-Tetmajera, Gabrielę Zapolską, Tadeusza Boya-Zeleńskiego, Stefana Żeromskiego, Jerzego Żuławskiego i innych.





Przedstawia Jakóbczyk różnorakie kariery polityczne tych młodopolaków, ich ustosunkowanie się do zamordowania prezydenta Narutowicza, do przewrotu majowego i sprawy brzeskiej. Mówi o dziejach mniej znanych pisarek moderny, czyli o Marii Grossek-Koryckiej, Maryli Wolskiej, Bronisławie Ostrowskiej i Marii Jehanne Wielopolskiej. Dowodem zachowania tradycji literackiej, a także wyraźnej estymy, jaką cieszyli się twórcy przełomu XIX i XX wieku, były liczne jubileusze i nagrody państwowe dla najwybitniejszych z ich środowiska (dla Żeromskiego i Berenta); nie zapominajmy o Nagrodzie Nobla, która została przyznana Reymontowi! Przedwojenna szkoła, a szczególnie gimnazja humanistyczne (czyli w istocie – filologiczne!), miały w lekturze nawet trzy tomy *Popiołów* Żeromskiego, co jest zadziwiające, bo pamiętam studentkę polonistyki, która przekonywała mnie, że można na egzamin z listy 200 lektur obowiązkowych wybrać zaledwie pierwszy tom tej trylogii! Jakóbczyk informuje, iż do roku 1939 czytano w szkołach o wiele więcej tekstów Kasprowicza, Tetmajera, Wyspiańskiego i Żeromskiego niż dziś czyta się na polonistyce!

Zresztą niektórzy z pisarzy Młodej Polski zostali promotorami i prekursorami nowoczesnej fazy naszej literatury. Są to: Leśmian, Witkacy i Schulz (autor powołuje się tu na tytuł tomu Michała Pawła Markowskiego z roku 2007: *Polska literatura nowoczesna: Leśmian, Schulz, Witkacy*). W aneksie omawianej monografii z zainteresowaniem przeczytałem dwa wywody, rekonstruujące obraz stosunków i kontaktów Żeromskiego z Brzozowskim, a także inspirujący projekt niewydanej jeszcze, acz możliwej do prezentacji, książki krytycznoliterackiej Irzykowskiego o Żeromskim! Autorowi *Paluby* poświęcił prof. Jakóbczyk zgrabną libellę pt. *Szachy literackie? Rzecz o twórczości Irzykowskiego* (Katowice 2005). Pojawia się w niej dużo ciekawych rozważań, m. in. o szczeroci w literaturze, o politycznych pasjach pisarzy, o ich spotkaniach z historią (przeżycie odrodzenia Polski), o międzywojennym antysemityzmie, o detektywistycznym temacie udowodnienia komuś plagiatu, o humorystyce i ortografii (esej *W Zakopanym czy w Zakopanem?*), o pisaniu aforyzmów, wreszcie i o tym, czy *Ferdynand* Gombrowicza mogła zostać zaangażowana i ośmielona przez *Palubę* Irzykowskiego.

Na zakończenie moich dywagacji o naukowej biografii prof. Jakóbczyka pozostawiłem sobie jego tom habilitacyjny, czyli monografię zatytułowaną *Kazimierz Przerwa-Tetmajer*.



*Zbliżenia* (Katowice 2001). Dla miłośników wierszy miłosnych poety z Ludźmierza na Podhalu ciekawe będą rozważania habilitanta o sławie i zmierzchu popularności twórcy stu sonetów (Szekspir miał ich 154, ale tylko 49 bywa zaliczanych do arcydzieł!), a także o powiązaniach jego poezji z uwielbianym Słowackim, a szczególnie z *Pismami pośmiertnymi* wieszczka. Zresztą debiut Tetmajera był jawnie zainspirowany przez wiersze romantyka (chodzi o poemat *Illa* z 1886 i *Allegorię* z 1887 roku – bardzo ciekawe powiązanie z dzwiecznym brzmieniem tytułu *Anhellego*). Ostatni rozdział tomu to *Przypadki tekstologiczne* – autor analizuje metamorfozy tekstu początkowych serii *Poezji*, pisze o autorskim ocenianiu dramatu *Rewolucja* (1906), o amplifikacjach, rozbudowie powieści *Panna Mery*, która w czasopiśmiennym pierwodruku była o wiele krótsza!

Ujawnia się rama eseju – zacząłem od wydania nieznanych dramatów Zapolskiej, czyli pracy Jakóbczyka nad rękopisami autorki, a kończę przypomnieniem momentu zainteresowania się problemami tekstologicznymi, z którymi zetknął się podczas analizy dorobku Tetmajera. Ta fachowa fascynacja (że powtórzę inicjalne szczęśliwe określenie) opisywanego profesora przejawia się również w jego życiu pozanaukowym: jest zręcznym i przemyślnym (jak Odyseusz!) współbudowniczym darczy w Brzęczkowicach oraz rekonstruktorem – rozbudowa budynku – gniazda rodzinnego w Będzinie. Dacza była miejscem wakacyjnych spotkań intelektualnych i spirytualnych (w obu znaczeniach tego epitetu!) członków Zakładu Historii Literatury Poromantycznej, gdzie mogliśmy sobie pozwolić na swobodniejsze dyskusje, programowanie działań naukowych i dydaktycznych, a nierzadko także na pogranie w siatkówkę na świeżym powietrzu (jeśli takie bywa na Śląsku!). Profesor Jakób-

czyk wypromował doktorantkę (Agnieszka Rozpłochowska), a teraz cieszy się obserwowaniem rozwoju fizycznego i językowego swojej Pierwszej Wnuczki! Mając podobne doświadczenie (prawie rok temu pojawiła się Apolonia, czyli moja druga wnuczka), widzę, iż kontakt dojrzałego człowieka z poznającym świat Szkrabem może być bardzo fascynujący!

Powiada Szekspir w swoich *Sonettach*, iż „Od pięknych stworzeń chcemy, by ich przybywało – By kwiat urody nie wiadł, lecz trwał jak najdłużej” (w przekładzie Barańczaka). Ciężka i długotrwała choroba uniemożliwiła Jasiowi kontynuację wszczętych już prac nad krytyczną edycją dzieł wszystkich Tetmajera. Byłoby to zapewne tak samo ambitne zadanie i przedsięwzięcie naukowe, jak opublikowanie *Niedrukowanych dramatów Gabrieli Zapolskiej*. Tak więc, wspólnota rodzinna Jakóbczyków będzie się powiększała o kolejne wnuczka, ale jego nowych książek raczej nie przybędzie! Jakże one były? Pisał Jaś stylem prostym i jasnym, przyjaznym w lekturze. Nie widzę tu ambicji sadzenia się na rozwlekłe okresy retoryczne, na zachłyśnięcie się modną terminologią (choć znakomicie orientował się w narastającej lawinowo produkcji literaturoznawczej!). Bywał dowcipny! Podam dwa przykłady, dotyczące oceny moich elaboratów. Żartuje sobie, że w tomie zbiorowym – pod jego redakcją – „*Tam nasz początek*”. *Studia o literaturze polskiej pierwszej dekady XX wieku* (Katowice 2006, s. 7) zamieściłem esej *Profuzja profecyj w „Oziminie”*, zapominając o mej ulubionej wcześniejszej powieści modernisty: „w poczet utworów godnych [analizy] policzyliśmy: [...] *Oziminę* Berenta (wyrasta przecież z próchna, *Próchna*)”! Potrafił też we wstępie do *Alfabetu Paszka* tak wystylizować śródtytuł, by zdemaskować moje dociekania nad stylem autora *Ludzi podziemnych* jako „heblowanie Struga”! Mimo tych przyjaźnielskich uszczypnięć, z całą powagą starego badacza dorobku Berenta i Żeromskiego stwierdzam, że prof. Jan Jakóbczyk należy do wąskiego, a zarazem jakże elitarnego, grona najrzetelniejszych znawców i koneserów literatury okresu Młodej Polski. Bez jego prac o Irzykowskim, Tetmajerze i Zapolskiej nie wyobrażam sobie poważnego i miarodajnego podręcznika bądź innego encyklopedycznego vademecum tej pięknej epoki sprzed I wojny światowej, przedłużonej – o czym wiemy z książki *Późne tropy Młodej Polski* – aż po wybuch następnego światowego Armagedonu.

# Jack Kulpa

# Boojum Creek

przełożył

HENRYK CIERNIAK

Miejsca, gdzie jest cisza to jest coś pięknego, dlatego jeżdżę na ryby do kompletnej dziczy, żeby tam, w potoku łowić pstrągi. To miejsce znajduje się w pobliżu jeziora Superior na terenach rzadko uczęszczanych przez ludzi. Po obu brzegach strumienia strzelają w górę iglice świerków jak wieże kościołów, co jeszcze pogłębia ciszę i spokój.

Moja nowa wędka wraz z kołowrotkiem jest prezentem od mojej żony. Jej wędzisko błyszczy się jak mercedes prosto z salonu, a kołowrotek tak wygląda, jak gdyby był wykonany z diamentów. Czuję w sobie może nawet swego rodzaju niechęć do łowienia ryb takim sprzętem, bojąc się, że mogę go uszkodzić. Posiadam już pokaźną kolekcję uszkodzonych wędek i niekompletnych akcesoriów, gratów, których nie mam serca wyrzucić, bo nuż, jakaś część może mi się jeszcze na coś przydać.

– Musisz pozbyć się tego dziadostwa – często mówi mi żona. Jej łatwo tak powiedzieć. Ona miała dzieciństwo jakby prosto wzięte z okładek magazynów projektu Normana Rockwella. W jej życiu nie było nigdy niczego takiego jak Boojum Creek.

Miałem dziesięć lat, kiedy odkryłem to miejsce, i może nigdy bym nie odnalazł Boojum Creek, gdyby nie mój ojciec. Nigdy nie wiedziałeś, kiedy stary pijak wróci do domu i czego możesz się po nim spodziewać.

Ojciec mojego ojca był nieokrzesanym rybakiem pochodzącym z Kaszub. Zamieszkiwał wśród innych Kaszubów na Jones Island, skrawku piachu, będącym częścią portu Milwaukee. Podczas Prohibicji mój dziadek pracował dla „chicagowskiego” Polaka, Joe Saltisa, przewożąc swoją łódką pochodzący ze szmuglu alkohol, aż kiedyś dosięgło go ramię sprawiedliwości, a jego rodzina została bez środków do życia. Będąc jeszcze wciąż chłopcem, ojciec był przekazywany z rąk do rąk pomiędzy różnych swoich krewnych, aż do czasu Pearl Harbor. Po wojnie wrócił do Milwaukee i poślubił dziewczynę z Polski, dzięki której mógł odczuć ciepło domowego ogniska. On jednak ciągle obwiniał los, że go oszukał dzieląc szczęściem, dlatego zaczął pić, piwo było jego życiem, wszystko inne miał za nic. Mieszkaliśmy wraz z innymi Polakami w części miasta określanej jako South Side. W latach pięćdziesiątych uważana była za niebezpieczną dzielnicę. Parterowe zabudowania tak stłoczone były jedno przy drugim, że chcąc spojrzeć na niebo, trzeba było wyjść za próg, ale i tak wszystko przesłaniały wysokie kominy fabryczne. Każdy dom upstrzony był sadzą, a pył, który leciał wraz z wiatrem od jeziora Michigan wiatrem, wchodził nam w oczy. Płynące lzy nie polepszały sytuacji, a ich obcieranie sprawiało nieznośny ból.

– Albo będziesz twardzielem – mój ojciec mówił do mnie – albo tak ode mnie oberwiesz, że będziesz miał naprawdę powód, żeby płakać.

Ojciec pracował w browarze i zawsze śmierdział sfermentowanym piwem. Ten odór był w jego ubraniach, we włosach i skórze. Kiedyś, w porze kolacji poskarżyłem się na ten zapach i wtedy zobaczyłem, jak oczy mojego ojca robią się coraz większe i takie straszne jak oczy sowy. Zawsze, gdy coś takiego miało miejsce, wiedziałem, że zaraz dostanę klapsa. Tym razem ojciec wszystkich zaskoczył i zdzielił mnie pięścią.

– Przestań – krzyknęła moja matka, próbując mnie osłonić. Ojciec ryknął, że aż półmiski i butelki z piwa poleciały na podłogę, tłukąc się. Moje małe siostry piszczały, podczas gdy matka wyla jak ranne zwierzę. Zaraz potem wybiegłem na zewnątrz.

Zwykle uciekałem na polski cmentarz pod wezwaniem św. Wojciecha. Wejście na cmentarz znajdowało się na końcu naszej ulicy, a on sam zajmował powierzchnię niedużego miasta, może nawet większą, przepołowiony zalesionym parowem z płynącym strumieniem, przeciętym biegnącymi ponad nim torami kolejowymi. Strumień był niewiele większy niż rów z wodą, torował sobie drogę pomiędzy rosnącymi wzdłuż niego wierzbami. Ale dla mnie, małego chłopca, był czymś magicznym, jak by to była Amazonka.

W miarę upływu czasu znalazłem ten strumień lepiej niż łąty na swoich ubraniach. Wzdłuż jego brzegów polowałem na lwy, posługując się włócznią z wierzbowej gałęzi, wypłukiwałem złoto z potoku, wykorzystując do tego znaleziony kołpak albo kopałem w ziemi w poszukiwaniu zakopanych skarbów, używając łomu, który musiał wypaść z wagonu mieszkalnego. To było moje sekretne miejsce, a nazwałem je Boojum Creek. Nazwę wziąłem z wiersza, który kiedyś czytała mi moja matka. W tym wierszu ludzie, którzy napotykali boojum nagle, niepostrzeżenie znikali. Bycie samemu w Boojum Creek, obok znikania, było najlepszą rzeczą w tym, co robiłem.

Po kryjomu zabrałem haczyki z ozdób choinkowych, które trzymano na strychu, zrobiłem na nich pętelki sznurkiem od latawca i przycocowałem do wierzbowych witek, taką wędką próbując złowić w strumieniu jakąś rybę.



Przynętę stanowił kawałek chleba, dany mi przez matkę albo znalezione gdzieś, pod kłodą drzewa, robaki. Ale karpie pływające w Boojum Creek były zbyt duże jak na taki sznurek z latawca. Porywały moją linkę jak zwykłą nić. Tamtego lata większość czasu spędziłem starając się złowić jakąś rybę, aż kiedyś udało mi się złapać dwa drobne brązowe bullheady. Ryby miały różki i wąsiki pod pyskiem, ale dla mnie i tak stanowiły szczodry podarunek ze strony tak często nieczułego wszechbytu.

– Są piękne – powiedziała moja matka, kiedy zobaczyła rybki. Była tak podekscytowana moim wyczynem, że można było pomyśleć, że złowienie byczków to coś bardziej wspaniałego niż przynieść do domu tęczowego pstrąga.

Mój ojciec spojrzał tylko przelotnie na mnie i trzepnął mnie w głowę. – Ty idioto – powiedział. – Tego się nie łowi. Te ryby są nic warte. Właśnie, jak ty.

Byłem już tak wiele razy bity, wierzchem dłoni i pięścią, że sądziłem iż niełatwo będzie mnie kiedykolwiek pogiębić. Ale słowa również mają wymiar fizyczny i to, co powiedział ojciec, raniło, jak gdyby ciał mnie mieczem. Nie umiałem sobie poradzić z tym krwawieniem po jego słowach. Być może wykrwawiłbym się na śmierć, gdyby nie nadszedł dzień moich urodzin.

Taty nie było na nich. Nigdy na nich nie bywał. Ale mama upiekła ciasto i po zdmuchnięciu świeczek, dała mi prezent. Był to kołowrotek z multiplikatorem i dźwignią poziomu wiatru, nie wiadomo jak stary, z czarną plecioną linką przymocowaną do wydrążonego w środku stalowego wędziska. Sprzęt staroświecki jak stara Victrola, niepotrzebny już któremuś z naszych sąsiadów, był najcudowniejszą niespodzianką, jaką można mi było ofiarować. Korkowy splanik oraz ciężarki i prawdziwe haczyki zapakowane w pudełku po zapalkach czyniło zdumienie, jakiego doznałem, kompletnym.

– Idź na ryby – powiedziała mama. – I złap mi, taką dużą.

Przyszedł wrzesień i zaczęła się szkoła. Codziennie po kolacji chodziłem łowić ryby w Boojum Creek i siedziałem tam prawie aż do zachodu słońca. Nie dłużej, ponieważ bałem się iść przez cmentarz po zmroku. Ale zawsze było mi trudno pożegnać mój strumyk. Podczas wędkowania czułem się bezpieczny, nie narażony na okropną nieobliczalność zachowania mojego ojca, zwolniony od myślenia, jak bardzo go nienawidzę i jak bardzo nie cierpię siebie za to uczucie.

Pewnego dnia, kiedy wróciłem ze szkoły, zastałem swoich rodziców siedzących przy stole w kuchni. Było za wcześnie na to, żeby myśleć, że ojciec wrócił już z pracy, a jeśli chodzi o mamę, to wyglądała, jakby świat jej się zawalił.

Stary ścisnął w dłoni butelkę piwa.

– Wszawy skurwysyn mnie wywalił – mamrotał. – Nawzał mnie moczomordą.



Z uwagą spojrzałem na obydwu. – Czy to coś złego? – zapytałem.

Mój ojciec trzasnął pięścią o stół. – Jest już po nas! Straciłem tę przeklętą robotę!

Pośpieszyłem do swojego pokoju, pełen niepokoju o to, co teraz zrobi mój ojciec, ale pewny byłem, że będzie to coś związanego z bólem i destrukcją. Szybko wskoczyłem w stare ciuchy i wyciągnąłem wędkę spod swojego łóżka z zamiarem ucieczki. Doszedłem jednak tylko do kuchni.

– Gdzie ty teraz myślisz sobie pójść? – ojciec pchnął mnie mocno, że oparłem się na zlewie.

– Pozwól mu – powiedziała mama.

– Ile ty masz lat, dziesięć czy ile? – zapytał ojciec. Groźne spojrzenie jego sowych oczu sprawiło, że język przyszechl mi do gardła. – Ty powinienesz roznosić ulotki, żebyśmy mieli jakąś pomoc od ciebie. Masz zacząć pracować. Do diaska, na żadne ryby nie pójdziesz.

Rzucił się w moim kierunku, wyrwijając wędkę z zaciśniętych dłoni. Chwycił ją obiema rękami, przełożył przez kolano, rozległ się trzask i wędka złamała się na kilka kawałków.

Ojciec wyszczerzył zęby. – Kiepsko teraz, co? – roześmiał się.

Matka wyglądała teraz, jakby ktoś do niej strzelił. Nie mogła uwierzyć w to, co zrobił mój ojciec. Wydawało mi się, że zaraz umrę i myślę, że kawałek mojej osoby umarł wtedy. Skuliłem się, żeby uniknąć kolejnego walnięcia pięścią, zrywając się w stronę drzwi.

Ruszyłem pędem ulicą do Boojum Creek i pozostałem tam jeszcze długo po zapadnięciu zmierzchu, już nie bojąc się iść przez nieoświetlony cmentarz. Pomyślałem, że może spotkam prawdziwego boojum, za którego sprawą w jednej chwili, bez bólu, zniknę.

Ludzie mówią: było, minęło. Stoję teraz tutaj, bezpieczny, po kolana w wodzie innego potoku, setki mil i całe życie od miejsca, które z braku innych słów, nazywałem swoim domem. Po raz drugi w swoim życiu zaciskam palce na wędzisku, które jest prezentem od kochającej mnie kobiety, ale teraz jest już wieczór i jakaś sowa z głębi spowitego mrokiem lasu, wywołuje we mnie echa przeszłości. Stawiam kołnierz. Przerzucam linkę wędki z zaciągniętą na jej końcu muchą nad strumieniem, obserwując jak lekko spada na pociętą świetlnymi refleksami taflę wody. Potem prąd porywa ją i ciągnie za sobą aż zniknie wtapiając się w cienie Boojum Creek, który trwać będzie wiecznie.







## TADEUSZ SŁAWEK

---

### 8.

#### ZASADY

Co w powietrzu: rozpatrzeć w zachwycie.

Co w wodzie: podziwiać w milczeniu.

Co w ogniu: pozwolić, by rozbłysło, a potem zakrzepło w szklisty kryształ popiołu z mleczną chmurą kości.

Po śmierci krew spływa najniżej,

zbiera się w jezioro, najpierw czerwone, potem sine, wreszcie zamarza i rozsypuje się w popiół.

Co na ziemi: obserwować, podchodzić wstrzymując oddech, by nie spłoszyć, iść śladem tego, co i tak wymknie się wszelkim możliwościom.

Co w niewoli: uwolnić i skarg wysłuchać.

### 9.

#### DRZEWA

Przyszedł czas kasztanów.

Gdy rzucisz kamieniem w listowie,  
spadnie na ciebie prawdziwy grad ciemnobrązowych kulek,  
jakby ktoś wydłubał ośrodkę bułki albo chleba.

Lecz nie mógłbym wybaczyć sobie posłużenia się kamieniem.

Nie jest rzeczą ani sprawiedliwą, ani niewinną tak traktować drzewo, które nas żywi.

A przecież taki dar winniśmy przyjmować nie tylko uprzejmie,  
lecz przede wszystkim w duchu głębokiej wdzięczności.

Drzewem, które nas darzy owocami  
nie wolno nam wstrząsać tak brutalnie.

Myśl, że krzywdząc drzewo, wyrządzam krzywdę sobie  
przyszła mi do głowy dopiero, gdy uzmysłowiłem sobie,  
że to tak jakby rzucić kamieniem w żywą istotę,  
innym obdarzoną rozumem, ale wciąż – choćby z dalsza – spokrewnioną,  
która żyje w moim pulsie.

Jest niepoczciwością, gorzej – przestępstwem jest  
wyrządzać zbędną szkodę drzewu, które żywi nas i darzy swym cieniem.

Stare drzewa to nasi rodzice,  
a może nawet rodzice naszych rodziców.

A w dole rzeka rozpościera swoje mokre chusty.



## 10.

### PTAKI

Pierzasty dzięcioł na jabłoni wydaje ostre, szybkie  
*Tea te t,t,t,t,t,ttttt.*

Dzięcioł – mój myślnik.

„Ptak indygo i jego samiczka: ciemne gardło i jasne podbrzusze i biała plamka na skrzydłach... ochrypla nuta i szybkie pierwsze dwie lub trzy sylaby - *twe twe twee*, przytrzymanie na ostatniej, lub *twe twe twe tweeee-e*, lub coś nagle niby *t, tre*

kowalik: szybkie *whar whar; whar whar whar; whar whar.*

rybołów: *phe phe; phe phe; phe phe* – ostry gwizdzący ton

Wireonek płaskodzioby: *ss'ŕ* (z pogwizdem) *wa-say tshippewee-wee-was-say*

Czapla błękitna: *cra-a-ack, cr-r-r-r-a-k*

Lasówka złotawa: *che-che-che-che-char-char* (6.245).

cyraneczka: *ker-chuck ker-chuck ker-chuk* (6.207) (7.53)

Płynę na ziemi jak na tratwie, słuchając tej muzyki.

Może cały wysiłek polega na uchwyceniu kształtu tego ptaka,  
delikatnego łuku skrzydła i wdzięcznego zakrzywienia dzioba.  
Jeśli dożyję dziewięćdziesiątki, będę, choć nie jest pewne, wiedział, jak to zrobić.

Życie dobre: proste, niezależne, wielkoduszne i ufne.

(ufność to spokój i zdrowie).

Mimo wszystko: chociaż świat nigdy nie przestanie toczyć swoich wojen.

## 11.

### DOM

W bardziej prymitywnych społeczeństwach  
każda rodzina ma jakiś dach nad głową  
z grubsza odpowiadający jej najbardziej podstawowym potrzebom.  
Dzisiaj chociaż ptaki niebieskie mają gniazda,  
świstaki i lisy swoje nory, a człowiek jest właścicielem  
płaszczki i kapelusza, ledwie jeden na tysiąc jest właścicielem dachu nad głową,  
gdy 99 procent płaci czynsz tak wysoki, że wystarczyłby Indianinowi  
na zakup całej wioski.

Ale też domy nasze to pałace w porównaniu z wigwamem Indianina:  
kominki, stiuki, wodociągi, weneckie żaluzje...

Tak, tak – cywilizacja nieustannie ulepszała nasze domy,  
ale niekoniecznie ulepszyła tych, którzy w nich zamieszkują.

Cenę rzeczy wyznacza to, ile życia cię kosztowało jej nabycie.

Większość ludzi nie wie, czym jest dom,  
i wpadają w długi i nędzę, bo są przekonani,  
że muszą mieć taki sam dom, jaki ma sąsiad.

Otoczeni wygodami, żyjemy w nieopisanej nędzy.

Irlandczycy pracują przy budowie linii kolejowej do Fitchburga  
za 60 centów za szesnastogodzinną dniówkę,  
przychodzą tacy, co zgodzą się i za 50.



## TADEUSZ SŁAWEK

### 12.

#### BUTY

Więżniowie złudzeń, które oswoili jakimś imieniem,  
ale imię, jak imię – zdradzi ich wcześniej czy później.  
Dlatego codziennie chodzę do lasu, by pewność imienia wyprowadzić w pole.  
Codziennie przemierzam las,  
by nie dać się uwięzić imieniu. By wyjść z jego pola widzenia.

Moje słowa najpierw płyną razem z rzeką,  
dopiero potem z ludzkim gwarem.  
W potrzebie człowiek zawsze się tuli do rzeki,  
która jest pomostem, jaki Bóg zostawił człowiekowi  
dla ratunku przed pustką.  
*Runriverrun....*

A kto chodzi w pole i w las musi mieć buty.  
Kupiłem parę z dobrej, juchtowej skóry  
i teraz jestem jak ten, co narąbał drewna na zimę,  
jak generał, który dobrze ustawił szyki wobec nierozpoznanego jeszcze przeciwnika.

Buty na zimę trzeba kupować latem.  
Brnąc w mokrej ziemi, okopując ziemniaki, sadząc fasolę,  
drobne nitki gliny zasklepiają wszelkie nieszczelności skóry,  
wtedy zimą będziesz miał suche nogi.  
Jak dwie księżniczki w obronnym zamku.

Dlatego przyglądam się butom tak uważnie, jak inni przyglądają się kobietom.  
Uważniej niż butom i ptakom przyglądałem się tylko Ellen Sewall,  
której ojciec zabronił wyjść za mnie.

Rys. Bogna Sławara



### 13.

#### ELLEN SEWALL

Piękna i delikatna jak skrzydło czapli.  
Tego lata, gdy przyjechała do Concord,  
brzezi rzeki (*runriverrun*) były moimi ramionami, które ją objęły.  
Ja wiosłowałem, Ellen siedziała przy sterze,  
niosła nas spokojna Concord River,  
*runriverrun....*  
Ellen w krainie czarów,  
dopóki chmury przesądu nie przysłoniły  
błękitnego nieba i jej ojciec zabronił jej widywać się ze mną.

Tylko jeszcze mocniejsza miłość jest lekarstwem na miłość.  
Ellen, Ellen, naga była gałąź naszej miłości.  
Nie spadło z niej żadne jabłko.  
Tylko spojrzenia pod promieniem południa,  
Z których urodziła się daleko jakaś planeta.

Rozejrzyj się, przybyłeś,  
wszystkie „nie” przeobrażają się w „tak”.  
Rozejrzyj się, przybyłeś do łóża ostatniej boleści –  
„Ellen Sewall, ...zawsze ją kochałem”





## 14.

### KRÓLESTWO NIEBIESKIE

Królestwo niebieskie,  
które jest niczym skarb ukryty w zaoranej ziemi  
albo drogocenna perła w niewiadomych rękach.  
Ale jeśli równocześnie  
ani ta rola, ani ta perła, ani to królestwo  
nie są z tego świata,  
wtedy tylko klęska królestwa jest jego zwycięstwem.  
Zatem nic po królu.

Król okazuje się nicponiem, który zmarnotrawił wszystkie dobra,  
roztrwonił dalekosieżne czyny bohaterskie wymagające cierpliwości  
na doraźne sukcesy, które zdradza nerwowy niepokój.  
Więc nie królestwo niebieskie,  
ale sąsiedztwo niebieskie.

Sąsiedztwo niebieskie szanuje obcość,  
nie znosi swojskości.  
Nie perła drogocenna, ale może zwykły liść,  
nie żyzna ziemia, ale może pień w długim ramieniu rzeki,  
łódź biegnący przez bagno,  
Indianin w czerwonej koszuli pnący się ścieżką pod górę.  
Może to oni odmieniają moje życie.  
Może za nimi iść trzeba.  
Może to ich wypowiedem w ostatniej godzinie.

Sąsiedztwo nie odkłada się na później,  
dzieje się teraz, nie jest „potem”,  
nie jest „tam”, jest „tu”.  
Nie buduje murów, ma otwarte drzwi, siedzi na progu.  
Nie przejmuje się władcami,  
Ani dostojnikami w bogato wyszywanych ornatach,  
śmiało sobie poczyna,  
ponosi klęski, nigdy nie wynosi się ponad,  
dzieli mój los.  
Dlatego jest zwycięskie.  
Sąsiedztwo niebieskie nie jest jak drogocenna perła,  
ani jak bogata ziemia.  
Jest jak pies: szuka człowieka.



## TADEUSZ SŁAWEK

---

### 15.

Głędzenie HDT przyjmuje formę gadanego, nieregularnego bluesa o śmierci, która jest jak pies:

#### DEATH DOG BLUES

O, śmierci, bądź mi bratem psem.  
Gdy będę ducha winny Bogu,  
pół świata zbiegniesz i odnajdziesz mnie,  
przyjdiesz i szczekniesz tak przyjaźnie,  
choćbym był igłą w siana stogu.

Jak temu psu będzie pachniała sierść?  
Gdy będę Bogu winny ducha,  
przybiegnie, szczeknie, cisza w krąg,  
wszystko zamilkło, nie ma nic,  
to kogo wtedy będę słuchał?  
Jaką ten pies będzie miał sierść?  
Gdy ducha będę winny Bogu,  
przytuli swój kosmaty łeb,  
i pokój zapanuje wieczny,  
nie będzie przyjaciół ni wrogów.

Czy sierść mokrą od deszczu będzie miał,  
gdy przyjdzie, gdy Bogu będę ducha winny?  
Szczeknie, a gdy nie będę chciał z nim wyjść,  
Powie, chodź Sławek, chodź,  
Nie bądźże dziecinny.

Gdy dusza, którą-m winien Bogu  
Pograży się w ostatnie sny,  
Pies śmierci szczeknie – zawsze byłem wierny ci,  
I teraz tu zostanę z tobą,  
Umrzemy obok siebie, umrzemy razem, jak dwa psy.

Gdy Bóg mą duszę rzuci ci jak kość,  
ty wiernie złapiesz w locie ją,  
przestaniesz szczekać i zakopiesz.  
Na lepsze czasy schowasz mnie,  
bo równy z siebie gość.

Gdy duch, którego-m winien Bogu,  
do Niego będzie się już zbliżał,  
gdy na szyi śmierci zaciśnie się kryza,  
pies śmierci przyjdzie i polize mnie,  
a ci, co jeszcze tu zostaną rzekną –  
piękną śmierć miał, bo pies mu mordę lizał.



Fot. Anna Lorenc

*Utwór po raz pierwszy przedstawiony został publiczności podczas festiwalu Ars Cameralis w listopadzie 2017 w Teatrze Śląskim w Katowicach: **hdt – na skraju. Esej na głos i kontrabas** – Bogdan Mizerski (kontrabas), Joanna Kściuczyk-Jędrusik (sopran), Tadeusz Sławek (recytacje).*

**hdt – Henry David Thoreau** (1817 – 1862), amerykański filozof transcendentalista, przyrodnik, pisarz, autor idei nieposłuszeństwa obywatelskiego, jeden z ojców nowoczesnej myśli amerykańskiej.

**Tadeusz Sławek** – polonista i anglista, poeta i tłumacz, profesor Uniwersytetu Śląskiego. W latach 1996-2002 rektor tego uniwersytetu. Autor książek z zakresu historii i teorii literatury, tłumaczeń i – wraz z Bogdanem Mizerskim – esejów na głos i kontrabas. Ostatnio wydał *U-chodzić* (Katowice, 2016).



# Śląskie tajemnice

## cz. 5

### Straszny dwór w Wojczycach

Każdy pałac bądź zamek ma swoją historię, trzeba tylko ją odkryć na nowo. Cóż można napisać o obiekcie w Wojczycach? Być może niepozorny, być może nie tak okazały jak inne, jednak jego mury to dom rodziny Clary Immerwahr – kobiety, która porzuciła swą karierę naukową dla człowieka, który na kartach historii zapisał się jako „Doktor Śmierć”.

Wojaczycki pałac jest niepozorny i ukryty wśród drzew na tyle skutecznie, że ciężko go dojrzeć z drogi. Pozornie nie wyróżnia się niczym spośród wielu podobnych rezydencji wybudowanych w końcu XIX wieku. Skromny, urzekający w swej prostocie wraz z otaczającym go parkiem i zabudowaniami folwarcznymi, dziś powoli staje się ruiną. Nie wiadomo, jakie były jego najnowsze losy, zapewne jak większość obiektów tego typu, które nie zostały zniszczone podczas działań wojennych stał się własnością PGR z przeznaczeniem na biura bądź mieszkania pracownicze.

Lata zaniedbań odbiły na nim swoje piętno, pomimo że został wpisany na listę zabytków. Zabudowania folwarczne przekształcone przez PGR funkcjonują do dziś, przejęte przez prywatnego inwestora, ale na zagospodarowanie pałacu niewyrażnie zabrakło pomysłu. Zapewne powodem jest jego lokalizacja, bo położony na uboczu, pozbawiony drogi dojazdowej nie rokuję nadziei na bycie atrakcją turystyczną, czy zaadaptowanie go na pensjonat lub hotel.

W otoczeniu obiektu próżno doszukiwać się pięknego niegdyś parku, brak opieki sprawił, że obecnie jest ciężkimi do pokonania zaroślami. Sam pałac, znajdujący się na skraju upadku, został zabezpieczony, choć dokonano tego w dość siermiężny sposób. Drzwi i okna zamurowano, okienka piwnic zabezpieczono betonowymi czopami. Choć chroni to obiekt przed wandalami, jednak nie powstrzyma postępującej destrukcji, a ciekący dach i powybijane okna na górnych kondygnacjach, wystawiają to, co zostało z rezydencji, na łaskę deszczu, śniegu i wiatru.

Jest jednak coś, co przepelnia to miejsce grozą. Być może to świadomość, że mury pałacu to dom rodziny Clary Immerwahr – nietuzinkowej kobiety, która jako pierwsza przedstawicielka płci pięknej z wielkim hukiem wdarła się w ścisłe grono naukowców. Clara studiowała na Uniwersytecie Wrocławskim, a w 1900 roku zyskała tytuł doktorski magna cum laude. Żadna kobieta przed nią nie zaszła

tak wysoko na tej uczelni. Stopień naukowy wyróżniał ją wśród swoich rodaczek. Stała się intelektualną amazonką, kobietą o ogromnych horyzontach. Pomimo to, nie było jej łatwo w czasach, kiedy kobieta winna była zajmować się damskimi sprawami miast nauką, która wtedy ciągle jeszcze dla pań była nieosiągalna.

Wyszła za mąż, również za naukowca, chemika Fritza Habera. Wtedy przestała być kobietą czynu. Nikt już nie interesował się jej sposobami myślenia i intelektem. Była po prostu żoną znanej osobistości. W jej życiu nastąpił zwrot – z kobiety o szerokich horyzontach, z naukowca, stała się już tylko postacią stojącą w cieniu swego męża, który w dość złowrogi sposób zapisał się na kartach historii. Otóż Fritz eksperymentował z gazami bojowymi i był odpowiedzialny za ich produkcję oraz użycie podczas I wojny światowej. Początkowo w ramach swoich doświadczeń prowadził badania na zwierzętach. Skutki tych eksperymentów dokładnie dokumentował. Badał też działanie zabójczych chemikaliów obserwując umierających w cierpieniach żołnierzy. Clara nie tylko publicznie go za to potępiała. Jej reakcją na postępy w programie chemicznym cesarskiej armii była postępująca depresja. Hołdująca postępowym ideom, wykształcona kobieta, wierząca w siłę nauki, nie potrafiła żyć w świadomości iż jej mąż, poświęca swój talent biorąc udział w wojennym szaleństwie, świadomie dążąc do zwielokrotnienia liczby ofiar.

Haber niewiele przejmował się rozpaczą żony, pochłonięty swoją obsesją stworzenia idealnej broni chemicznej, krok po kroku doskonalił koncepcję jej zastosowania. Często wyjeżdżał na front, by prowadzić w tej materii konsultacje z oficerami. Do pozostawionej w domu Clary docierały natomiast kolejne szczegóły na temat rzezi, rozgrywających się na frontach wojny. Idealistycznie nastawiona, ale bezsilna i samotna w swych ideałach kobieta pogrążała się w gorczy.

Czara rozpaczy przepelniała się w drugim roku Wielkiej Wojny. Nie mogąc znieść myśli o okropieństwach, za które odpowiadał jej mąż, 2 maja 1915 roku, na wieść o skutkach ataku z użyciem gazu, który pod Ypres poraził tysiące żołnierzy francuskich, Clara popełniła samobójstwo.

Jej akt desperacji i sprzeciwu nie powstrzymał Habera przed dalszymi eksperymentami. Nadal jeździł na front, ulep-

szając wciąż taktykę użycia gazów bojowych, pracując jednocześnie nad coraz skuteczniejszymi substancjami. Bezpośrednimi efektami jego osiągnięć w dziedzinie chemii była śmierć prawie stu tysięcy żołnierzy, zagazowanych w okopach podczas wojny, wywołane gazami rany i kalectwo u ponad miliona ludzi, i pogrążenie Europy na wiele lat w psychozie lęku przed totalną wojną chemiczną. Najwyraźniej nie przeszkadzało to jego współczesnym, bo w 1918 roku... został laureatem Nagrody Nobla za syntezę chemiczne. W latach 20. Haber kontynuował swoje badania, które zaowocowały wynalezieniem substancji o nazwie Zyklon A i B, które początkowo miały znaleźć zastosowanie jako środki owadobójcze. Ten drugi wkrótce posłużył do masowego ludobójstwa w obozach koncentracyjnych, znany jako Zyklon B, choć trzeba przyznać, że to akurat nie było intencją Habera, który jako osoba pochodzenia żydowskiego wyemigrował z Niemiec po dojściu nazistów do władzy. Wyjechał najpierw do Anglii, lecz ze względu na problemy zdrowotne przeniósł się do Szwajcarii, gdzie zmarł w 1934 roku. Paradoksalnie, jego osiągnięcia z lat I wojny światowej, które kosztowały go samobójstwo pięknej żony, tak naprawdę na niewiele przysłużyły się przegranej armii. Gazy Habera przyczyniły się co prawda do cierpienia milionów żołnierzy, ale „cudowna broń” jego marzeń jako środek bojowy nie odegrała żadnej roli w przełamaniu frontu.

Można tylko przypuszczać że czy zła aura pałacu związana jest z tymi wydarzeniami, jednak pozostaje faktem, że obiekt jest domem rodzinnym Clary, można więc zaryzykować tezę, że tragiczna para była w murach rezydencji.

Zamurowane wejście do pałacu skutecznie strzeże tajemnice jego wnętrza. Zastanawiam się, jak wyglądały, czy pozostał wewnątrz choć mały ślad dawnych dni. Z zewnątrz widać tylko schody, wejściowy portal wsparty na dwóch kolumnach a nad nim detal architektoniczny. Okrągłe zdobienie, cherubinek w wymyślonej pozie, który zaprasza do wejścia. Wszak tędy przechodził każdy, kto kiedykolwiek tu mieszkał.

Wpatrzona w kołysane wiatrem czeremchy, które wraz z krzakami czarnego bzu rosną przed pałacem, zastanawiam się ile jest jeszcze podobnych obiektów ukrytych w zarośniętych parkach na obrzeżach miast i wsi, które nikną bezpowrotnie z naszego krajobrazu. Pora ruszać w poszukiwaniu kolejnych, by opowiedzieć ich historię nim bezpowrotnie wchłonnie je czas.

Tekst i zdjęcia:

JULIA MONTEWSKA

*Regionalistka, pasjonatka ruin, miłośniczka zabytków oraz architektury obronnej i przemysłowej Dolnego i Górnego Śląska, twórczyni internetowego portalu Łowcy Historii, publikuje w miesięczniku „Odkrywcza”.*

Zamieszczona na sąsiedniej stronie infografika pokazuje niby tylko, ilu mieszkańców (z kolejnych roczników) liczy województwo śląskie. Dokładniejsze przestudiowanie tego wykresu pozwala jednak na bardzo ciekawe obserwacje i wnioski, zwłaszcza gdy się dysponuje podobnymi portretami, sporządzanymi co rok według tej samej metody przez wiele lat. Wtedy ciąg portretów widzimy jako proces, a główne cechy tego procesu to: wolnozmiennosc, przewidywalność następstw i ich... nieuchronność.

### Udostępnić *big data*

Administracja miejska zawsze była generatorem ogromnej masy różnego rodzaju danych. Przejmując przez wieki kolejne obowiązki od parafii, rejentów, sądów, cechów a nawet szkół, stała się gigantycznym magazynem bezcennych informacji o terenie i o ludziach. Od dobrych dwudziestu lat coraz większa część tych informacji migruje z segregatorów do komputerów, tworząc prawdziwe kopalnie wiedzy o mieście, regionie i kraju. Problem w tym, że w elektronicznych kopalniach prawie nikt nie fedruje. Raczej jest to magazyn statyczny, coś w rodzaju rezerwuaru, do którego zagląda się rzadko, raczej tylko w sprawach jednostkowych, by wydobyć jakiś ważny dla kogoś dokument. Niektóre rejestry badają też naukowcy, wyniki publikują w niskonakładowych czasopiśmie specjalistycznych, ale nie tworzy to systemu wiedzy dostępnej dla każdego.

Z punktu widzenia informatyka – archiwa przeniesione do pamięci komputera stają się czymś, co nazywamy *big data*, a to już potrafimy przetwarzać na milion sposobów. I nawet nieświadomie korzystamy z tych sposobów codziennie. Nie wiemy wprawdzie, jak pracuje wyszukiwarka internetowa, ale wiemy, czego szukamy i błyskawicznie to uzyskujemy. Cały problem – jak włączyć miejskie banki danych do sieci w taki sposób, by nie narobić szkód i nie naruszyć czyjegoś dobra, uwzględnionego np. w ustawie o ochronie danych osobowych.

Urzednicy korzystają ze swoich zasobów do celów służbowych, obywatele otrzymują różne wypisy, dowody czy potwierdzenia, ale gdy chcemy dowiedzieć się nieco dokładniej np. o wieku kierowców, otrzymujących w różnych miastach pierwsze prawo jazdy w kolejnych latach, okazuje się, że nikt interesujących nas danych nie opracował. Już sam dostęp do tych zasobów okazuje się niemożliwy czy bardzo trudny nie z powodu ich tajemniczości, ale dlatego, że nie przewidziano opcji publicznego dostępu do wielu archiwów, np. do rejestru pojazdów, zawierającego ogrom ciekawych, zdepersonalizowanych danych. To samo dotyczy bazy danych nieruchomości,

# Demograficzne przesilenie

ANDRZEJ JARCZEWSKI

dróg, wodociągów, drzew, terenów rekreacyjnych itd. Są to w istocie bazy danych... niedostępnych.

### Kto ma wiedzę, ten ma władzę

Zestawienie choćby tylko liczby obywateli zameldowanych w danym mieście – w rozbiciu na roczniki – wymaga kłopotliwej wielogodzinnej pracy, wykraczającej poza obowiązki służbowe urzędnika odpowiedzialnego za interesujące nas dane. Zyskaliśmy technologiczną możliwość przetwarzania wszystkich danych gminnych, powiatowych czy wojewódzkich, ale ich nie przetwarzamy. Urzędy raczej utrudniają dostęp do swoich zasobów, jakby obawiały się, że obywatel może wiedzieć za dużo.

Na usprawiedliwienie tego stanu rzeczy można by wskazać, że w każdym ratuszu czy starostwie musiałyby jeszcze istnieć oddziały Głównego Urzędu Statystycznego lub coś podobnego, a tego nie przewidują statuty i nie ma na to pieniędzy. Spieszę więc z podpowiedzią. Otóż nasze magistraty wcale nie muszą opracowywać posiadanych danych. Wystarczy, że je... udostępnią! Zawsze znajdują się wariaci, którzy dnie i noce grzebać będą w tych materiałach, by wytworzyć oryginalny obraz, ilustrujący jakiś ważny dla nich proces społeczny, przestrzenny czy ekologiczny.

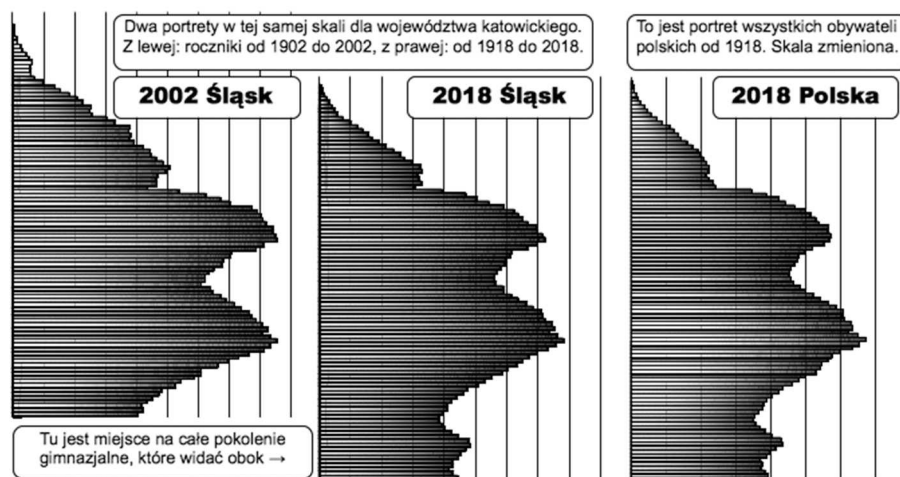
Przykładem służy Urząd Miejski w Gliwicach, który od roku 1998, czyli już przez dwadzieścia lat (!) systematycznie udostępnił mi surowe dane demograficzne. Ja to przetwarzam w taki sposób, że rysuję zawsze taką samą jak ta obok infografikę i publikuję to w lokalnej prasie z omówieniem różnych szczegółów, ważnych w danym roku. Gliwice dysponują więc nie tylko swoim demograficznym portretem, ale też mają dokładny obraz rocznych zmian procesu – powtarzam, bo to ważne – wolnozmiennego, przewidywalnego i nieuchronnego. Czy władze wyciągają z tego poprawne wnioski to już inna sprawa. Na pewno jednak nie mogą powiedzieć, że czegoś w tym względzie „nie wiedzieli”.

### Portrety i procesy

W okresach rozwoju nakładają się na siebie różne rozbieżne trendy i niekiedy można przeoczyć jakiś ważny proces, „przykryty” skutkami zupełnie innych zjawisk. Zauważamy na przykład, że miasta, zwłaszcza w części centralnej, pięknieją, że przybywa nowych miejsc pracy, że jesteśmy – jako gminy – bez porównania bardziej atrakcyjni niż przed kilkunastu laty. Odnotowujemy ogromne ożywienie w budownictwie, masę ludzi widzimy w centrach handlowych, co chwilę jesteśmy bombardowani informacjami o powstawaniu nowych firm, autostrad i całej masy pomniejszych inwestycji. Na naszych oczach miasta „rosną”.

Gdybyśmy nie dysponowali statystykami, nigdy byśmy się nie domyślili, że jednocześnie zachodzi gwałtowny proces przeciwny: wymieranie miast. Budujemy nowe domy, ale nie od razu opuszczamy stare. Po prostu żyjemy już w nieporównanie lepszych warunkach, wymagamy większych powierzchni mieszkalnych, mamy więcej przedmiotów zajmujących coraz większy metraż, nie mówiąc już o samochodach, których liczba wręcz po roku 1989 eksplodowała.

Niewykluczone jednak, że po osiągnięciu wskaźników europejskich, liczba samochodów przestanie rosnać. Że już nowych hipermarketów nikt nie będzie budował, że całe dzielnice zaczną pustoszeć. Ten proces już się zaczął. W niektórych miejscach jest widoczny, w innych da nam o sobie znać dopiero po samorządowych wyborach: to proces wyludniania się miast, chwilowo zamazywany liczną obecnością Ukraińców i pracujących w miastach, ale mieszkających na wsi Polaków. Ci ostatni wracają po południu do domu i miejskie starówki pustoszeją, bo tam są już tylko korporacyjne lub urzędowe miejsca pracy i – na szczęście – rozkwitająca gastronomia, generująca ruch wtórny. Mieszkańcy dzielnic centralnych są starzy i wieczorem nieobecni na ulicach – bo straż miejska wylapuje ich i pod pozorem niepoczytalności wzywa pogotowie i wywozi ich do szpitali lub domów opieki. Proces ten ogarnia już prak-



tycznie wszystkie większe miasta województwa śląskiego.

Podobne opracowania rysują również dla innych miast, dla województwa i dla całej Polski. Publikuję to w czasopismach naukowych lub popularnych. Przygotowanie takiej infografiki zajmuje dziesięć minut, więc robię to (bezpłatnie) dla każdego, kto mi przyśle uporządkowane dane na adres: [jarczewski@gmail.com](mailto:jarczewski@gmail.com). Natomiast wnioski dla swojego miasta każdy musi wyciągnąć sam. Główne trendy powtarzają się wszędzie identycznie, ale w każdym mieście występują też pewne cechy szczególne, które nie pozwalają powtarzać gotowych rozwiązań, bo te powinny być „szyte na miarę”.

### Bezzębny starzec

Przedstawiam teraz miniaturę pokazanego wcześniej portretu, ale już bez dymków i kolorków. Wykres z roku 2018 (środek) konfrontuję ze starszym o 16 lat obrazem, opublikowanym w miesięczniku „Śląsk” nr 7/2002. Gwoli uzupełnienia – dodaję (z prawej) identyczny wykres, sporządzony w roku 2018 dla całej Rzeczypospolitej. Teraz łatwo zauważyć, że główne zjawiska demograficzne – zarówno na Śląsku, jak i w całej Polsce – kształtowane są przez straty wojenne, kiedy to rodziło się mało dzieci, a wiele ginęło w kołysce. Pod tym względem różnimy się od Niemiec, gdzie na początku wojny dzieci przybywało. Zarówno tych rodzonych przez Niemki, jak i kradzionych w Polsce i innych krajach. Z kolei – do dziś widoczna na portrecie śląskim wyrwa roku 1945 jest charakterystyczna dla Niemiec, a nie dla terenów na wschód od Wisły, gdzie już od połowy roku 1944 zaczynało się, choć nie dla wszystkich, normalne, ciężkie życie.

Profil bezzębnego starca powtarza się co rok, tyle że obraz przesuwa się w górę. U dołu, czyli w najmłodszych rocznikach, pojawia się to, co przewidywalne i nieuchronne: jeżeli 25-35 lat wcześniej było dużo rodziców, to i dzieci będzie spo-

ro, natomiast mniej liczne roczniki matek urodzą mało dzieci. Poprzednie zdanie brzmi wręcz banalnie, zastanawiam się nawet, czy takie oczywistości pisać. Postanowiłem jednak to pozostawić z jednego zadziwiającego powodu. Otóż wszystkie kolejne rządy w PRL i w III RP też powinny to doskonale wiedzieć. Powinny prowadzić aktywną politykę antycykliczną, której celem byłoby wyrównywanie liczby urodzeń w kolejnych latach. Tymczasem wszystkie rządy albo nie prowadziły żadnej polityki demograficznej, albo wręcz działały procyklicznie, pogłębiając różnice.

### Polityka antycykliczna

Wystarczy rzut oka na te wykresy, by zorientować się, że cykliczne występowanie wyżów demograficznych i niżów musi być dla państwa bardzo kosztowne w różnych dziedzinach życia społecznego i gospodarczego. Dla powojennego wyżu musieliśmy budować „1000 szkół na 1000-lecie”; natomiast gdy przyszła depresja – szkoły pustoszały, a nauczycieli zwalniano. W PRL nie było to jeszcze tak kosztowne, bo pierwszy powojenny niż przeleciał, zanim uporano się z utworzeniem pełnej infrastruktury szkolnictwa, niewiele więc trzeba było likwidować.

Ale już w latach dziewięćdziesiątych, gdy rodziło się coraz mniej dzieci i gdy było pewne, że spadek będzie pogłębiał się przez wiele lat, gdy media lansowały „nowoczesną”, czyli bezdzietną rodzinę – w całej Polsce okazało się, że przedszkoli jest za dużo. Przystąpiliśmy więc do masowych likwidacji przedszkoli, wiedząc, że za chwilę trzeba będzie zamykać szkoły podstawowe, a w nieodległej perspektywie – również średnie.

Na kolorowym wykresie zasygnalizowałem, że w najbliższych latach będą likwidowane co słabsze szkoły wyższe. To powinien zauważyć każdy, kto umie liczyć. To powinien zauważyć każdy rektor już dwadzieścia lat temu! Tymczasem zaczyna się właśnie nabór kolejnego

rocznika do uczelni, których niebytność nie jest niepewny. Jest pewny: miecz likwidacji wisi nad połową prywatnych szkół wyższych. I tego nie da się zamydląć żadnymi sloganami. Wiadomo, kto padnie. Jeżeli uczelnia naciąga młodzież jakimś fatamorganami, oszukuje.

Rzućmy teraz okiem na „grdykę” naszego starca. To jest demograficzne echo drugiego powojennego wyżu, rysującego „brodę” na portrecie. To odbicie jest słabe i opóźnione z powodu zmiany modelu rodziny. Widząc tę beznadzieję, GUS w roku 2014 opublikował prognozę, która w realistycznym wariancie zakładała, że liczba urodzeń będzie teraz systematycznie spadać, bo w wiek rozrodczy wchodzi coraz mniej potencjalnych matek. Miałyby to skutkować najpierw starzeniem się społeczeństwa (z braku dzieci), a następnie – wymarciem całego narodu, bo jeśli liczba rodziców będzie stale spadać, jeśli dzietność kobiet będzie tak słaba, jak obecnie, to dzień, w którym urodzi się ostatni Polak można wyliczyć dokładnie i wiarygodnie.

Na zakończenie dwa słowa o Programie „500+”. Tego GUS w roku 2014 nie przewidział. W roku 2017 urodziło się o 16% dzieci więcej, niż prognozowano. To wielokrotnie przewyższa dopuszczalny błąd statystyczny. Dwa najmłodsze, coraz liczniejsze roczniki dowodzą, że demograficzny skutek tego programu jest niezaprzeczalny. Zwracam uwagę, że „500+” działa nie tylko pronatalistycznie, ale – i to jest szczególnie cenne – również antycyklicznie. Zaczątek jakby „drugiej grdyki” jest wyraźny, zwłaszcza że według prognoz miała być w tym miejscu kontynuowana równia pochyła, prowadząca nas do niebytu. Teraz czekamy na dalsze programy, bo jednak liczba matek stale maleje i efekty Programu „500+” nie utrzymują się dłużej niż dwa trzy lata. Najważniejsze, że dowiedziono skuteczności polityki demograficznej. Oby nam nie zabrakło pieniędzy na jej kontynuowanie.





## Recital Sofya Gulyak

Znakomita rosyjska pianistka Sofya Gulyak pojawiła się po raz kolejny w Katowicach, jak zawsze w towarzystwie swego odkrywcy Juliusza Adamowskiego (to na stworzonym przez niego konkursie pianistycznym im. Liszta we Wrocławiu wywalczyła swoje pierwsze zwycięstwo). Obecnie pani Sofya mieszka i pracuje w Londynie – w słynnej Royal School of Music i koncertuje na całym świecie. Cudownie, że znalazła czas, by zawitać do Katowic, by na jednym z koncertów „Silesii” zaprezentować w Sali Koncertowej Polskiego Radia imponujący program, złożony z jednej z sonat Muzio Clementiego, *Wariacji op. 20* Clary Schumann, fortepianowej wersji poematu *La Valse* Ravela, lisztowskich transkrypcji kilku pieśni Schuberta oraz tegoż autora *Fantazji „Wędrowiec”*. Na bis dodała *Chaconę G-dur* Haendla. Byliśmy świadkami wykonania na najwyższym światowym poziomie. Gra pani Gulyak imponuje pewnością, spokojem, nerwem wirtuozowskim oraz tym, co się tradycyjnie kojarzy z rosyjską szkołą pianistyczną – naturalnością podejścia do muzyki. Chopin instruował ongiś jedną z uczennic, iż powinna „grać jak czuje”. Ten właśnie postulat wydaje się kierować i wyborami repertuarowymi, i koncepcjami interpretacyjnymi pianistki. W jej grze nie ma pedantyzmu, nie poddaje się też absolutnie presji „autentyzmu”, który tak często odziera z życia tzw. wykonania historyczne. Czy to Clementi, czy Haendel, czy Schubert – pod palcami Gulyak stają się oni na powrót młodzi, pełni życia. Słuchacze koncertu poczuli się obdarowani tym życiem, nagradzając artystkę owacją na stojąco.

### Zygmunt Antonik in memoriam

Rok temu, w pięknym miesiącu Maja, po ciężkiej chorobie zakończył życie w wieku zaledwie 62 lat Zygmunt Antonik – znakomity organista i pedagog, związa-

## Między nutami



MAGDALENA DZIADEK

ny z Instytutem Muzyki UŚ w Cieszynie oraz Szkołą Muzyczną im. Karłowicza w Katowicach. Był znany melomanom Katowic, Cieszyna i Zaolzia jako wykonawca koncertów organowych i organizator kilku festiwali muzycznych. W pierwszą rocznicę śmierci naszego Kolegi szefostwo Instytutu Muzyki zorganizowało piękną uroczystość. Zgromadziliśmy się u cieszyńskich Elżbietanek, by uczestniczyć w Mszy św., a następnie wysłuchać koncertu, na którym wystąpili trzej organiści: uczennica Zygmunta Antonika Ewelina Bachul oraz koledzy zmarłego: Bogumiła Faustyna Dunikowska i Tomasz Orłow. Podczas koncertu wykonano m.in. szereg kompozycji dedykowanych zmarłemu artyście. Napisali je Wiesław Cienciała, Krzysztof Gawlas, Bogumiła Mika i Bogumiła Faustyna Dunikowska. Spośród tych utworów największym zaskoczeniem był utwór tej ostatniej – kompletnie odstający od utartych konwencji tzw. muzyki współczesnej, stanowiący frapujący kolaż pomysłów z „różnych beczek”, tworzących jednak przekonującą i wręcz wciągającą całość. Mogłaby ta muzyka służyć jako ilustracja wykładu o postmodernizmie w muzyce. Była też świetnie zagrana, z prawdziwym nerwem wirtuozowskim. Również grę pozostałych uczestników cechował nietuzinkowy poziom – widać, że muzyka organo-

wa w Cieszynie ma się bardzo dobrze. Czy ma to związek z żywo obecnym w naszym mieście duchem protestantyzmu?

### Muzyczne oblicza wojny

Biblioteka Główna Akademii Muzycznej w Katowicach wzbogaciła się niedawno o cenny dar, czy znalezisko – pozyskano duży korpus źródeł ilustrujących okupacyjne losy trzech przedwojennych muzyków śląskich: Zdenka Karola Runda, Tadeusza Prejznera i Stefana Ślązaka. Są to zarówno fotografie, jak i dokumenty: garść listów, urzędowe papiery, rękopisy muzyczne. Pokazują działalność Zdenka Karola Runda jako dyrygenta orkiestry Oflagu VI B w Dössel w Północnej Westfalii, pracę Stefana Ślązaka jako nauczyciela tajnych kursów muzycznych w Sosnowcu (tu m.in. wzruszająca pamiątka – laurka narysowana przez niejaką Wiesię w formie utworu muzycznego, w którym nuty i inne znaki partyturowe, łącznie z kreskami taktowymi, zastąpione są niezapominajkami) i wreszcie dokumenty zawiadamiające o śmierci Tadeusza Prejznera w obozie koncentracyjnym w Majdanku. Obecnie badania nad muzyką w obozach koncentracyjnych, oflagach i obozach pracy są tematem wielu badań historycznych i muzykologicznych. Wiemy już dość dużo o muzykowaniu w KL Auschwitz i innych obozach, ciągle powstają nowe przyczynki do okupacyjnych biografii muzyków, którzy byli ich więźniami. Zdawałoby się, więc, że temat jest już oswojony. A jednak, na widok papierka zawierającego lakoniczną informację, iż Tadeusz Prejzner „zmarł w Lublinie – 19 maja 1944) w głowie automatycznie odzywa się słynne pytanie Theodora Wiesengrund Adorna: „czy możliwa jest kultura po Auschwitz?”

Dokumenty, o których mowa, można oglądać w wypożyczalni Biblioteki Głównej Akademii Muzycznej w Katowicach; wystawa nosi tytuł „Muzyczne oblicza wojny”.

do pkt XI, 453

U C H W A Ł A Nr 71/53  
PREZYDIUM RZĄDU

z dnia 17 stycznia 1953 r.

w sprawie urządzenia na koszt Skarbu Państwa  
pogrzebu zmarłego kompozytora Ludomira Różyckiego.

W uznaniu wybitnych zasług, położonych w dziedzinie  
polskiej twórczości muzycznej, Prezydium Rządu  
uchwała:

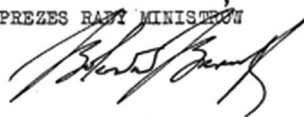
§ 1.

Pogrzeb zmarłego w dniu 1 stycznia 1953 r. Ludomira  
Różyckiego - urządzić na koszt Skarbu Państwa.

§ 2.

Wykonanie uchwały zlecić Ministrowi Kultury i Sztu-  
ki.

PREZES RĄDU MINISTRÓW



(Bolesław Bierut)

*Norman*

Pogrzeby Ludomira Różyckiego  
i Grzegorza Fitelberga  
w świetle nieznanymi dokumentów

W hołdzie wielkim  
muzykom w 65.  
rocznicę śmierci

MACIEJ KIJOWSKI

Ludomir Różycki zmarł 1 stycznia 1953 r. w mieszkaniu przy ul. Sobieskiego 24/5 w Katowicach. Już 2 dni później uroczyste pożegnało go to umiłowane miasto, a nazajutrz pochowano kompozytora w Alei Zasłużonych Cmentarza Wojskowego na warszawskich Powązkach. Nad obiema ceremoniami i przewozem zwłok do stolicy czuwał Marcin Kamiński, twórca Instytutu Muzycznego w Gliwicach, inicjator nadania Państwowej Szkole Muzycznej imienia Różyckiego (1961 – szkoła II stopnia, 1980 – obie szkoły). Wspomniane mieszkanie było uprzednio lokum Kamińskiego, który jako kierownik referatu muzycznego Wydziału Kultury i Sztuki Urzędu Wojewódzkiego Śląsko-Dąbrowskiego uczynił zeń *pied-à-terre* dla przybyłych na Śląsk wybitnych muzyków, w tym Adama Didura, Bolesława Szabelskiego i samego Różyckiego, który później zamieszkał tam na stałe; dzięki pomocy Kamińskiego i wsparciu wojewody Aleksandra Zawadzkiego otrzymał pracę w Konserwatorium Muzycznym, w tym zaszczytną godność dziekana.

Niewiele później, 10 czerwca 1953 r., również w Katowicach, choć *de iure* wtedy już Stalinogrodzie, też we własnym domu zmarł Grzegorz Fitelberg. Zmarł w śnie. Spoczywa na tym samym cmentarzu, w tej samej co Różycki Alei Zasłużonych.

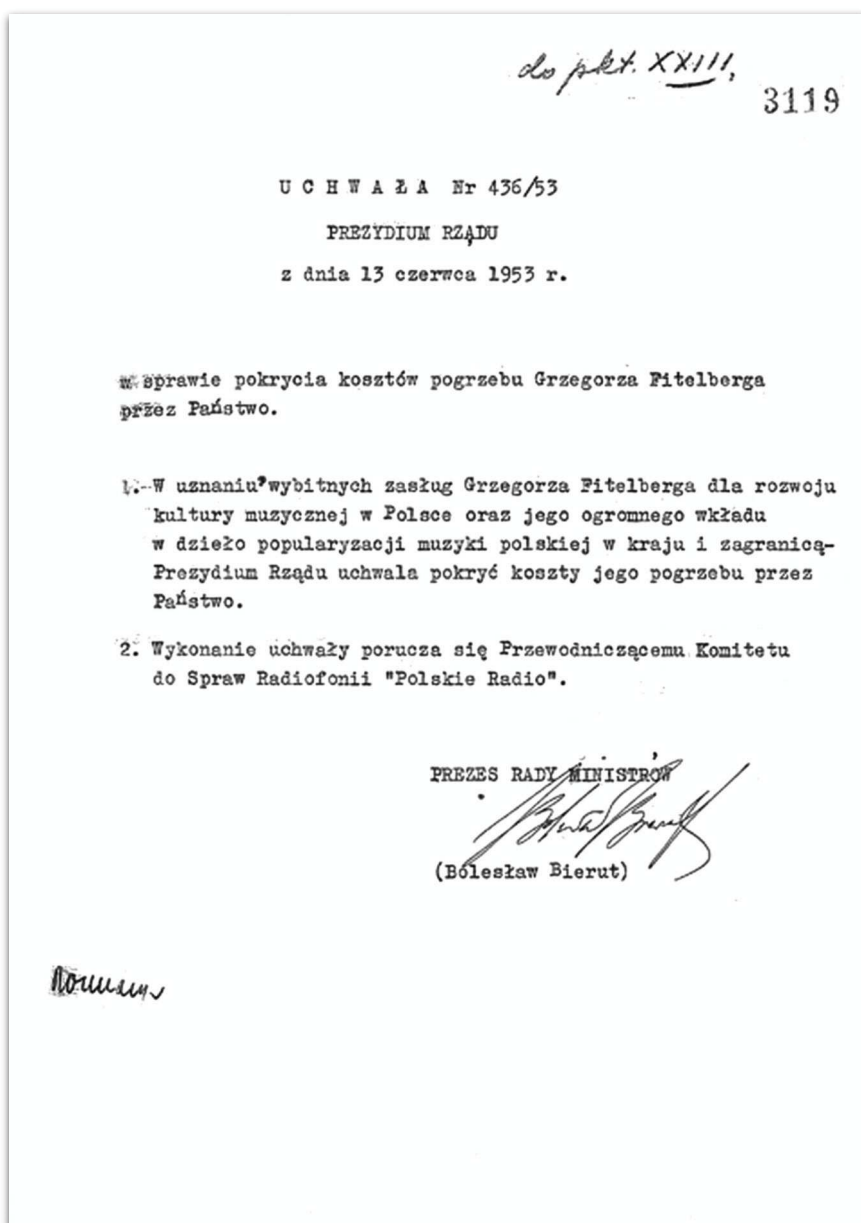
Co łączy obu artystów obok przynależności do kompozytorskiej grupy Młoda Polska i pracy w dzisiejszej Akademii Muzycznej im. Karola Szymanowskiego (członka tej samej grupy) w Katowicach?

Ostatnie pożegnania obu artystów sfinansowane zostały w podobnym trybie, na podstawie kolejno: uchwały nr 71 Prezydium Rządu z 17 stycznia 1953 r. w sprawie urządzenia na koszt państwa pogrzebu zmarłego kompozytora Ludomira Różyckiego oraz uchwały nr 436 Prezydium Rządu z 13 czerwca 1953 r. w sprawie pokrycia kosztów pogrzebu Grzegorza Fitelberga przez Państwo. Same uchwały pozbawione były podstawy prawnej, aby odpowiedzieć jednak na pytanie, dlaczego podjęło je właśnie Prezydium Rządu, należy nieco głębiej cofnąć się w przeszłość. Sprawianie pogrzebów osób zasłużonych na koszt państwa jest od niemal 100 lat jedną z form pośmiertnego uczczenia przez to państwo dokonań tych osób, na równi z honorowaniem ich orderami i odznaczeniami, awansowaniem na wyższe stopnie wojskowe czy ofiarowaniem gestorskich kwater grzebal-

nych. Nie wnikając w detale i wyjątki organem właściwym do decydowania o finansowaniu takich pochówków była do 1950 r. Rada Ministrów, podejmująca w tej sprawie akty rangi uchwały. W związku z przejściem znacznej części uprawnień RM przez Prezydium Rządu, ono to właśnie wydawało w tej kwestii uchwały w latach 1950-1954, po czym przekazało tę kompetencję premierowi, który osobiście bądź przez swoją kancelarię czyni to do dzisiaj.

Załączone uchwały to *inedita*, nigdzie i nigdy dotąd niepublikowane. O ich randze świadczy fakt, że nie zostały podjęte obiegiem (kurendą), lecz ich projekty poddano dyskusji na posiedzeniach Prezydium Rządu, a referował je wiceprezes Rady Ministrów Józef Cyrankiewicz. Dlaczego wicepremier (i to ten konkretny, skoro w posiedzeniu styczniowym uczestniczyło ośmiu wicepremierów, a na czerwcowym było ich sześciu) referował projekty uchwał, miast zaprosić do ich przedstawienia ministra kultury i sztuki (i tak obecnego 13 czerwca, 17 stycznia – nie). O Cyrankiewiczu napisano już wiele, choć jego życie i dzieło wartę są dalszych szczegółowych dociekań. Sybaryta, miłośnik pięknych kobiet i markowych samochodów, zagorzały kibic, właściciel najsłynniejszej polskiej łysiny, ale przecież i autentyczny bohater antyhitlerowskiego ruchu oporu w oświęcimskim obozie. Jako premier i wicepremier działał dla twórców, dla ludzi sztuki bardzo wiele, nieoficjalnym zaś pośrednikiem w tych kontaktach była jego druga żona Nina Andrycz. Orędownictwo premierowej przybierało skądinąd różne oblicza, z jednakim zapałem potrafiła bowiem wstawić się zarówno o pomoc dla artystów, jak i o ich zniszczenie, by wspomnieć znakomitą a wpędzoną w chorobę psychiczną aktorkę Danutę Urbanowicz, zagrażającą jakoby karierze Andryczówny, gdyż zbyt do niej podobną... Mogę sądzić, że Andrycz stała również za pogrzebami państwowymi dla twórców, Fitelberga i Różyckiego nie wyłączając.

Uchwały opatrzone są – jak widać – odręcznym, charakterystycznie rozbudowanym podpisem premiera Bolesława Bieruta oraz kontrasygnatą dyrektora generalnego I Zespołu Urzędu Rady Ministrów prof. dr. Stefana Rozmaryna. Wykonanie uchwał poruczono dwóm odmiennym podmiotom: za pogrzeb Różyckiego odpowiadał Minister Kultury i Sztuki, natomiast za pochówek Fitelberga odpowiedzialność ponosił Przewodni-



czący Komitetu do Spraw Radiofonii „Polskie Radio”.

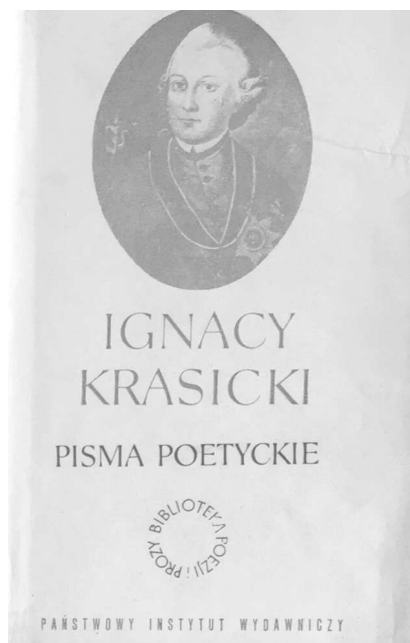
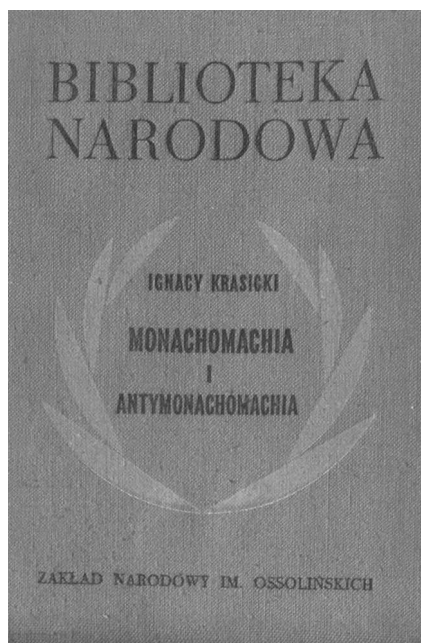
Kryteria tego zróżnicowania są jasne: Fitelberga pochowano jako dyrektora Wielkiej Orkiestry Symfonicznej Polskiego Radia w Katowicach, instytucji pozostającej w strukturze komitetu, który, mimo że rozszerzył wkrótce swe kompetencje na telewizję, pozostał w potocznym i dziennikarskim języku „radiokomitetem” już na zawsze. Inną kwestią jest to, że ówczesny przewodniczący tego gremium Romuald Gadomski, mało zorientowany w sprawach WOSPR niedawny jeszcze funkcjonariusz UB, potraktował tę misję w bardzo administracyjny sposób. Inaczej było z zawartą w uchwale nr 71 kompetencją złożoną w ręce ministra kultury i sztuki Włodzimierza Sokorskiego. Cynik i erotoman, znany z koloryzowania swych wojennych przeżyć, jeszcze jeden łysy w tej opowieści, związał się ze światem kultury na dobre i na złe. Nie tylko jako brat

pianisty Jerzego (również niegrzeszącego nadmiarem owłosienia) i szwagier „słowika Warszawy” Bogny Sokorskiej, skądinąd ciotki Jacka Kaczmarskiego. Jak Cyrankiewicz, również Sokorski wspierał artystów jak mógł i jako minister i później szef radiokomitetu, umożliwiając debiut na ekranie TV choćby Oldze Lipińskiej czy Karolowi Małcużyńskiemu. Można mówić o Sokorskim różne rzeczy, ale nikt nie zaneguje faktu, że on to właśnie, mimo nacisków czy nawet gróźb, zaproponował Bohdanowi Wodiczce dyrekcję Filharmonii Narodowej (1955) i w pełni zaakceptował wniosek muzyków WOSPR o uczynienie wielkiego dyrygenta kierownikiem artystycznym orkiestry (1968); 1 września 1968 r., 7 miesięcy po jego nominacji zespół stał się Wielką Orkiestrą Symfoniczną Polskiego Radia i Telewizji w Katowicach.

Jeszcze jeden ślaski ślad...



# BLASK ARCYDZIEŁ



## Blask Monachomachii

JERZY PASZEK

**W**ojnę mnichów (1778) Ignacego Krasickiego powinno się sytuować w kilku różnorodnych orbitach czasu. Najbardziej dalekosiężna będzie ta, która obejmie lata 1618–1778–1841, czyli pojawienie się trzech arcydzieł literatury polskiej, opartych na coraz świetniejszych oktawach: chodzi oczywiście o *Gofreda albo Jeruzalem wyzwoloną* Torquata Tassa (*Gerusalemme liberata*, 1580) w przekładzie Piotra Kochanowskiego, *Monachomachię* oraz *Beniowskiego* Juliusza Słowackiego. Najkrótszą natomiast trajektorię wyznacza droga od fromborskiego rękopisu poematu do lipskiego pierwodruku: Zbigniew Goliński swoją edycję tego utworu oparł najpierw na tekście libelli, wydanej nakładem Michała Grölla (I. Krasicki: „*Monachomachia*” i „*Antymonachomachia*”). Wstęp i oprac. Z. Golińskiego. Wrocław 1969, „Biblioteka Narodowa” seria I, nr 197; cytując tę edycję, używam skrótu BN), a następnie zmienił nastawienie do potajemnych odpisów uczynionych z autografu poety i uznał za podstawę publikacji właśnie ów dochowany szczęśliwie czystopis (I. Krasicki: *Pisma poetyckie*. Oprac. Z. Goliński.

Warszawa 1976, t. 1, s. 459; cytując ten tom, używam skrótu PP), o którym pisał: „Jest to zapewne ostateczny produkt roboty autorskiej. Stanowisko takie głoszone jest po raz pierwszy”. Ta krótkodystansowa trajektoria będzie zapewne jeszcze badana i oceniana przez filologów, boć ich „delije” takimi właśnie delicjami a delikatesami (choć czasem i deliktami: kradzież niepublikowanego dzieła!) bywają podszyte!

Najciekawszą orbitą dla współczesnego czytelnika może okazać się jednak zupełnie inny lot i inne konstelacje *Monachomachii*. Myślę o następujących datach: 1772 (pierwszy rozbiór Polski i wynikające stąd „zagraniczne” adresy Krasickiego: Królewiec, Lidzbark, Frombork), 1774 (anonimowa ulotka zawierająca *Hymn do miłości ojczyzny*, czyli oktawę z *Myszeidy*), 1775 (*Myszeidos pieśni X*; początkowo anonimowy poemat heroikomiczny o tym, jak myszy zjadły Popiela – „napisany oktawą, przywracał polskiemu językowi literackiemu rangę na miarę pisarstwa renesansowego: bogaty, nie stawiający oporu myśłom, wolny od obcych naleciałości, sprawny składnio-

wo, dźwięczny rytmicznie. Był wielkim debiutem poezji polskiego Oświecenia”. Z. Goliński: *Ignacy Krasicki*. Warszawa 1979, s. 254; cytując tę książkę biograficzną, posługując się skrótem ZGIK), 1777 (inspirująca lektura rękopisu *Organów* Kajetana Węgierskiego, dedykowanych w dniu 22 I 1777 Krasickiemu, a opublikowanych dopiero w 1784 roku), 1778–1780 (wrzawa wokół bezmiennego pierwodruku *Wojny mnichów*: m.in. tzw. *Reskrypt – Do Jaśnie Oświeconego Książęcia Jegomości Krasickiego, biskupa warmińskiego*; Odpis na „*Monachomachię*”; łacińskie *Listy brata Błażeja Dubiecczyka*, czyli Krasickiego), 1780 (*Antymonachomachia* – teraz w „*Gazecie Warszawskiej*” z 1780 roku podano, iż chodzi o Autora *Pana Podstolego*), 1788 (anonimowa książeczka *Książd pleban diecezji X.B.W.* – był to żart ojców bazylianów supraskich, przedrukujących *Organy* Węgierskiego: „proboszcz, wiodący w tym poemacie spór z organistą w otoczu heroikomicznej fabuli, wpisany został przez tę zmianę tytułu w środowisko księcia biskupa warmińskiego”, ZGIK, 303). Tak więc mamy tu ciekawe zjawisko astronomiczne (nb. Krasicki znał miejsce pochowania Kopernika!): rękopis Węgierskiego, stanowiący pobudkę i impuls do kreacji świata nieuczonych a utuczonych mnichów, jest zarazem przewrotnym epilogiem, bo bazylianie w dedykacji libelli zaznaczyli: „Osądzi Wasza Książęca Mość większą potrzebę swoich plebanów poprawić ułomności aniżeli opylać [sic!] kaptury mnichowskie” (ZGIK, ib.).

Krasicki w wydawanym przez siebie czasopiśmie „*Co tydzień*” w latach 1798 i 1799 ogłaszał eseje, które potem (1803) nazwano *Uwagami*. Wśród tych krótkich szkiców mieści się tekst zatytułowany *Biblioteki*, w którym X.W.B. zabawnie radzi czytelniczkom, by swe „gniewalnie lub dziwaczalnie w biblioteki przemieniały” (I. Krasicki: *Uwagi*. Wstęp i oprac. Z. Libery. Warszawa 1997, s. 114). Dla bibliofilów ma cenną radę: „bez szkody wydatek znaczny [...] użyć na zbiór edycji najdokładniejszych, a zatem nieblednych, na skupowanie książek rzadkich i nieprzedrukowanych, na wyszukiwanie rękopism, które szacowne, a więc druku godne, jeszcze z druku nie wyszły” (ib., 118). Nie pochwała czytelniczek (nazywa je „czytelnicami”) „awantur miłośno-heroicznych”, a dawne słynne „*Amadysy*, *Cyrusy*, *Klelie* i *Koloandry*” wyśmiewa (ib., 123; chodzi tu o romanse autorstwa G. Ordoneza de Montalvo, Madeleine de Scudéry i Giovanniego Ambrogia Martiniego, którego tłumaczenie – *Koloander wierny*, *Leonildzie przyjaźni dotrzymujący...* – ukazało się w roku 1762). Pisze poeta pod koniec swoich trafnych wywodów (np. o roli *Biblioteki* Focjusza) także o świętym Tomaszu z Akwinu, obawiającym się „jednej książki ustawicznego czytelnika”, gdyż „kto niewiele, ale z uwagą dobrych książek czyta, po takim się gruntownej nauki spodziewać należy” (ib., 125). A jak to jest z mnichami i zakonnikami, opisywanymi

dosadnie bądź nawet przesadnie (ale taka jest rola satyry!) w poemacie heroikomicznym?

W *Antymonachomachii* pojawia się jaśniejszy obraz życia klasztorowego, niż w poprzedniej wizji mnichów-opojów i żarłoków, ale ta palinodia, czyli „odszczerkanie” złośliwych poglądów, nie jest pozbawiona ambiwalentnych uwag i przytyków. Niby wszystko jest tak, jak powinno być za murami opactwa (Jędza ogląda cele braciszków: „Zamiast kotary – wytarte rogoże, / Wszędzie ubóstwo zastała zakonne. / Książ mnóstwo, których zrachować nie może, / Ledwo objęły pokoje przestronne”; PP, 129), jednakże wszyscy ze złością – pobożną! – czytają tylko podrzuconą im przez Jędzę „księgę zakonnej wojny” (PP, 128): „O *Wojno mnichów!* Takeś w ręce wpadała, / Takeś się najprzód zjawiała na świecie: / Płochosć cię z twoich kryjówek wykradła, / Ciekawość fraszki stawiała w zalecie [...] Najlepiej bajkę i bazarza spalić” (PP, 140-141). Popędliwy ojciec Honorat „Jednym zamachem starzec nieużyty / Wywrócił cztery ksiąg pełne pulpity. [...] Perło pisarzów, o Albercie Wielki, / Coś tajemnice objawiał tak żwawo, / Uczczenia godny! Nieuszanowany, / Spadłeś pod szafę z twoimi kompani. // Wielki Tostacie! Ty, coś znamienicie / Pisał o wszystkim, o czym pisać można, / Nie osiedziłeś się na twym pulpicie, / Złość cię zrzuciła, ale złość pobożna” (PP, 132-133).

Oktawy te potwierdzają, iż karmelitów, dominikanów, bonifratrów i franciszkanów obchodzą tylko dzieła z ciemnego średniowiecza, czyli 21 tomów – a to tylko wybór! – Alberta Wielkiego (ok. 1200-1280) lub Alfonsa Tostata (Tostada), teologa hiszpańskiego z VI wieku. A Tostat był wszak ich lekturą już w *Monachomachii*, gdzie ojciec Honorat wypowiada słynną swą kwestię: „Wiem, bom to czytał w uczonym Tostacie, / Po ciemnej nocy że jasny dzień wschodzi.” (PP, 97). Jeśli zaś prowadzą „mistyczne” dysputy, to na modłę scholastycznych perypatetyków: „Na płytkim gruncie rozbujanych fluktów / Korab mądrości chwieje się i wznosi, / A pełen szczerpu wyborowego fruktów [...] Płynie pod wielkim hasłem, głosząc światu, / Żeś ty [mecenasiu] jest perłą konchy perypatu” (PP, 109).

Ten przykład barokowej wymowy defendensa (obroncy; nb. w telewizyjnych przekazach ze stadionów piłkarskich słyszymy o „defensorach”) kończy się pointą, w której dostrzegam kalambury: „Przeniosłeś w dziełach Sfinksy i Feniksy, / W sławie Euryppy, Bucentaury. *Di-xi*” (PP, 110). Dodane do pierwodruku *Noty dla objaśnienia niektórych miejsc tego dzieła* instruują: „Euryp – ciałnina morska między Achają i Negropontem. Bucentaur – statek, na którym doża wenecki odprawuje obchód zaszłubienia morza” (PP, 123). Euryp wygląda jak skrót od nazwiska greckiego dramatopisarza Eurypidesa, Bucentaur zaś na połączenie Bu-cefała (konia Aleksandra Wielkiego) z centaurem, choć był pono i Bucentaurus, czyli centaur, mający „ciało wolu lub byka” (A. Osieński: *Słownik mitologiczny*.



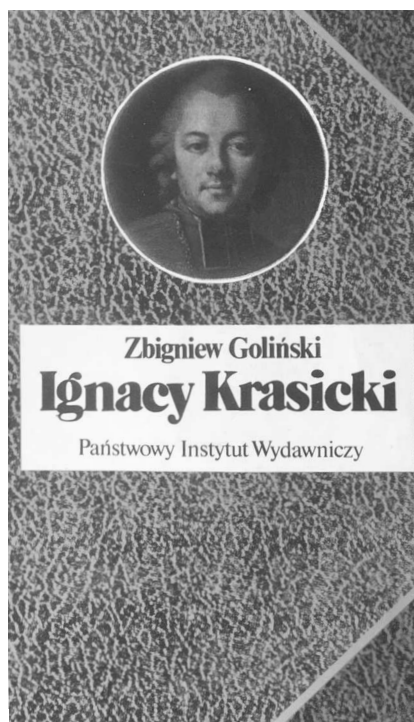
T. I. Warszawa 1806, s. 338). Wszystko jest tu możliwe, gdyż zakonnikowi z miłości do „cnót vicesgerenta” miesza się w głowie i słowie: „Niechaj się Syrty i Charybdy kruszą” (PP, 109; Syrty pojawiają się na miejscu Scylli!). Taka to była uczoność tych świętych, czyli poświęconych modłom i ewangelizacji, mężów!

Zresztą i otoczenie klasztoru nie sprzyja mnichom! Dewotki mają na stoliku obok nabożnych książek w rodzaju tomu reformata Owaniszewskiego *Głos synogarlicy* (1735; pełny tytuł ma aż 48 wyrazów!) czy *Mistycznego miasta boskiego* Marii z Agreda (pełny tytuł zajmuje 15 linijek w wydaniu BN, 42) – romanse francuskie Marie Catherine de Berneville d'Aulnoy (1690) pt. *Historia angielska*

*politico-moralis Hippolita, milorda z Douglas, z Julią* (cały tytuł to ponad 44 wyrazy!). Nic dziwnego, że wolą mocno pić, a jeszcze mocniej się bić, aniżeli pograżać się w lekturze niebezpiecznych – naloty libertynizmu i ateizmu – nowalijek księgarskich. Stąd w poematach heroikomicznych sceny zaciętych bitew, w których rażącym orężem bywają folianty biblioteczne. W *Monachomachii* ojciec Gaudenty „Porwał natychmiast księgę z za firanki: / *Wojsko afektów zarekrutowanych*. / Nią się zakłada, pędzi poza szranki / Rycerzów długą bitwą zmordowanych [...] Widzi to **Rajmund**, ozdoba **Karmelu**, / Widzi w tryumfie syna Dominika, / Wyjeżdża na **harc** i wpada, wśród wielu / Godnego siebie szuka przeciwnika. / **Rafał** z nim obok: '**Ratuj**, przyjacielu!' – / Rzekł. **Seraficzna** w tym punkcie kronika / Padła nań z góry; legł i ręką kiwnął, / Dwa **razy** jęknął, cztery **razy** zięwnął” (PP, 113-114; podkr. J. P.).

Nie muszę dodawać, że pobożna księga karmelity Hilariona Fałęckiego z 1739 roku pt. *Wojsko serdecznych nowo rekrutowanych na większą chwałę boską afektów...* ma 14-wersowy nagłówek (BN, 45-46) a tytułatura *Seraficznej [...] kroniki* ojca Marka z Ulisbony, wydana w Polsce w roku 1610, zajmuje aż 17 linijek w cytowanej edycji (BN, 46-47)! Oktawa z podkreśleniami, sugerującymi brzmienia onomatopeiczne, nie jest typową zwrotką *Wojny mnichów*. Zwykle pojawiają się tu wersy bez przerzutni i regularne składniowo, jak np. w słynnej parodii *Hymnu do miłości ojczyzny*: „Wdzięczna miłości kochanej szklenice! / Czuję cię każdy i słaby, i zdrowy; / Dla ciebie są miłe ciemne piwnice, / Dla ciebie znośna duszność i ból głowy, / Słodzisz frasunki, uśmierzasz tęsknice, / W tobie pociecha, w tobie zysk gotowy. / Byle cię można znaleźć, byle kupić, / Nie żał skosztować, nie żał się i upić.” (PP, 106).

I pomyśleć, iż mamy dowody z epoki Oświecenia mówiące o tym, że pisanie nowych poematów i wierszy przychodziło Krasickiemu bez kłopotu i szukania po obłokach nienadającej za chryżym gęsim piórem weny. Oto list rezydenta Rzeczypospolitej w Gdańsku, Aleksego Husarzewskiego, do pisarza wielkiego koronnego i dworzanina Stanisława Augusta Poniatowskiego, Jacka Ogrodzkiego, z 7. XI 1774 roku: „Znam *Myszeidę* księcia biskupa warmińskiego. Poemat ten jest naprawdę ładny, lecz chciałbym, aby Wasza Ekscelencja zobaczył, jak on ją napisał, tak jak zawsze *currenti calamo* [od ręki], jak wszystkie wiersze, które składa. Jest zdumiewające, jak dorabia on wiersze do danych końcówek rymowych. Jeśli Wasza Ekscelencja chciałby zobaczyć, w jaki sposób to robi, to najlepiej dać mu jeden z bardziej pospolitych rymów, a będzie Pan zdziwiony szybkością, z jaką je dopełni, i to na trzy lub cztery różne sposoby” (ZGIK, 255). Zazdrośnikom zdradźmy tajemnicę warsztatu X.B.W. – poeta przepadał za czekoladą!







## Dwugłos o książce Piotra Roguskiego (Nie) poszła za Niemca



# Rassenschande czy miłość nieznająca granic?

KSIAŻKI

GRZEGORZ SUPADY

**Po**wydanej w roku 2010 antologii *Do przyjaciela wroga. Niemcy w poezji polskiej*, Piotr Roguski stworzył kolejne *opus magnum* z dziedziny dotyczącej powinowactw polsko-niemieckich, tym razem książkę zatytułowaną *(Nie) poszła za Niemca*. Jako wybitny znawca tematu przedstawił w niej historię obu narodów w kontekście związków matrymonialnych, skupiając się w pierwszym rzędzie na odzwierciedleniu tego zjawiska w historii i literaturze na przestrzeni wieków. Jak bowiem skrupulatnie wyliczono, około jednej trzeciej władców polskich pojęło niemieckie księżniczki za żony. Takie mariaże dynastyczne praktykowano już na samym początku tworzenia zrębów państwowości polskiej, kiedy to, jak pisał wrocławski germanista Marek Zybur: „Wchodząc w związki z arystokracją niemiecką i pojmując Niemki za żony, Piastowie również wydawali swoje córki za panów niemieckich”. I, jak się zdaje, sytuację tę w jakiejś mierze akceptowano zazwyczaj bez większych zastrzeżeń. Prawdopodobnie działo się tak już choćby z uwagi na to, że wszystkie owe życiowe partnerki polskich książąt i królów mia-

ły w naszym kraju jak najszybciej się polonizować, a zatem przyjmować tak zwaną „opcję polską” poprzez reprezentowanie polskiej racji stanu etc. Sytuacja odwrotna, a mianowicie łączenie się Polek w związki małżeńskie z Niemcami, od zawsze budziła bardzo nieprzychylną reakcję, gdyż fakt ten pojmowano w kategoriach wyrzeczenia się polskości, co najlepiej oddaje już nawiązanie w samym tytule do mitycznej Wandy. Współcześnie negatywnie nacechowany stosunek do Polek jako rzekomych zdrajczyń narodu najbardziej wyczuwalny jest w walce polskich rodziców z Jugendamtami – niemieckimi urzędami zajmującymi się sprawami młodocianych. Często dochodzi wtedy do ostrych sporów dotyczących głównie tego, kto po orzecznym rozwodzie otrzyma prawo do wychowania potomstwa. Tę konfliktogenną problematykę Roguski określił wręcz jako *Nową wojnę niemiecko-polską (o dzieci)*.

Znacznie rzadziej zdarza się sytuacja, kiedy to polski mężczyzna wybiera za żonę Niemkę. Główne przyczyny takiego stanu rzeczy najprawdopodobniej są dwie. Z jednej strony wynika to często z niespra-

wiedliwego postrzegania Niemek przez Polaków jako kobiet nieatrakcyjnych pod względem wizualnym, co stanowi swego rodzaju pendant do stereotypu „pięknej Polki”. Z drugiej strony, to same Niemki nie widzą zazwyczaj w Polakach mężczyzn na tyle atrakcyjnych, by mogli oni nawet potencjalnie pretendować do ich ręki (odmiennie niż działo się to w średniowieczu, ale wtedy potencjalnymi kandydatami do ożenku nie byli przecież zwykli śmiertelnicy). Tak, czy inaczej, i w tym względzie można przytoczyć przykłady zaprzeczające tej tezie, o czym świadczyć może chociażby stosunkowo udany związek polskiego pisarza Marka Hłaski z niemiecką aktorką Sonią Ziemann.

Z punktu widzenia współczesnego mieszkańca Warmii i Mazur zaskakiwać może brak w jakże rozległym i reprezentatywnym przeglądzie Roguskiego dzieł pisarzy wywodzących się swymi korzeniami z terenów obejmujących północno-wschodnią Polskę. Zdaje się to być rzeczą zrozumiałą, gdyż na przykład urodzony w podkętrzyńskiej wiosce Jäglack (Jegławki) niemiecki pisarz Arno Surminski w swych powieściach niejednokrotnie wykreował wprawdzie liczne wątki miłosne, to jednak nie znalazło się w nich miejsce na jakiegłębšie relacje polsko-niemieckie. W powieści *Polninken* Mazury stanowią jedynie malownicze kulisy, na tle których rozgrywa się akcja dotycząca płomiennej miłości dwojga osób przybyłych tam z różnych części Niemiec. Również sam Siegfried Lenz nie pokusił się nigdy o to, by przedstawić sfabularyzowane połączenie w parę Polki i Niemca, prawdopodobnie zresztą tylko dlatego, że ważniejszy dla niego był plan uniwersalny literatury niż eksploatawanie wzajemnego oddziaływania Polaków na Niemców i *vice versa*. Podobnie uczy-





niła też krewna Marion hr. Dönhoff, Tatjana, gdy przystępowała do pisania scenariusza do filmu *Die Flucht (Ucieczka)*. Stworzony przez nią szeroko dyskutowany także w Polsce obraz dotyczył romanisu niemieckiej (wschodniopruskiej) arystokratki i Francuza, będącego robotnikiem przymusowym w należących do niej włościach.

Wątek związany z Prusami Wschodnimi pojawia się wszakże u Roguskiego w rozdziale poświęconym „postaci bajecznej”, za jaką uchodzi archetypiczna Wanda. Zestawione zostają w nim utwory klasycystycznego pisarza polskiego Franciszka Wężyka, *Duma o Wandzie* (1820) i tragedia *Wanda* (powstanie 1811–1815, druk 1826), z dramatem urodzonego w Królewcu romantycznego dramaturga Zacharia Wenera *Wanda, Königin der Sarmaten (Wanda, królowa Sarmatów)*, prapremiera 1808, druk 1810).

W swoich diagnozach i rozważaniach Roguski skoncentrował się głównie na relacjach małżeńskich obejmujących w pierwszym rzędzie teren Śląska. Uczynił to w rozdziale zatytułowanym *Pękły okowy. Walka o Polski Śląsk*. Sztandarową, wręcz ikonyczną postacią stał się przy tym śląski polityk Wojciech Korfanty. By przedstawić całą złożoność postaw różnych ludzi w tym regionie posłużył się utworami takich pisarzy jak Pola Gojawicyńska (*Górnoślązaczka*), Wilhelm Szewczyk (*Klara Krause*) oraz Albin Siekierski (*Ku górze nad rzeką i Ziemia nie boi się kul*). Ważną rolę we wzajemnym przenikaniu się żywiołu polskiego i niemieckiego odgrywało również Poznzańskie, określane zgodnie z obowiązującym ówczesnie *status quo* jako Ostmark. Tutaj na plan pierwszy wysuwają się twórcy niemieccy, tacy jak Carl Hermann Busse i Traugott Pils. Stąd też rozdział dotyczący tego właśnie regionu nosi nieprzychylny dla odbiorcy polskiego tytuł *Pocziwy Niemiec i podstępna Polka*. Tak radykalne werbalnie postawienie sprawy wynikało z konfrontacyjnych nastrojów, tak typowych dla końca dziewiętnastego i początków następnego stulecia. W swych rozważaniach autor (*Nie poszła za Niemca*) przeniósł się także na Pomorze, czego najlepszą ilustracją stanowi rozbudowane omówienie sfilmowanej książki Grassa *Wróżby kumaka*. Notabene, nieco podobną tematykę podjął też u progu nowego tysiąclecia Piotr Bork w wyreżyserowanym przez siebie filmie będącym koprodukcją polsko-niemiecką, zatytułowanym *Dwie miłości (Brücken der Liebe)*. Być może nieco nowsze światło na omawiane tu sprawy mogłyby też rzucić książki i wypowiedzi niezwykle popularnego pisarza, za jakiego niewątpliwie uchodzi urodzony w Toruniu, a zamieszkały we Frankfurcie nad Menem, Janusz L. Wiśniewski. U tego poczytnego prozaika zwraca uwagę już sam fakt, że zdecydował się on osadzić akcję niektórych historii miłosnych na terenie współczesnych Niemiec. Stąd też na przykład w czelówce filmowej adaptacji powieści *S@motność w sieci* pokazano cen-

trum Berlina Zachodniego nie jako tło do rozważań na temat historycznych jakichś zaszłości polsko-niemieckich, lecz po prostu jako miejsce w stylu paryskich zaułków, gdzie mogą spotkać się nieskrępowani niczym bohaterowie wielu komedii romantycznych.

Z konieczności duża część wywodów Roguskiego, autora, jak głosi podtytuł książki, „opowieści historyczno-literackiej”, poświęcona została najciemniejszym kartom w dziejach Polski i Niemiec, przede wszystkim zaś drugiej wojnie światowej. W niezwykle sugestywny sposób zaprezentowane zostało stygmatyzowanie Polek zadających się z oficerami i żołnierzami niemieckimi, zwłaszcza na terenie okupowanej Warszawy (*Szwabska dziwka*). W tym celu przytoczona została nawet *in extenso* znana pieśń marszową, śpiewaną z upodobaniem przez Wehrmacht, a mianowicie *In einem Polenstädtchen* (W polskim miasteczku). Utwór ten uchodził za swoiste przyzwolenie na to, by wkraczający żołnierze od razu traktowali Polki, mieszkanki podbijanego właśnie kraju, jako obiekty czysto seksualne. W owej słusznie zapominanej pieśni marszowej pojawia się postać polskiej dziewczyny o imieniu... Maruschka. Takie bowiem imię od dość dawna uchodziło za typowe dla polskich kobiet. Już ten drobny szczegół dowodzi trwałości i odporności na wszelkie zmiany określonych (hetero) stereotypów, a ponadto świadczy o zwykłej niewiedzy. Jeszcze bardziej dowodzi on jednak tego, że w świadomości wielu Niemców brak jakichś (pozytywnych) cech dystynktywnych w odniesieniu do Polski, którą niekiedy bez pardonowo identyfikuje się z jakimś amorficznym terytorium leżącym na rubieżach dawnej Rosji. Ale wypada przy okazji zwrócić uwagę na to, że w obiegowej opinii wielu Polaków za najbardziej typowe imiona niemieckie nadal uchodzą Helmut i Kunegunda. Omawiając wspomnianą piosenkę Roguski dokonał jej zręcznego przekładu na język polski. Analogicznie postąpił też, gdy w wersji polskiej przytoczył nieznaną dotychczas czytelnikom polskojęzycznym fragmenty powieści autorów niemieckich, takich jak *Die Heimat ruft* (Ojczyzna wzywa) Magdy Trott, czy sztuk w rodzaju *Der weiße Adler* Franza Kiehla. Skądinąd autor odnotowuje także ogromne znaczenie, jakie utwory zespołów rockowych wywodzących się z dawnej NRD odgrywały w życiorysach niejednego pisarza, jak miało to miejsce choćby w przypadku Helmuta Richtera. Tytuł jego opowiadania z roku 1983 *Über sieben Brücken musst du gehen. Literarische Landschaften* nawiązuje bowiem do słynnego utworu grupy Karat. Pierwsze słowa refrenu tej pieśni w tłumaczeniu Roguskiego na język polski brzmią: „Przez siedem mostów musisz przejść, / Siedem ciemnych lat przetrzymać, / Siedem razy w proch obrócić się, / By raz stać się jasnym promykiem” (s. 363-364). Warto w tym miejscu odwołać się jeszcze do podobnego motywu z powieści *Przebitka*. Tam wywodząca się

ze wschodnich Niemiec żona Edka, Grit, jest miłośniczką zespołu Die Puhdys, zwłaszcza zaś utworu o jakże wymownym tytule *Wenn ein Mensch lebt (Gdy człowiek żyje)*.

Wyczerpująco i ze znanstwem Roguski pisze poza tym o tak poważnym problemie, jakim były związki miłosne pomiędzy polskimi robotnikami przymusowymi a Niemkami (*Kiedy miłość była zbrodnią*). Tematyka ta została swego czasu spopularyzowana przez Rolfa Hochhutha w powieści *Miłość w Niemczech*, sfilmowanej następnie przez Andrzeja Wajdę. Teraz można dowiedzieć się o innych przykładach zakazanych w czasach wojennych związków miłosnych, których finał zazwyczaj był tragiczny z publiczną egzekucją oskarżonego o zbezczeszczenie rasy niemieckiej (*Rassenschande*) Polaka. W uzupełnieniu do tego wątku warto przytoczyć jeszcze jeden przykład tego samego rodzaju, jaki Kazimierz Traciewicz przedstawił w nieznannej szerzej powieści *Do Reichu* (2001). Ten krakowski autor opisał w swym utworze fikcyjną historię młodej dziewczyny o imieniu Zosia, którą wywieziono na roboty przymusowe do zakładu produkcyjnego w pewnym mieście na terenie Rzeszy (najprawdopodobniej chodziło o Wrocław). To tam spotkała ona Niemca o imieniu Paul, z którym wkrótce połączyło ją głębokie uczucie. Niestety, i ta *story* nie miała swego *happy end*, gdyż zmobilizowany Paul wkrótce zginął na froncie. Na szczęście powieściowca Zosia nie podzieliła losu wielu Niemek, które związały się uczuciowo z Polakami.

Szczególny walor poznawczy książki Roguskiego płynie przede wszystkim stąd, że autor w ogóle zdecydował się zmierzyć z ważnym, ale zarazem kontrowersyjnym tematem, nie bacząc przy tym na możliwość ściągnięcia na siebie niezadowolonych pewnych kręgów politycznych i społecznych. Jego monografia jest pracą przełomową, demistyfikującą wiele faktów i uprzedzeń, przez co nie należy do koniunkturalnych opracowań, wzbogacających ponad miarę bogoojczyźnianą, częstokroć niedojrzałą i zgoła tromtadracką narrację o polskiej historii. Przypomina zarazem, że granica polsko-niemiecka, tak w dawnych wiekach, jak i w drugiej połowie dwudziestego wieku, wcale nie była nieustannym „pograniczem w ogniu”, „krwawiącą granicą”, jak by to chcieli widzieć zdeklarowani przeciwnicy pojednania polsko-niemieckiego. Albowiem w realnym dziele zbliżenia między dwiema niegdyś zwaśnionymi nacjami małżeństwa zawierane przez Polki z Niemkami odegrały bez wątpienia znaczącą rolę. I można być pewnym, że wbrew nieprzychylnym opiniom, kierowanym obecnie w mediach publicznych w stronę naszych zachodnich sąsiadów, w najbliższej przyszłości jeszcze niejedna Wanda znów zdecyduje się poślubić teutońskiego „odwiecznego wroga”. I z całą pewnością nie będzie to żaden Helmut, tylko raczej swojski Jan lub Lukas.

# Trudne miłości

KSIAŻKI

RENATA DAMPC-JAROSZ

Esaje Jana Józefa Lipskiego o sąsiedztwie polsko-niemieckim noszą znaczący tytuł *Powiedzieć sobie wszystko*.... Podjęta w nich próba wskazania po roku 1989 na ważne, często drażliwe i przemilczane, problemy wzajemnych relacji pomiędzy Polakami a Niemcami pozwala sądzić, że dokonany przez Lipskiego bilans nie wymaga większych uzupełnień. Wydana właśnie w Wydawnictwie Naukowym Śląsk opowieść historyczno-literacka Piotra Roguskiego (*Nie poszła za Niemca*) pokazuje jednak, że o kontaktach polsko-niemieckich wciąż nie wszystko zostało jeszcze powiedziane. Miłość w kontekście związków binacjonarnych stanowić może bowiem inny, komplementarny aspekt sąsiedzkich relacji Polaków i Niemców. Po historii o miłości, złamanym sercach i małżeńskich tarapatkach czytelnicy sięgają bowiem nader często, o czym autor, historyk literatury, badacz związków polsko-niemieckich, mógł się sam przekonać, prowadząc seminarium w Instytucie Sławiistyki Uniwersytetu Kolońskiego. Uczestnikami zajęć poświęconych małżeństwu mieszanym byli głównie potomkowie ostatniej fali emigracyjnej, która przybyła do RFN w latach osiemdziesiątych, ale także eksternistyczni słuchacze, kierowani chęcią dowiedzenia się czegoś o kraju swoich polskich przyjaciół bądź życiowych partnerów. Materiały zajęciowe, pogłębione i uzupełnione, rozrosły się do piętnasto rozdziałowej opowieści historyczno-literackiej. Sięgnięcie po ten nieczysty gatunek zdaje się w tym przypadku nie tylko uwzględniać specyfikę tematu, jego odbiorców, dla których zamknięcie niezliczonych historii w ramach naukowego dyskursu oznaczałoby pozbawienie ich immanentnego czaru, ale także, podejmować próbę wzniesienia się ponad stereotypowe (także autostereotypowe) wyobrażenia. Pozwolić mówić literaturze, oddać głos świadkom historii, fikcyjnym i autentycznym przeżyciom ludzi pochodzących z dwóch narodów, wpisanych w odwieczny paradygmat antagonizmów – te zadania opowieść historyczno-literacka spełnia z nawiązką.

Mottem, zarówno zajęć akademickich, jak i swojej opowieści, uczynił autor topos Wandy, co nie chciała Niemca, owej „najpiękniejszej spomiędzy Sarmatek” (s. 30), która stała się prototypem Polki odrzucającej ofertę zamążpójścia za niemieckiego rycerza. Utrwalony w powszechnej opinii mit obrończyni polskości ukazany zostaje za sprawą omawianych szczegółowo dzieł polskich poetów, pisarzy i kronikarzy, np. W. Kadłubka, J. Długosza, J. Kochanowskiego, F. Wężyka, Z. Krasńskiego czy C.K. Norwida, czyniących za odważnej „pogańskiej patronki narodowości polskiej” (s. 39) uosobienie obo-

wiązku, oddania ludowi i poświęcenia na ołtarzu ojczyzny, i tym samym skutecznie zacierających dylematy kobiecego serca i cicho pobrzmiewające akordy miłosnych fascynacji słowiańskiej władczyni.

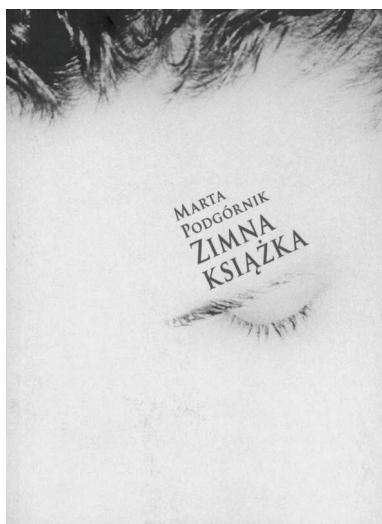
Kolejne przywoływane przez Roguskiego Polki nie pójdą jednakże w ślad mitycznej Wandy: polityczne mariaże uczynią z nich władczynie europejskie, nie zawsze wprowadzając stabilnej pozycji – za najlepszy dowód niech posłużą tu choćby Jadwiga Jagiellonka, córka Kazimierza Jagiellończyka, czy Teresa Kunegunda, jedyna żeńska latorośl Marii Kazimiery i Jana III Sobieskiego – i rozpieszczane przez los, ale za to godnie odnajdujące się w rolach małżonek niemieckich książy. Symetryczność przedstawienia losów Polek i Niemek, budujących polskie dynastie Piastów, jak np. Rychezy Lotaryńskiej czy późniejszej św. Jadwigi Śląskiej, sprawiają, że miłość i małżeństwo pozbawione zostają, choćby częściowo, narodowych obciążeń i oscylują wokół siły wewnętrznej kobiet, ich emancypacyjnego potencjału.

Na próżno szukać jednak podobnych przykładów w dalszej części opowieści. Pieczołowicie badana przez Roguskiego galeria zakochanych obu narodów spowita będzie już od końca XVIII w. zasłoną utkaną z nieszczęść, wyrzeczeń, uprzedzeń, z czasem nienawiści i przemocy. Czy nad budowaniem nowych stereotypów zaważyła stłamszona przez pruskie kunktatorstwo miłość pomiędzy Elizą Radziwiłłówną i późniejszym Wilhelmem I, cesarzem proklamowanej w 1871 Rzeszy Niemieckiej, która jak zły duch zdaje się snuć nad zajętymi przez Prusy ziemiami polskimi i kształtować bohaterów, zarówno niemieckiej, jak i polskiej literatury całego XIX i pierwszych dekad XX w.? Zdecydowana i bezkompromisowa polityka germanizacyjna odbija się w niej szerokim echem. W omawianych przez Roguskiego utworach ponad dwunastu pisarzy polskich i niemieckich (głównie z Prowincji Poznańskiej i Śląska) stereotypowe obrazy „szwabskiej krwi” (s. 110), „Niemczaków” (s. 115), podstępne przejmowanie polskiej ziemi przez Niemców, znajdują swoją nacjonalistyczną przeciwwagę w *polnische Wirtschaft*, wyboistych drogach i „polskich pajęczycach, oplatających czystą i szlachetną duszę [niemiecką – RDJ] siecią kłamstw, intryg, podłości” (s. 194). Obecny w kulturze niemieckiej od 1697 roku mit ‘pięknej Polki’, którego ukoronowaniem stała się Afrodyta znad Wisły Heinego, także ulega stopniowej instrumentalizacji – uroda Polek błędnie bowiem w cieniu przyświecającej im narodowej misji.

Utwory literackie powstałe w okresie Rzeszy Niemieckiej tylko w kilku przypadkach kończą się szczęśliwie. Prawdziwe historie „miłości jako historii męki” (s. 194) przynosi jednak okres międzywojenny i III Rzeszy. „Krwawiąca granica” (s. 225), kość niezgody pomiędzy Niemcami i Polakami, zwłaszcza na Górnym Śląsku, silnie motywuje pisarzy obu narodów do włączenia literatury do walki narodowej, a miłość czyni jej transparentnym orędziem. Lektura kart tego i kolejnego rozdziału napawać będzie czytelnika pogłębiającym się smutkiem, pękające okowy niewoli sprawiają, że uczucia ustępują rozgrywkom politycznym, a kochankowie pozbawiani zostają życia, które ochotnie składają zresztą w ofierze nowej/starej ojczyźnie. Z pożogi wojennej udaje się autorowi uratować wszak kilka par, których dzieci bez mała po pół wieku od zakończenia wojny często bezskutecznie poszukiwać będą swoich polskich/niemieckich korzeni (*Dwa święty Zofii, Kontrakt panny Brandt, Pokochałam wroga*), ale giną one w morzu łez tych, którym się nie udało. Czary goryczy dopełnia literatura powojenna – Roguski konsekwentnie i z akrybią zestawia w kolejnych rozdziałach liczne przykłady literackie z obu krajów niemieckich czy świadectwa Polek, które wyszły za Niemców, w poszukiwaniu „niemieckiego eldorado” (J. Poremba-Patze *Niemieckie eldorado*). Wyhuskując szczęśliwców, którym udało się przebić przez wielowiekowy pancerz uprzedzeń wobec niemieckich/polskich współmałżonków, autor kwituje z rezygnacją powodzenie takiego przedsięwzięcia: „Wszystko jedno, czy zerkniemy do niemieckich powieści z 2 połowy XIX wieku rozgrywających się na terenie Prowincji Poznańskiej, czy z lat dwudziestych XX wieku dziejących się na Górnym Śląsku – stwierdzimy, że wszystkie wyrażają głębokie niezadowolone, a nawet zdecydowane sprzeciw wobec małżeństw polsko-niemieckich. Ich autorzy widzą i wieszczą najgorsze: zdradę uczuć i interesów narodowych, utratę dzieci na korzyść drugiej strony, aż po zbrodnię ‘pohańbienia rasy’ (s. 16). Symbolicznym przerwaniem owego diabelskiego koła, pewną ucieczką przed skazonym pochodzeniem małżonków Aleksandry i Aleksandra z powieści G. Grassa *Wróżby kumaka*, okazuje się śmierć w włoskiej ziemi i bezimienny grób, gdzie „dobrze im się leży. Pozwólcie im tak leżeć” (s. 373). Wolna od stereotypów przestrzeń daje bowiem poczucie spokoju i otwartości. I mimo iż historyczno-literacka opowieść Roguskiego kończy się kolejnymi, tym razem współczesnymi, przerysowanymi wyobrażeniami o związkach polskich i niemieckich par, to zamykającego lekturę czytelnika nie opuszcza, mimo wszystko, przekonanie, że życie napisze w końcu nowe, szczęśliwsze historie.

**Piotr Roguski: (*Nie poszła za Niemca. Opowieść historyczno-literacka. Wydawnictwo Naukowe Śląsk, Katowice 2018, s. 491.*)**





# Miłość w stanie rozkładu

KSIĄŻKI

KATARZYNA FRĄCKOWIAK

Chuck Palahniuk pisał: „Jest nieskończona liczba sposobów na popełnienie samobójstwa bez umierania śmiercią”. W najnowszym tomie Marty Podgórnik wiele wierszy podejmuje temat umierania, a ściślej zajmuje się jego szczególną odmianą, jaką jest śmierć za życia: „Nie ma miłości i nie ma dziewczyny. Umarła nagle, tak jak umrą wszyscy. Nie ma powodu żeby się użalać, bardziej dotkliwa bywa śmierć za życia. Lubisz zadawać mi tę śmierć, nieprawdaż?”.

Choć „małe śmierci” są epizodami w życiu człowieka obecnymi od zawsze, to obradowana przez Podgórnik struktura nowej rzeczywistości zdaje się je ignorować, wypierać. Wytwarza ona mechanizmy społeczne działające w ten sposób, by przechodzić obok codziennego umierania obojętnie. Podejście to sprawia, że ludzie stają się martwi za życia. Nowy układ pielęgnuje wpływy zmarłych, którzy w schematach myślowych zajmują miejsce żywych (*Czule przekleństwo*, *Umowa niewiązana*, *Seks z eks*). Nowy *wspaniały świat* jest grą o ściśle określonych regułach, gdzie jak w układaniu puzzli, „ważne, by znaleźć rogi i wytoczyć ramy”, a wiele kluczowych spraw, wymagających wcześniej zaangażowania, po prostu się wydarza, bez naszego udziału i pełnej świadomości: „A dzieci, swoją drogą mogą przyjść na świat // Bez naszej pomocy. Bzdurnej interwencji. Bez śliny, bez nasienia”. W nowym świecie wszystko ma swój określony czas, nie wyłączając wiersza, miłości, śpiączki czy hamowania pojazdu.

Bohaterka liryczna wierszy Podgórnik źle funkcjonuje w nowym porządku, ale mimo wszystko jest aktywną częścią maszyny współczesności. Godzi się uczestniczyć w tej maskaradzie dlatego, że dramatycznie próbuje kochać i być kochaną. Żąda sobie śmierć za życia w sposób najprostszy, w jaki według *Zimnej książki* można to zrobić, czyli wchodząc w relację miłosną, która – jak się okaże – nigdy nie

może być udana. To, co uderza w wierszach Podgórnik najbardziej, to obecność maniakalnej wręcz tendencji do definiowania miłości, nazwania jej konkretnymi słowami. Zabiegi te przypominają poszukiwania wzoru chemicznego związku, wiele miejsc zajmują też próby odróżnienia miłości od nie-miłości. Obsesja określania wtórnego założeniom współczesnego świata. Podmiot demitologizuje obrazy miłości, skazane popkulturą wyobraźnią, będące fałszywym wspomnieniem, które nie jest „nasze”. Bohaterka wierszy niczym stara panna deklaruje, że w miłość nie wierzy, bo dzisiejsza miłość to przede wszystkim stosunki ekonomiczne i prokreacyjne: „Kredyty we frankach, stopy / procentowe, i całą tę drakę z ciężą zagrożoną // I oddziały patologii ciąży”. W poetyckiej przestrzeni tomu wszystko związane z miłością jest z góry określone, nie ma miejsca na działania gwałtowne i spontaniczne. Nowa miłość nie posiada też mocy ocalenia przed samotnością: „Żadnej nocy nie przysunę Ci do szyi noża, bo żadnej nocy nie spędzamy / razem. Jedno, co z tego będzie: całkiem zimna książka, plód a priori / skazany na lodówkę wspomnień”. Persona w wierszach Podgórnik nie tyle nie wierzy w uczucie, nazwane miłością, ile nie godzi się, aby jego przetransformowaną przez współczesną kulturę wersję tak nazywać. W każdym wierszu wskazuje na liczne dysonanse występujące między miłością z krainy wczoraj i dziś. Z toku poetyckiego rozumowania wywnioskować można, że miłości obecnie nie ma, ale kiedyś istniała. Niestety, płaszczysta przeszłości również nie jest dla uczuć bezpiecznym azylem, autorka *Rezydencji surykatek* dekonstruuje również obraz miłości z przeszłości, przedstawia go jako nieprawdziwy. Podgórnik, poprzez próby zdefiniowania miłości, zdaje się opisywać konflikt znacznie szerszy, który występuje między słowem a światem. Wynikać to może ze światopoglądu postulowanego w całym to-

mie, zwieńczonego wymownym wersem: „Jeśli życie jest książką, jak sobie roilam, miłość trzeba nazywać / I wyznawać szybko, nim się utleni niczym nalewka w kafełkach”. Podmiot liryczny chce, aby uczucie było słowem, literaturą, nie przyjmuje do wiadomości niewyraźnego charakteru tego zjawiska, co skutkuje niemożliwością jego dostrzeżenia i zrozumienia w pełnym wymiarze.

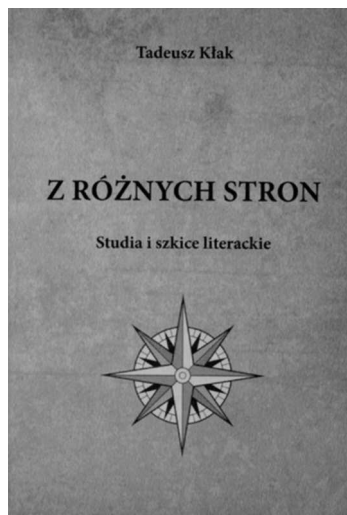
Wiersze *Zimnej książki* ponadto cechuje ambiwalentne przedstawienie kobiecości, posiadające czasem kilka całkowicie odmiennych twarzy utrwalonych w jednym utworze. Kobieta Podgórnik często przybiera maskę niczym Królowa Mrozu z wiersza Marii Pawlikowskiej-Jasnorzewskiej, twierdzi, że wraz z sercem zamrożeniu ulega jej emocjonalne zaangażowanie i jest odporna na miłość. Kreuje się na zimną i niedostępną *femme fatale*, pozbawioną serca, może ona zatem obdarzyć uczuciem, ale takim, które będzie przyczyną bólu i cierpienia, a nawet przekleństwem mężczyzny, co symbolicznie odwraca patriarchalny porządek: „A jeśli Cię pokocham, to nie będzie dobre, / będzie zimne, jak wszystko, czegokolwiek dotknę. / Wtedy nasz pocałunek naznaczy przekleństwo. / A jeśli Cię pokocham, będzie bardzo boleć. // Nie mnie, ja z bólem serca radzę sobie świetnie”.

Niedostępność i wyrachowanie kobiety w całym tomie podkreśla metaforyka zimna i chłodu. Na przeciwnym biegunie zaś znajduje się ciepło i zupełnie inne oblicze kobiety, która po prostu chce być kochana: „Jeżeli zechcesz wziąć mnie, tak jak stoję, / w szlafroku i w filcowych pantoflach z przeceny, / przypomnij swemu sercu / nasz spacer sprzed roku”.

Nie brak też opisu kobiety jako produktu, towaru stworzonego z myślą o mężczyźnie, jak w utworze *Seks z eks*. Kobiecość wyeksploatowana jest nie tylko w męsko-damskich wierszach poetki. W wierszu *Ty mnie* ukazany jest problem samoidentyfikacji kobiety. Bohaterka wiersza *Ty mnie* pierwotnie fantazjuje o sobie jako o kokieteryjnej damie rodem z epoki oświecenia: „Pudrowe sukienki, filcowe torebki. Maria Antonina idzie dziś na / bankiet. Ma wypełniony blankiet, karnet z życzeniami, wszystko bierze / na kartę, bawi się taliami”. Sentymentalna tożsamość szybko zostaje jednak porzucona na rzecz bardziej praktycznego i przede wszystkim rzeczywistego obrazu kobiety, a poprzednie wyobrażenie porównane z marzeniem sennym: „Wróć. Sen się skończył, Marta Anna wkłada stopy w pantofle na / płaskim obcasie”.

Choć nie jest to tom na miarę *Rezydencji surykatek*, to jednak nowa propozycja Podgórnik przekonuje. Próbuje zburzyć wytworzoną sztucznie ścianę między jednym i drugim człowiekiem, przebić się przez stopy konwenansów, frazesów i fałszywych wspomnień. „Ta poezja faktycznie coś ocala. Zatrzymuje w kadrach”.





## Z różnych stron literatury

KSIAŻKI

STEFAN ZABIEROWSKI

**B**ogaty, bo liczący ponad 500 pozycji bibliograficznych, dorobek profesora Tadeusza Kłaka wzbogacony został ostatnio o nową książkę. Jest nią zbiór 11 rozpraw i szkiców historycznoliterackich, powstałych w latach 1976–2012, których tematem jest interpretacja różnych utworów literatury współczesnej, zarówno prozy, jak i poezji.

Całość otwiera rozprawa o zacięciu teoretycznym *Pisarze a grupy literackie*. Listy Józefa Wittlina i Janiny Brzostowskiej do autora *Obrazu współczesnej literatury polskiej 1884–1934.*, znanego krytyka, Kazimierza Czachowskiego, stają się dla badacza pretekstem do rozważań na temat sposobów zaliczania twórców do różnego rodzaju grup literackich. Kłak wskazuje jak niekiedy badacze literatury, wbrew woli pisarzy i konkretnym faktom literackim, klasyfikują ich przynależność do różnych grup literackich.

Inna ważna pozycja tego zbioru poświęcona jest *Legendzie Kazimierza w twórczości Marii Kuncewiczowej*. Autor zwraca uwagę, że od lat znana miejscowość wypoczynkowa, o pięknej tradycji, stała się przedmiotem legend utrwalaonych w różnych rodzajach sztuki. Marii Kuncewiczowej w tym kontekście przypada rola kreatorki literackiej legendy Kazimierza.

Rzecz osobliwa w większości utworów tej pisarki nadwiślańskie miasteczko nie występuje pod swoją właściwą nazwą, ale nie stanowi to większej przeszkody dla prób jej identyfikacji z realnym odpowiednikiem. Pierwszym ogniwem legendy Kazimierza nad Wisłą w twórczości Kuncewiczowej jest

zbiór opowiadań *Dwa księżyce* (1933). Interpretator zwraca uwagę, że świat przedstawiony ukazany jest z dwóch odmiennych punktów widzenia – miejscowej ludności i egzotycznych, reprezentujących świat artystyczny, przybyszów. Zdaniem badacza: „*Dwa księżyce* ukazywały więc miasto nadwiślańskie z dwojakiej perspektywy: jako godne ironicznego ujęcia spotkanie wielkiej historii, pięknej architektury i wspaniałego pejzażu z nędzą teraźniejszości oraz – jako sezonowe środowisko artystyczne, którego przedstawiciele wszystkie wspomniane elementy przetwarzają w sztukę”.

Problematyka Kazimierza występuje też w radiowej powieści Kuncewiczowej pt. *Dni powszednie państwa Kowalskich* (1938). Wyrażać się ona będzie w konfrontacji dwóch odmiennych światów – wielkomiejskiego i zaściankowego. Szczególne miejsce w kazimierskiej twórczości autorki *Odkrycia Patusanu* przynależy motywowi domu. Motywy Kazimierza (ukrytego tym razem pod nazwą Rudzińca) pojawiają się też w powieści *Zmowa nieobecnych* (1946), która jest próbą ukazania Kazimierza lat II wojny światowej, z Holocaustem w tle. Zawarty w powieści, a kreowany z oddali, obraz Kazimierza lat wojny jest w znacznym stopniu kreacją literacką, a nie rekonstrukcją realnego świata. Temat Kazimierza powrócił w twórczości pisarki po dwudziestu latach przerwy, kiedy Kuncewiczowa, po raz pierwszy w roku 1958, pojawiła się w Polsce. W późniejszej twórczości na plan pierwszy zaczyna się wysuwać obraz domu pisarki w Kazimierzu, któ-

ry, mimo zawieruchy wojennej, szczęśliwie ocalał. Wizerunkowi odzyskanego domu sprzyjał częsty pobyt w Kazimierzu. Ale w sposobie prezentacji Kazimierza nastąpiła, zdaniem Kłaka, w pisarstwie Kuncewiczowej znamieną modyfikacja. Badacz dowodził: „»Odzyskanie« domu owocowało jednak w pisarstwie Kuncewiczowej, chociaż odmiennie, niż działo się to dotychczas. Odrzuciła ona stosowane dotąd na ogół zasłony fikcji i zaczęła pisać utwory określone przez nią jako »zwierzenia i fakty«. Utwory te – zwłaszcza *Fantomy* i *Natura* należą do najciekawszych i najlepszych książek Kuncewiczowej”.

Dom stał się dla pisarki symbolem jej tożsamości jako człowieka i jako pisarza. Tak o roli domu w twórczości Marii Kuncewiczowej pisał Autor omawianej książki: „W swojej twórczości, w wielu książkach i szkicach przedstawiała wznoszenie i powstawanie domu, następnie jego dramatyczną utratę i wreszcie szczęśliwe odzyskanie. Ten dom oprócz swojego istnienia rzeczywistego otrzymał także wymiar metaforyczny i symboliczny, stawał się jednym z najistotniejszych składników prywatnej mitologii Kuncewiczowej, a także ważnym elementem mitologii i legendy literackiej Kazimierza”.

Innym autorem, któremu wybitny znawca Awangardy – Tadeusz Kłak, poświęca wiele miejsca jest Julian Przyboś. O biografii i twórczości autora *Śrób* traktują – zawarte w niniejszym tomie – dwa teksty: „*Śląsk widzę i słyszę zarazem*” oraz *Hiszpański wiersz Juliana Przybosia*. Celem pierwszego tekstu jest próba odpowiedzi na pytanie: jak dwunastoletni pobyt na Śląsku wpłynął na przemianę poetyki nauczyciela języka polskiego w gimnazjum cieszyńskim – Juliana Przybosia. Punktem wyjścia tych rozważań jest stwierdzenie, że industrialny i nowoczesny Śląsk stanowił wymarzony obszar dla twórców awangardowych, przede wszystkim Tadeusza Peipera. Ku takiemu podejściu skłaniał się początkowo Przyboś, dowodem tomiki *Śruby* i *Oburącz*, oraz jego szkic *Koniunktura literacka na Śląsku*. W opinii Kłaka: „Wizja świata, która w pierwszym okresie zmierzała ku utopii cywilizacyjno-technicznej, ustępuje teraz odmiennym ujęciom rzeczywistości. [...] pojawiają się poetyckie reportaże, czy rozmaite „donosy z rzeczywistości”, dotyczące przede wszystkim bohatera lirycznego”.

Poetę tego przestaje interesować, jak w początkach twórczości, centrum świata. W wierszach cieszyńskich poeta koncentruje się na jego obrzeżach. Nie bez znaczenia była też przyjęta przez Przybosia rola nauczyciela, którą sytuował na marginesach podejmowanej w poezji problematyki. Natomiast nieustanny zachwyt budził u poety sam Cieszyn i otaczająca go przyroda. Zdaniem Kłaka: „Można powiedzieć, że w tych latach, ale już w okresie cieszyńskim, dokonana się ważna ewolucja

w postawie Przybosa. »Marzyciel kamienic« i »wizjoner świecącego miastak powraca do ziemi, do swoich źródeł».

Dowodem owej przemiany są tomiKI *W głębi las i Równanie serca*. Pojawia się też w pisarstwie Przybosa w tym okresie problematyka społeczna, ale ujmowana raczej z perspektywy obserwatora, a nie uczestnika. Lata cieszyńskie to zerwanie z fascynacją nowoczesnością, a pojawia się w twórczości Przybosa pesymistyczna wizja świata, która, wedle Kłaka, stanowi poetycką reakcję na światowy kryzys lat trzydziestych, jaki także boleśnie dotknął Polskę. Spraw społecznych, a także politycznych, w twórczości Przybosa dotyczy interpretacja „hiszpańskiego wiersza” tego poety, pod tytułem *Na granicy*, który był swego rodzaju deklaracją ideową, a miał pierwotnie być drukowany na łamach lewicowych „Sygnałów”. Badacz w sposób niezwykle subtelny analizuje obrazowanie Przybosa wskazując na jego cechy indywidualne: stosowanie metaforyki militarnej dla opisu krajobrazu, a także odbieranie audycji radiowej traktującej o walce na Półwyspie Iberyjskim jako formy uczestnictwa w toczącym się starciu ideowym. Szczególną uwagę zwraca interpretator na technikę poetyckiej kondensacji obrazów.

Kolejna pozycja w tym zbiorze *Smuga światła* traktuje o związkach Mieczysława Jastruna z Tarnowem. Zarówno o związkach biograficznych – Jastrun uczył się w gimnazjum im. Kazimierza Brodzińskiego i tu zdał maturę – jak też o tematach tarnowskich w dorobku tego pisarza. Bowiem w twórczości Jastruna Tarnów (na ogół nie wymieniany z nazwy) ukazany jest w podwójnej optyce: raz z punktu widzenia młodego ucznia, zaś drugim razem z punktu widzenia twórcy dojrzałego. Ważny składnik autobiograficznych pism Jastruna stanowią opisy pięknej przyrody otaczających Tarnów okolic. Najpełniejszy obraz związków Jastruna z Tarnowem zawarty jest w – wydanym pośmiertnie – tomie *Smuga światła*.

Bardzo charakterystyczny dla metody badawczej Kłaka jest tekst „*Zarobić na szacunek ludzi*”. O listach Zbigniewa Uniłowskiego do Wandy Markiewiczówny. Jest on próbą rekonstrukcji relacji między głośnym pisarzem Uniłowskim a Markiewiczówną zdolną malarką. Podstawę do rozważań stanowi tekst dwóch kartek i dwóch listów skierowanych przez pisarza do budzącej jego sympatię malarki. Jak to u Kłaka bywa, rozważania te są wsparte informacjami zaczerpniętymi z innych źródeł, przede wszystkim pamiętnikarskich. Sprawy zakończyły się tragicznie: Uniłowski zmarł na zapalenie opon mózgowych, mąż malarki Lech Piwowar został jako polski oficer zamordowany w Starobielsku, zaś Markiewiczówna (a raczej już Piwowarowa) zmarła w czasie wojny na gruźlicę w Krakowie. Losy ich sta-

nowią przyczynek do tragicznych dzieł polskiej inteligencji.

Inny tekst nosi tytuł *Józefa Łobodowskiego technika poetyckiego portretu*. Autor książki zapewnia, że Łobodowski: „nie chciał przedstawiać tego czy innego człowieka obiektywnie w jego biograficznej pełni, lecz ukazywał go z własnego punktu widzenia, a więc najważniejszego dla twórcy. Wybierał postacie ważne dla niego osobiście ze względów literackich, historycznych czy uczuciowych”. W szkicu tym badacz prezentuje skreślone przez Łobodowskiego literackie wizerunki poetów Józefa Czechowicza, Władysława Broniewskiego, Konstantego Ildefonsa Gałczyńskiego oraz poetek Zuzanny Ginczanki, Marii Pawlikowskiej-Jasnorzewskiej, a także recytatora Henryka Ładosza.

Kolejny tekst poświęcony jest opowiadaniu Stanisława Czyzcha *And*. Pisząc o tym opowiadaniu, Kłak nawiązuje do dotychczasowych interpretacji, dowodząc: „*Anda* wszakże czytano i można czytać na różne sposoby – jako spowiedź dziecięcia wieku, jako fragment biografii zbiorowej pokolenia, traktat o pokoleniu wstępującym na obszar życia literackiego, czy utwór z kluczem, bądź opowieść o artystach”. Zaś badacz ten proponuje inną jeszcze ścieżkę interpretacyjną. Chce lokować owo prowokacyjne opowiadanie Czyzcha na tle tradycji literackiej, a także rozszyfrować realia utworu, które autor zamaskował. Wskazuje na związki z Witoldem Gombrowiczem, Bolesławem Leśmianem, a także z Anną Świrszczyńską. Opisuje, jak bohaterowie opowiadania, operując śmiechem, w istocie rzeczy prowadzą grę ze śmiercią.

Inny tekst, określony skromnie jako: „gawęda”, dotyczy powieści Wiesława Myślińskiego *Palac*. Pisząc o tej słynnej powieści, krytyk proponuje nową interpretację tego utworu. Dowodzi, że wbrew niektórym opiniom: „Znajdujemy się tu więc nie w czasie realnym, lecz w historycznym becz czasie i w takiej nieokreślonej geograficznie przestrzeni”.

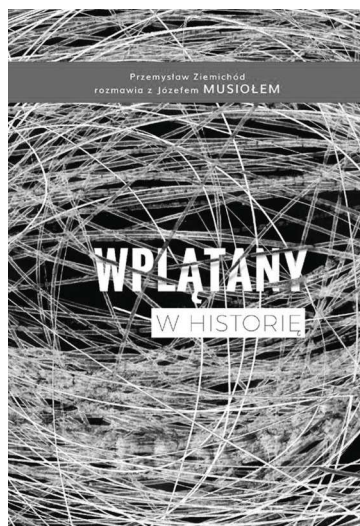
Wiele miejsca poświęca Kłak charakterystyce głównego bohatera, a zarazem narratora powieści, Jakuba. Postać ta ma nader złożony status bytowy, jest zarazem sługą, owczarzem, a także – po wkroczeniu do pałacu – nabiera cech księcia, nie zapominając o swojej poprzedniej pozycji społecznej. Zdaniem Kłaka, *Palac* można traktować jako obraz życia znamienny dla klasy ziemiańskiej. Aby scharakteryzować obecny na kartach powieści wizerunek życia ziemiańskiego i chłopskiego, badacz konfrontuje świat przedstawiony powieści z opracowaniami historycznymi i pamiętnikarskimi. Na uwagę zasługują uwagi na temat kształtu literackiego tej powieści. Zdaniem Kłaka, utwór ten można scharakteryzować jako monodram, a zarazem jako monolog wypowiedziany.

W zbiorze tym napotykaemy tekst, który nie dotyczy interpretacji określonych dzieł literackich lecz jest próbą charakterystyki działalności krytyka pokolenia „Współczesności” – Jacka Łukasiewicza. Tekst ten nosi tytuł – *Radość czytania*. Celem tego artykułu jest omówienie całokształtu działalności krytycznej i historycznoliterackiej autora *Szmaciarzy i bohaterów*. Kłak uznaje Łukasiewicza za jednego z najwybitniejszych współczesnych krytyków literackich. Badacz poświęca wiele miejsca prezentacji poszczególnych książek tego krytyka, między innymi: takich jak: *Zagłoba w piekle*, *Republika mieszkańców*, *Mieczysława Jastruna spotkania w czasie*, czy *Wiersze w gazetach 1945–1949* i *Oko poematu*. Szczególnie wiele miejsca poświęca Łukasiewicz sytuacji w literaturze polskiej po transformacji ustrojowej. Problematykę podejmuje w takich książkach, jak *Rytm, czyli powinność*, czy *Ruchome cele*. Kłak trafnie zwraca uwagę, że wypowiedź krytyczna Łukasiewicza w ostatniej omawianej książce ma charakter sylwiczny. Podkreśla też obecne w tych tekstach elementy biograficzne i autobiograficzne.

Ostatnia pozycja w tym zbiorze *Świat w stanie podejrzenia* poświęcony jest przemianom poezji – niedawno zmarłego – Feliksa Netza. Koncentrując się na trzech wybranych tomach katowickiego poety *Związku zgody* (1968), *Z wilczych dolów* (1973) i *Wiru* (1985) Kłak stara się odtworzyć kierunki ewolucji poezji Netza. W tomie pierwszym, idąc za sugestiami innych krytyków, wskazuje na obecność poetyki klasycyzującej, przy pomocy której poeta przywołuje utracony świat dzieciństwa. Nieco słabszy artystycznie tom *Z wilczych dolów*, pozostaje pod wpływem poetyki Orientacji i Nowej Fali. Ostatni analizowany tom Netza to *Wir*. Na marginesie tego tomu Kłak pisze: „Takie widzenie świata sprawia, iż bohater ten czuje się nieustannie zagrożony i podejrzan, dlatego też towarzyszą mu motywy odjazdu, ucieczki i lęku”.

Omawiany tom, mimo szerokiego rozrzutu tematycznego, prezentuje znamienne rysy warsztatu Kłaka. Będą nimi rzetelna znajomość literatury przedmiotu, subtelna lektura tekstu, i zawartych w nim motywów, rozpatrywanych w kontekście tradycji literackiej, eksponowanie elementów biograficznych i autobiograficznych, a także korzystanie w szerokim zakresie z dokumentów życia osobistego – listów, pamiętników, wspomnień, czy osobistej znajomości przez tego krytyka.





# Człowiek instytucja

KSIĄŻKI

JAN MIODEK

**N**a obwołanie znany aktor Olgierd Łukaszewicz napisał: „Ta książka zrobiła na mnie wielkie wrażenie. Warto ją przeczytać. Oto jeden z ciekawych ludzi naszych czasów. Józef Musioł podsumowuje swoje życie”.

Swoje 85. urodziny świętował w Koszęcinie, w siedzibie Zespołu Pieśni i Tańca „Śląsk” im. Stanisława Hadyny, bo od lat przewodniczy jego Radzie Programowej, a także walczył, między innymi, o powrót legendarnego twórcy „Śląska” na stanowisko dyrektora. Urodzony w roku 1933 w Połomi (gmina Mszana), niedaleko Jastrzębia-Zdroju, honorowy Ślązak z roku 2012, mieszkający od lat w Warszawie, powołał tam w roku 1989 Towarzystwo Przyjaciół Śląska, któremu do dziś prezesuje i zapałem godnym podziwu promuje kulturę śląską oraz zabiera głos we wszystkich istotnych dla naszego regionu sprawach. To jego dokonania z ostatniego okresu. A jakie były pierwsze lata życia wplątanego w historię – że posłużyć się tytułowym określeniem – Józefa Musioła?

Było wzrastanie w bardzo licznej – z jedenaściorciem dzieci, kochającej się powstańczej rodzinie śląskiej, były straszne lata wojny ze śmiercią rozstrzelanych najstarszego brata i kuzyna, aresztowaniem przez gestapo siostry i kuzynki, członkostwem w AK i oglądaniem marszu śmierci z obozu zagłady w Auschwitz – przez tereny dzisiejszego Jastrzębia-Zdroju – aż do Wodzisławia Śląskiego. Po wojnie przyszedł czas na edukację w szkole podstawowej w Moszczenicy i w I Liceum Ogólnokształcącym w Wodzisławiu, kurs pedagogiczny

i pracę nauczyciela w szkołach w Koszęcinie i w Belszynie.

W roku 1953 Józef Musioł dostał się na prawo na Uniwersytecie Jagiellońskim, a po jego skończeniu – na aplikację sędziowską w okręgu Sądu Wojewódzkiego w Katowicach. Po jej ukończeniu rozpoczął pracę w rybnickim Sądzie Powiatowym – najpierw jako asesor, później – sędzia. W Rybniku poznał przyszłą żonę Ewę Podlodowską, którą poślubił w roku 1963. Z tego związku narodziły się dzieci Marek i Hanna.

W tym czasie związał się ze Stronnictwem Demokratycznym, w którym pozostał do lat dziewięćdziesiątych. Z ramienia jego struktur został wiceprzewodniczącym Prezydium Miejskiej Rady Narodowej. Zaangażował się także w kończenie budowy Teatru Ziemi Rybnickiej, a w latach 1963–1965 przewodniczył Komitetowi Organizacyjnemu słynnych Rybnickich Dni Literatury. Mało tego – stworzył przy teatrze i prowadził przez dziesięć lat przedstawienia Sądu Młodych – swoisty teatr faktu, bo scenariusze jego autorstwa były oparte głównie na sprawach sądowych.

W roku 1966 został sędzią Sądu Wojewódzkiego w Katowicach, gdzie orzekał dziesięć lat. Przesłuchiwał wtedy ofiary eksperymentów medycznych Trzeciej Rzeszy, przeprowadzanych w hitlerowskich obozach koncentracyjnych. Z ich relacji powstała jedna z kilkudziesięciu jego książek – *Przesłuchanie* (1977), która doczekała się trzech wydań i tłumaczeń na wiele języków.

W latach 1976–1977 był Józef Musioł zastępcą redaktora naczelnego tygo-

dnika „Prawo i życie”. W roku 1977 obronił pracę doktorską pt. *Sądy polowe w III powstaniu śląskim*, która została wydana dwukrotnie – w roku 1978, a po poprawkach – jako *Temida w III powstaniu śląskim* – w roku 2001. Otrzymał także wtedy nominację na sędziego Sądu Najwyższego.

W czasie pełnienia tej funkcji został delegowany do Ministerstwa Sprawiedliwości na stanowisko zastępcy dyrektora Głównej Komisji Badania Zbrodni Hitlerowskich. W Stronnictwie Demokratycznym pełnił społecznie funkcję wiceprzewodniczącego. Postulował wtedy z grupą działaczy głębokie zmiany ustrojowe – przywrócenie Senatu, urzędu Prezydenta i Trybunału Stanu oraz powołanie Rzecznika Praw Obywatelskich i Trybunału Konstytucyjnego.

W roku 1983 – z ramienia SD – został wiceministrem sprawiedliwości, a w drugiej połowie lat 80. włączono go do społecznego Komitetu Budowy Pomnika Powstania Warszawskiego. W latach 1988–1990 pełnił też funkcję członka Rady Ochrony Pamięci Walk i Męczeństwa. W rządzie Tadeusza Mazowieckiego był wiceministrem, któremu dodatkowo powierzono funkcję dyrektora Głównej Komisji Badania Zbrodni Hitlerowskich w Polsce. Od roku 1991 kilkakrotnie będzie wyjeżdżał do RPA, by opisać losy mieszkających tam Polaków – między innymi zaprzyjaźnionych z nim braci Ranoszków.

W latach 1993–1997 pracował jako adwokat, a w sierpniu roku 1997 otrzymał ponowną nominację na sędziego Sądu Najwyższego. W stan spoczynku przeszedł w roku 2003, ale aktywnością społeczną, działalnością pisarską i publicystyczną mógłby obdzielić wielu.

Takie są – w maksymalnym stężeniu wypunktowane – koleje życia Józefa Musioła. Jego duchowe oblicze i prawdziwe wplątanie w historię – że raz jeszcze użyję tej zbitki wyrazowej – odsłaniają dopiero zawarte w książce rozmowy z Przemysławem Ziemichódem. Ujawniają się w nich pasja poznawcza, która nie opuszcza Józefa Musioła do dziś, żyłka społecznikowska, talenty retoryczne i pisarskie, temperament polemiczny i polityczny, uczuciowość, gorąca miłość do ukochanego Śląska i do ludzi – z ukochaną Matką na czele. To z pewnością te rozmowy urzekły przywołanego na początku Olgierda Łukaszewicza, to one – jestem o tym przekonany – są gwarancją czytelniczego sukcesu omawianej pozycji wydawniczej.

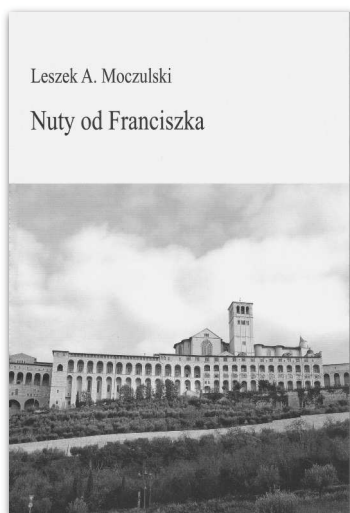
**Wplątany w historię. Przemysław Ziemichód rozmawia z Józefem Musiołem. Wydawnictwo Antykwa, Kraków 2018, s. 290.**



# KSIĄŻKI NADESŁANE

**Leszek A. Moczulski** *Nuty od Franciszka*,  
Biblioteka „Toposu”, T. 152 Sopot 2017.

Leszek Aleksander Moczulski, ur. 18 lutego 1938 roku w Suwałkach, zmarł 17 grudnia 2017 roku w Krakowie. Poeta, autor książek dla dzieci i tekstów piosenek. Po zakończeniu studiów polonistycznych na Uniwersytecie Jagiellońskim z Krakowem związał się na stałe. Był współzałożycielem Teatryku Piosenki UJ i Teatryku Sowizdrzał. Zadebiutował wierszem *Jesień* w 1960 roku w „Dzienniku Polskim”. W 1962 roku zamieścił 15 wierszy w tomiku *Próba porównania* (wspólnie z M. Czumą, W. Faberem i B. Szymańską). Oprócz twórczości poetyckiej zajmował się pisaniem tekstów piosenek, głównie dla zespołu Skaldowie, którego był przez pewien czas kierownikiem artystycznym. Współpracował z grupami muzycznymi Anawa oraz Dzamble. Za piosenki otrzymał wiele nagród w konkursach i na festiwalach ogólnopolskich. Współtworzył ogólnopolskie czasopismo młodej inteligencji „Student”. W roku 1971 wydał tomik *Nawracanie stracha na wróble*, za który otrzymał nagrody „Peleryny” i im. Andrzeja Bursy. W latach 1969–1975 pracował w Ośrodku Krakowskim Telewizji Polskiej. W latach 1973–1975 związany był także ze studenckim Teatrem STU (m.in. spektakl *Exodus* w reż. K. Jasińskiego). Od 1983 roku współpracował z przygotowywanym poza cenzurą czasopismem mówionym „NaGłos”. Od 1989 roku ogłaszał także utwory dla dzieci. W 1992 roku napisał cykl kolęd pt. *Moje Betlejem* (muz. Jacek Zieliński, wyk. Skaldowie). W 1997 roku otrzymał roczną nagrodę Fundacji im. Alfreda Jurzykowskiego w dziedzinie literatury przyznawaną przez Polski Instytut Naukowy w Nowym Jorku. Opublikował zbiory poezji: *Narzędzia i instrumenty* (1978), *Oddech* (1979), *Powitania* (1983), *Odwołania z Suwalszczyzną* (1989), *Pozdrowienia* (1990), *Wiersze* (1995), *Elegia o weselu i radosne smutki* (1996), *Jej nigdy za późno* (2003), *Otwierasz wolno moje oczy: kantyczki* (2003), *Notatki pisane na skrawku ciemności o miłości* (2004), *Między* (2009), *Kartki na wodzie* (2013), a także kilka wyborów wierszy. W 75 rocznicę urodzin poety, ukazał się tom tekstów piosenek pt. *„Cała jesteś w skowronkach” i inne piosenki oraz pieśni z muzyką krakowskich kompozytorów* (2013). Jest autorem tekstów do kompozycji oratoryjnych Jana Kantego Pawluśkiewicza: *Przez tę ziemię przeszedł Pan* (2005) i *Radość miłosierdzia* (2009). Był dwukrotnym laureatem miasta Krakowa w dziedzinie kultury (1975 i 2012 – za całokształt twórczości). Został odznaczony (2013) przez MKiDN srebrnym medalem „Gloria Artis”.



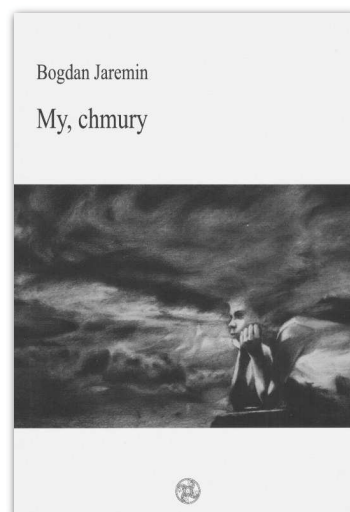
**Aleksandra Zińczuk** *Ja De*,  
Biblioteka „Toposu”, T. 153 Sopot 2017.

Autorka nadesłanego tomiku poezji, Aleksandra Zińczuk – ur. 1981 roku, pochodzi z Włodawy. Z wykształcenia literaturoznawca, teatrolog. Poetka, eseistka, działaczka społeczna, kuratorka wystaw i instalacji artystycznych. Spopularyzowała wiedzę na temat wieloetnicznego pogranicza Polesia oraz Ukraińców ratujących Polaków w czasie zbrodni wołyńskiej. W pracy społecznej i badawczej koncentruje się na wątkach rozliczenia z przeszłością oraz prowadzeniu działań na rzecz porozumienia w miejscach objętych konfliktem pamięci. Inicjuje projekty transgraniczne, ekspedycje badawcze, debaty publiczne. Debiutowała w 2000 roku na łamach lubelskich „Wiadomości Uniwersyteckich”. Od 2017 roku redaktor naczelna czasopisma internetowego [kulturaenter.pl](http://kulturaenter.pl).



**Bogdan Jaremin** *My, chmury*  
Biblioteka „Toposu”, T. 154 Sopot 2017

Bogdan Jaremin, ur. w 1942 roku we Lwowie, dzielił dramatyczne losy inteligentnych rodzin polskich osiadłych na Kresach. Aktualnie mieszkaniak i entuzjasta Gdyni oraz Kociewia. Członek SPP, lekarz, badacz i klinicysta, biegły sądowy, emerytowany profesor medycyny, były dyrektor Instytutu Medycyny Morskiej i Tropikalnej w Gdyni, redaktor naczelny i honorowy międzynarodowego medycznego czasopisma naukowego „International Maritime Health”, podróżnik, kajakarz i żeglarz. Debiutował w miesięczniku „Litera” w Gdańsku. Nominowany do Nagrody Literackiej im. Ks. Jana Twardowskiego za 2013 za tom *Tam i tu*. Autor kilkunastu zbiorów wierszy. Publikował wiersze, eseje i prozę w „Literach”, „Odrze”, „Zeszytach Literackich”, „Toposie”, „Gazecie Wyborczej”, „Latarni Morskiej” i innych czasopismach, występował w audycjach w PR.





Anna Lorenc

# W stronę centrum

(2014–2016)



**Anna Lorenc**, absolwentka kierunku Projektowanie Graficzne na Akademii Sztuk Pięknych w Katowicach; pracę dyplomową wykonała w Pracowni Fotografii prof. Waldemara Jamy (2005). Stypendystka Województwa Śląskiego (2002) i Marszałka Województwa Śląskiego w dziedzinie kultury (2007). W latach 2014–2016 prowadziła badania dotyczące strategii reprezentacji krajobrazu aglomeracji górnośląskiej w fotografii artystycznej (obejmujące okres od lat 70. XX w. do roku 2016). Interesują ją zagadnienia obrazowania krajobrazu zurbanizowanego i architektury w obszarze fotograficznego dokumentu subiektywnego oraz zagadnienia (artystyczne i techniczne) fotografii obiektów w ruchu. Od 2009 r. prowadzi zajęcia z Techniki Fotografowania oraz Fotografii na kierunku wzornictwo w Akademii Sztuk Pięknych w Katowicach.

Teren aglomeracji górnośląskiej jest pełen wizualnych kontrastów. Na krajobraz kulturowy konurbacji składa się zarówno jego postindustrialne dziedzictwo, w szerokim wymiarze poddawane procesom degradacji i destrukcji, jak i – w przypadku wybranych budowli i terenów poprzemysłowych – stanowiące przykład podjętych działań restauracji i rewitalizacji, a także architektoniczna i urbanistyczna specyfika przestrzeni miejskiej, kształtowana w nierównomierny sposób w różnych częściach konurbacji.

Procesy transformacji przestrzeni architektonicznej silnie uwydatniły się w ostatnich latach w śródmiejskim obszarze Katowic wpływając na istniejący dotychczas charakter centrum miasta. Nie tylko „obraz centrum” (w wizualnym sensie) uległ zmianie, zmieniła się też do pewnego stopnia jego funkcja – w programie zmian zakładano wzrost znaczenia kultury i sztuki oraz nowoczesnych technologii komunikacji w obszarze centralnym. Transformacja centralnej przestrzeni publicznej dokonywała się także w innych miastach regionu; przykładem bezpośredniego wpływu na krajobraz miejski była budowa odcinka Drogowej Trasy Średnicowej przebiegającego przez centrum Gliwic. Podobnej transformacji podlegały liczne miejsca realizacji inwestycji w zakresie budownictwa mieszkalnego, jak np. teren budowy Osiedla Książęcego w katowickiej dzielnicy Ligota.

Charakter krajobrazu aglomeracji kształtują także inwestycje w obiekty użyteczności publicznej, jak ukończona budowa stadionu Arena Zabrze, czy wieloletnia modernizacja Stadionu Śląskiego. Likwidacja niektórych obiektów architektonicznych pozostawiła puste miejsca w miejskiej tkance. Teren zajmowany niegdyś przez zrujnowaną, wyburzoną cynkownię w Katowicach Wełnowcu nie został do tej pory zagospodarowany, podobnie jak przestrzeń pozostała po likwidacji zabytkowej bytomskiej kamienicy przy ul. Chorzowskiej.

Co uderzające w przestrzeni aglomeracji, to obecność miejsc o wizualnej specyfice peryferii, lecz znajdujących się na obszarze największych miast aglomeracji, w niedalekiej odległości od centrów miast czy ich śródmiejskich dzielnic. Godny uwagi jest fakt, że te „peryferia w centrum” nader często można spotkać w centralnych obszarach miast (Chorzowa, Gliwice, Katowice).

Istnieje koncepcja, w myśl której procesy kształtowania się metropolii (metropolizacji) sprawiają, że ich centra rozwijają się kosztem peryferii. Proces ten można w pewnym stopniu zaobserwować w aglomeracji górnośląskiej – znajduje on odbicie w wizualnej przestrzeni miast. Zjawisko to jest dostrzegalne między innymi w postaci postępujących procesów degradacji przestrzeni peryferyjnych.

W fotograficznych przedstawieniach krajobrazu – podlegającego współcześnie procesom radykalnych niekiedy przekształceń, postępującym zmianom urbanizacyjnym, poddawanego procesom degradacji i rewitalizacji – tkwi opowieść o człowieku i uwarunkowaniach jego życia, na które wpływa specyfika miejsca bytowania. ■



## „Przestrzenne” konceptje tożsamości

Opowieść o obecnym statusie przestrzeni można by rozpocząć następująco:

We współczesnym świecie przestrzeń w ogóle przestała być problemem. Pokonywanie olbrzymich dystansów i przekraczanie granic nigdy wcześniej nie było tak proste, a przepływ informacji nie był tak szybki. Zygmunt Bauman w eseju *Globalizacja i co z tego dla ludzi wynika* pisze o „końcu geografii” i „zaniu przestrzeni”, które pociągają za sobą wielowymiarowe przekształcenia niemal wszystkich aspektów ludzkiej kondycji.

Ale uwagi na temat mogłyby rozpoznać się także w inny sposób:

We współczesnym świecie przestrzeń stała się olbrzymim problemem. Podróżowanie, surfowanie w sieci internetowej, wirtualne światy, natychmiastowy obieg informacji, podbój kosmosu powiększają, multiplikują nasz świat. Marc Augé w rozprawie *Nie-miejsca. Wprowadzenie do antropologii hipernowoczesności* pisze o „nadmiarze przestrzeni”, który stał się powszechnym doświadczeniem.

Niezależnie od tego, czy bardziej przekonujące wydają się tezy o zaniku czy o nadmiarze przestrzeni, czy uzna się przywołane stanowiska za sprzeczne, czy też za podobne w refleksji na temat tożsamości problematyczna przestrzeń (obok czasu) pozostaje istotnym czynnikiem.

W humanistyce po „zwrocie przestrzennym” podejmowane są zarówno próby reinterpretacji tradycyjnych koncepcji tożsamości opartych na przypisaniu do miejsca (urodzenia, zamieszkiwania), jak i w oparciu o kategorie spacialne formułowane są nowe ujęcia podmiotowości. Na przykład poszerzany jest stan badań na temat tożsamości regionalnej, a równolegle pojawiają się studia o tożsamości transgranicznej i koncepcjach samoidentyfikacji związanych z doświadczeniami nieprzynależności, migracji, nomadyzmu. Problemem lokalizowania podmiotu zajmuje się wielu badaczy (Małgorzata Czermińska, Ewa Rewers, Aleksandra Kunce i inni). Elżbieta Rybicka w pracy *Geopoetyka. Przestrzeń i miejsce we współczesnych teoriach i praktykach literackich* przybliżyła ustalenia Roberta Davida Sacka, który podjął próbę „przeformułowania dominującego w nowożytności i nowoczesnej refleksji ujęcia podmiotu jako *homo agent* – człowieka działającego w przestrzeni, podmiotu władającego środowiskiem”. W pracy z 1997 roku *Homo Geographicus. A Framework for Action, Awareness and Moral Concern* badacz odchodzi od mocnej wersji antropocentryzmu, pisze o podmiocie uzależnionym od środowiska geograficznego, przekształcającym ziemię, ale także podlegającym jej wpływom. Wskazany przez Sacka trop podjął Jacek Kaczmarek, uwzględniając

## O twórczości Michała Jagiełły

# Tożsamość i mitologia „człowieka gór”

ELŻBIETA DUTKA

kwestie wywiedzione z Heideggerowskiego bycia-w-świecie. W ujęciu polskiego geografa *homo geographicus* jest „bytem antynomicznym”, którego biografia w środowisku geograficznym jest wędrowaniem wzdłuż „osi egzystencji” i „osi poznawczej”. Kolejną koncepcją, wyeksponowaną przez Elżbietę Rybicką, jest *homo localis* – człowiek przywiązany do miejsca lub miejsc, który uświadamia sobie własne istnienie poprzez kontakt z miejscem. W ustaleniach Mikołaja Madurowicza istotne jest utożsamienie się z miejscem, ale także utożsamienie miejsca jako własnego dopełnienia psychofizycznego i uzupełnienia aksjologicznego, personalizującego rzeczywistość. „Miejsce jest dla *homo localis* gwarantem integralności, w skali przestrzennej i czasowej (także biograficznej) oraz obiektem aktów hermeneutycznych, aksjologicznych, antropomorfizujących”.

### Tożsamość „ludzi gór”

W kontekście „przestrzennych” koncepcji tożsamości chciałabym zwrócić uwagę na szczególny przypadek, gdy podmiotowość jest określana w odniesieniu do specyficznego środowiska i wyjątkowej formacji krajobrazowej jaką są góry.

Liczne przykłady tego typu samoidentyfikacji można odnaleźć w piśmiennictwie o tematyce górskiej. Wawrzyniec Żuławski – ratownik, który zginął, ratując innych, w swoich wznawianych wielokrotnie *Wędrówkach alpejskich* pisze, o zmaganiach alpinisty z przyrodą hartujących jego ciało i wolę, ale i rozwijających poczucie wspólnoty ludzkiej, koleżeństwa, chęć niesienia pomocy

każdemu, kto jej potrzebuje. Podobne cechy tożsamości zbiorowej „ludzi gór” odnotowane zostały również przez innego alpinistę – Adama Bilczewskiego, który stwierdził: „wszystkich nas łączy pasja gór”. Równocześnie jednak członków wspomianej wspólnoty wyróżnia duży indywidualizm, skłonność do autorefleksji w obliczu świata wierchów. Koncepcję tożsamości budowanej na związku z górami, będącym formą samorealizacji, podążania własną „ścieżką góry” promuje poprzez swoją górską działalność i pisarstwo Wojciech Kurtyka.

Do koncepcji tożsamości, opartej na odniesieniach do wypiętrzonych przestrzeni z perspektywy filozoficznej odniosła się Antonina Sebesta w rozprawie *Etyka i ethos „ludzi gór”* (Zakopane 2014). Badaczka z Uniwersytetu Pedagogicznego w Krakowie rozpoczyna od próby zdefiniowania terminu „człowieka gór”, używanego od ponad stu lat w języku potocznym, piśmiennictwie, a także w mediach. Nie jest to zadanie łatwe ze względu na szeroki zakres znaczeniowy pojęcia, rozmycie kryteriów i różne użycia, także silnie nacechowane emocjonalnie. Przypisywana jest mu pewna podniosłość ze względu na przenoszenie wartości przypisywanych w kulturze gór (często związanym ze sferą *sacrum*) na tych, którzy je pokonują, zdobywają. Zatem oczekiwania etyczne wobec „ludzi gór” są wysokie – „wręcz na miarę szczytów”. Poczucie przynależności do elitarnego wspólnoty wiąże się z niebezpieczeństwem wpadnięcia w pułapkę narcyzmu, trudno ustrzec się przed patrzyeniem „z góry” na rzeszę „zwykłych” turystów. W charakterystykach górskich osobowości dużo miejsca poświęca się ideom part-



nerstwa – „braterstwa liny”. Fundamentalny jest stosunek do wybranej przestrzeni, na ogół oznaczający troskę o góry. Z definiowaniem tożsamości w oparciu o doświadczanie przestrzeni górskiej związana jest zazwyczaj znajomość topografii. Jednak cechą chyba najistotniejszą jest prawie intymny związek z wypiętrzoną przestrzenią, będący rodzajem emocjonalnego uzależnienia, formą sublimacji, poszukiwaniem sensu własnej egzystencji, samorealizacją lub po prostu życiową pasją.

Antonina Sebesta zauważa, że w większości krajów alpejskich „ludźmi gór” określa się wąską grupę przewodników, ratowników i osoby prowadzące schroniska. W kulturze polskiej definicja „człowieka gór” obejmuje tych wszystkich, którzy na różne sposoby doświadczają gór. Ze względu na szeroki zakres takiej definicji, konieczne wydają się zabiegi typologizujące. Filozofka wyróżnia „ludzi gór” i „synów gór” (określenie Władysława Orkana). Do pierwszej grupy zalicza się osoby świadomie (zawodowo lub hobbystycznie) wiążące swoje życie z górami, do drugiej – górali, czyli osoby urodzone i mieszkające w górach. Sebesta dokonuje również rozróżnienia na „ludzi gór” (grupę sformalizowaną przez przynależność do organizacji alpinistycznych, ratowniczych, przewodnickich) i „miłośników gór” (rzeszę wytrawnych turystów górskich). Sebesta pisze także o „konsumentach górskich wrażeń”, czyli na przykład klientach komercyjnych wypraw. Badaczka zauważa, że zapewne nie istnieje jedna, zadowalająca wszystkich definicja „człowieka gór”, wylicza jednak wyznaczniki tego pojęcia, takie jak: forma działalności górskiej, intensywność i trwałość kontaktu z górami, stopień ich znajomości, stopień samodzielności działań górskich, miejsce urodzenia i zamieszkania, związki typu zawodowego, twórczego, artystycznego i naukowego, bezinteresowne działania na rzecz gór i osób z nimi związanych lub w nich przebywających.

### Tożsamość i mitologia

„Człowiek gór” – to określenie często pada na kartach zbioru wspomnień zatytułowanego *Sztambuch Michała Jagiełły* (Kraków 2017), powtarzano je również podczas spotkania promującego tę książkę, które odbyło się w Bibliotece Śląskiej w Katowicach w dniu 1 lutego 2018 roku, w drugą rocznicę śmierci pisarza. Włodzimierz Kalicki „wpisując” się do „sztambucha”, przytoczył rozmowę,



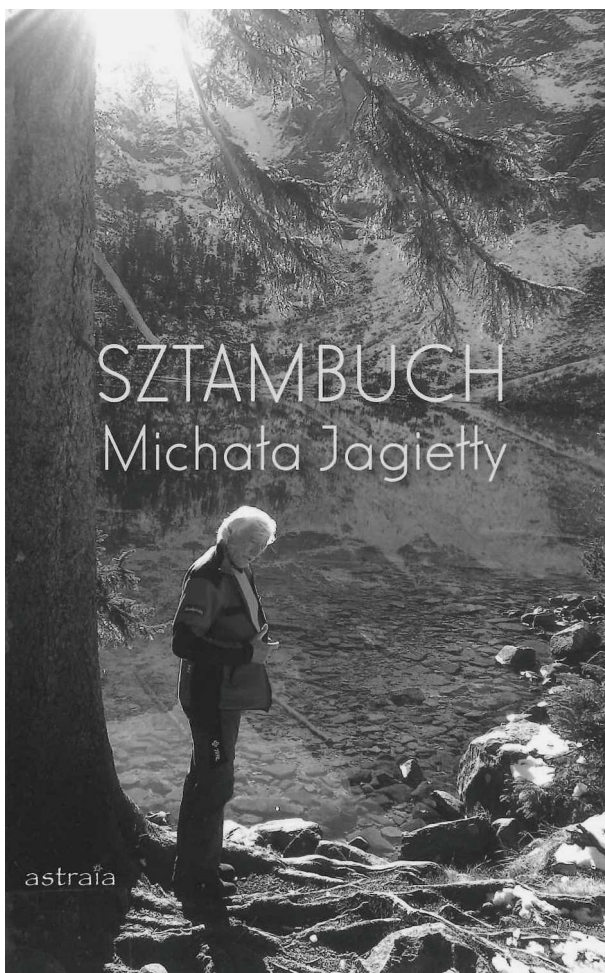
wę, podczas której usłyszał następującą samoidentyfikację bohatera tej publikacji: „Człowiek gór, człowiek kultury, chłopski syn”. Podobną autocharakterystykę odnaleźć można we wstępie do zbioru opowiadań *Obsesja i inne góry*. Artysta nawiązując do kardynalnej zasady wspinaczki, pisze o swoich „trzech punktach podparcia”: zagrodzie, górach i słowie. Triada obejmuje kwestie związane z pochodzeniem (Michał Jagiełło urodził się w 1941 roku w podkrakowskiej wsi Janikowice), fascynacją skalnym światem (pisarz związał swoje życie z górami jako taternik, przewodnik i ratownik górski, w latach 1972–1974 naczelnik Grupy Tatrzańskiej GOPR) oraz wykształceniem, zainteresowaniami literackimi i własną twórczością (autor *Obsesji* ukończył polonistykę na Uniwersytecie Jagiellońskim, w jego dorobku jest zarówno proza jak i tomiki poetyckie). Wymienione elementy są obecne w poezji Michała Jagiełły, pisze o nich Ewa Ogłóza w artykule zamieszczonym w tomie zbiorowym *Między sacrum i profanum. Rozważania i dylematy*. Pragnę skoncentrować się na jednym z nich – na górach jako punkcie odniesienia dla poszukiwań tożsamościowych.

Autokomentarz Michała Jagiełły do własnej twórczości można odnaleźć także we wstępie do *Wołania w górach* (pierwsze wydanie tej kroniki wypadków w Tatrach i osobistego eseju o ratownictwie i „życiu górskim” zarazem ukaza-

ło się w 1979 roku, ósme – w 2012). Taternik wyznaje, że pisząc czerpał „pełnymi garściami” ze swojego „zanurzenia się w świat gór”, ale dodaje, że materiał biograficzny został przetworzony i „owinięty w prywatną mitologię”. Ratownik utożsamia się z postrzępioną przestrzenią, uznając ją za „swoją” („moje góry”). W przywoływanych wcześniej uwagach o „trzech punktach podparcia” pisarz operuje wąską definicją „człowieka gór”, wyjaśniając, że bohaterowie opowiadań zgromadzonych w tomie *Obsesja i inne góry* są alpinistami, himalaistami, ratownikami. W tych utworach dostrzec można tendencje demaskatorskie i ideę „odbrazowania” alpinizmu. Podczas lektury *Wołania w górach*, innych opowiadań, a zwłaszcza wierszy Jagiełły wąska definicja „człowieka gór” okazuje się niewystarczająca. Własne obserwacje i doświadczenia stają się w twórczości autora *Trójkątnej turni* punktem wyjścia do narracji tożsamościowej i refleksji bardziej ogólnych na temat tożsamości kształtowanej w relacji do skalnego świata. Autor pracy o wypadkach i akcjach ratunkowych w Tatrach wzywa czytelników do „świadomego doznawania gór i świadomego poznawania siebie w górach”. W tym miejscu taternik nie stroni od wzniosłych tonów i mocno podkreśla formacyjny charakter doświadczenia postrzępionego krajobrazu. „Potrzeba bywania w górach” – podstawowy wyznacznik tożsamości „ludzi gór” ma charakter „wewnętrzny, duchowy, w niektórych przypadkach egzystencjalny”, jest „silną potrzebą poszukiwania wartości przez doświadczanie siebie w niecodziennych warunkach”. Istotne wydają się określenia stosowane przez Jagiełłę, takie jak: bywanie „w obliczu gór”, „przeżywanie gór”, „górskie życie”, podkreślają one znaczenie tej przestrzeni w procesach samoidentyfikacji. Upodmiotowione góry są już nie tylko miejscem etycznych wyborów, związanych na przykład z decyzją o niesieniu pomocy mimo niebezpieczeństw, ale stają się także partnerem, aktorem w tym samym dramacie. „Człowiek gór” w świetle utworów Jagiełły to „osobowość artystyczna”. Każda postać aktywności górskiej, począwszy od spacerów i „pasienia” oczu panoramą z Rusinowej Polany, przez turystykę po alpinizm i ratownictwo to „forma kultury, a nawet jakiegoś rodzaju działalność twórcza”. „Ten, kto wchodzi w góry i od tego momentu jest scenarzystą, aktorem i reżyserem spektaklu pod tytułem: Jestem w górach” – pisze Jagiełło. W wierszach natomiast pojawiają się porównania muzyczne – wspinaczka partnerów związa-

nych liną jest ukazana jako „koncert na dwóch”. Istota przeżycia górskiego, obok kreacji, polega na trudnym do uchwycenia stopie „fizycznego z metafizycznym”, „biologii z duchowością”.

W sposób szczególny dylematy tożsamościowe „człowieka gór” wybrzmiewają w ostatnim, wydanym już po śmierci poety tomie – *Pusta drabina* (Warszawa 2016). Wiążą się one wyraźnie z rozrachunkiem z samym sobą, pytaniem o sens i cenę dokonywanych wyborów. Dostrzec je można nie tylko we wprost zadawanych sobie pytaniach: „Kim jestem? Gdzie idę?”, „A co ze mną”, w szukaniu „pnia siebie” pomiędzy „ja dzisiejszym” i „ja tamtym”. Znaczącym, choć nieoczywistym na pierwszy rzut oka, sposobem refleksyjnego działania na instancji podmiotu stają się poetyckie obrazy gór i doświadczeń związanych z wędrowkami bądź „sakramentem ratowania ludzi”. Zestawianie aktu pisania ze wspinaczką i stosowanie metaforyki związanej z postrzępionym krajobrazem oddają procesy zarówno analizowania, jak i nieustannego kształtowania siebie. Można tu mówić o swego rodzaju „tożsamości w odbiciu”. Skoncentrowany na górach podmiot „odbija się” od nich, efektem doświadczenia świata wierzchołków jest samoobserwacja i autoanaliza. Wspinaczkowa lina często jest zarazem liną (nitką) życia, bywa „liną codziennego heroicznego sensu – na uwięzi zwyczajnego życia”, wiążącą z innymi (rodziną, ukochaną osobą). „Człowiek gór” swoją egzystencję widzi w rytmie wspinania się i schodzenia: „I w górę. I w zjazd. Twarzą w twarz. Skalą i lodem”. Podmiot poszukuje siebie „w obliczu gór”, w tej przestrzeni jest „z własnego wyboru”. O zadamowaniu w „świecie wierzchołków” świadczy duża rola toponimii, zwłaszcza tatrzańskie nazwy są „smakowane” i poetycko „wygrywane” na różne sposoby. W ostatnim tomie jednak jest ich nieco mniej, niż w poprzednich zbiorach (*Goryczka, słodyczka, czas Opowieści; Ciało i pamięć; Zszywanie – w ucieczce*) oddaje to być może stopniowe oddalanie się od gór bezpośrednio doświadczanych podczas wędrowek i wymuszone wiekiem skoncentrowanie się na wierzchołkach wspomnianych. W hierarchii wartości „człowieka gór” wysoko ułożone zostało poczucie wolności, które daje świat wierzchołków, dlatego tak boleśnie odczuwane są ograniczenia związane ze wstępowaniem na „schyłkowy upłaz”. W wierszach z tomu *Pusta drabina* podmiot – mimo barier stawianych przez starzejące się ciało – afirmuje „górskie życie”, jest przekonany, że „w każdym skrawku tych gór może się schować



przed rozpaczą”. Górska przyroda jest w wierszach Michała Jagiełły partnerem, rozmówcą, pouczającym przewodnikiem: „Dziękuj losowi, Nie bądź zachłanny. To grzech/ Nie trać czasu. Poleruj Obdarowanie całym sobą”. Nawet znane miejsca są w wierszach tatarnika odkrywane na nowo i postrzegane jako „dar”, wzbudzają wdzięczność, tym większą, że coraz wyraźniejsza wydaje się świadomość końca wędrowki.

Synteza tożsamości i mitologii „człowieka gór” w późnej poezji Michała Jagiełły jest wiersz *Uważać na wykrzyknik!*:

Umiarkowane wyważone oszukiwane.  
Ja! (Uważać na wykrzyknik).  
Lęk na asekuracji.  
Osobowość artystyczna zwietrzała,  
skwaśniały nektar upartej niedojrzałości

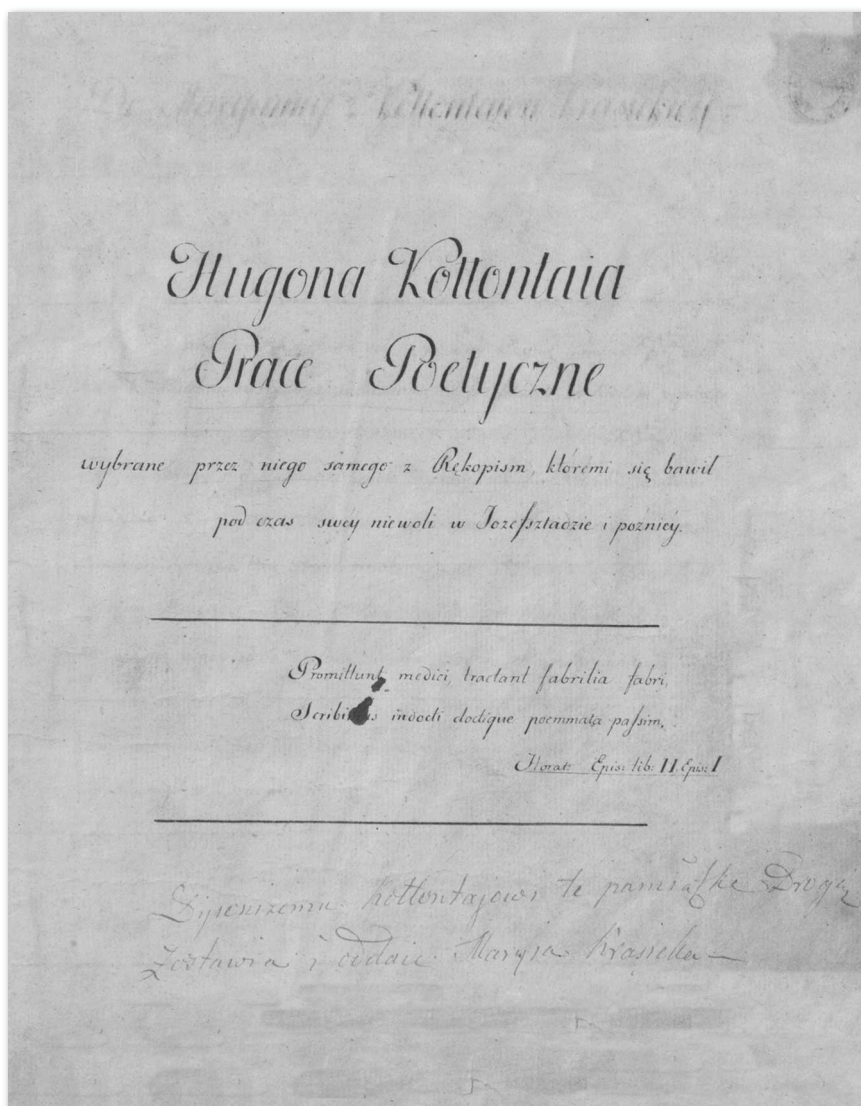
W dwóch pierwszych wersach dostrzegamy ślady procesów tożsamościowych. Utwór rozpoczyna się od wyliczenia określeń odnoszących się do „ja”. Lecz nie jest to charakterystyka, raczej widziałabym w enumeracyjnym toku zapis tożsamościowych złudzeń, samooszukiwań związanych z próbami ujęcia samoidentyfikacji w pewne ramy tak, żeby „ja” było „umiarkowane” i „wyważone”. Jednak owo „ja” zdaje się wymykać spod kontroli, emocje ujawniają się w postawionym po nim wykrzykniku. Wtrącenie w nawiasie jest zwrotem do „siebie”, upomnieniem „siebie”. W przejściu od „ja” do „siebie” właśnie

dostrzec można, tak charakterystyczne dla czasów obecnych, wątpliwości związane z podmiotowością opartą na stabilnych podstawach, skłaniające do postrzegania jej bardziej w kategoriach procesualnych czy narracyjnych. Tożsamościowe wahania i poszukiwania dokonują się w odniesieniu do przestrzeni górskiej, która jednak w liryku jest jedynie zamarkowana wersem o „lęku na asekuracji”. Zamiast opisu gór sygnalizowane są doznania cielesne i emocje na granicy świadomości. We wspomnianym lęku zawierać się mogą różne, nie tylko „górskie” rozterki czy pamięć o niepowodzeniach i błędach, o braku poczucia bezpieczeństwa. „Lęk na asekuracji” współbrzmi z autoironią, która dochodzi do głosu w ostatnich wierszach lapidarnego liryku. Dystans do własnych górskich dokonań, ale i do własnej twórczości („osobowość artystyczna zwietrzała”) wyróżnia wiersze Jagiełły na tle piśmiennictwa alpinistycznego. Poetycki dyskurs tożsamościowy nie został zwieńczony poczuciem dopełnienia „ja”, lecz kończy go uwaga o „upartej niedojrzałości”. W innych

utworach z tomu *Pusta drabina* „człowiek gór” przyznaje, że mimo wieku i bagażu doświadczeń nie opuszcza go „górska chcica”, że uległ „górskiej głupawce”, schodząc z bezpiecznego szlaku. Ironię dostrzec można także w wątkach autotematycznych, w wyrażaniu poczucia własnej artystycznej „niemoty” i wątpliwości, czy można w ogóle osiągnąć istoty górskiego przeżycia, czy nie jest ono jedynie przykrywane „sentymentalnym kożuchem obrazów” i „zużytych słów”.

Przestrzeń górską pozwala doświadczyć życia w esencjonalny sposób, ale to doświadczenie bywa „oplecione zwojami alpinistycznej mitologii”. Jednak to właśnie w takim odniesieniu i w taki sposób przebiega w poezji tatarnika proces samoidentyfikacji. Obejmuje on poszukiwania i złudzenia, krzyk i lęk, przechodzenie od „ja” do „siebie” i góry, które są bardziej w centrum, niż w tle. Nawiązując do tytułu wcześniejszego tomu tego autora: *Zszywanie – w ucieczce*, można stwierdzić, że w *Pustej drabinie* widoczne jest „zszywanie” siebie w ucieczce przed sobą samym („małym namolnym ja”) i przed tym, co nieuchronne. Choć proces scalania w takim kontekście jest dramatyczny, to jednak ukazany został z dystansem, ironią, humorem. „Goryczka” na równi ze „słodyczką” odsłania to, co w twórczości Michała Jagiełły okazuje się chyba najistotniejsze – afirmację gór i życia samego.





# Hugona Kołłątaja rękopis domowy

JAN MALICKI

„Będąc od 1919 r. samodzielnym introligatorem w Krakowie, oprawiałem w 1922 r. jednemu z moich klientów, bibliofilowi, stare druki i różne książki XVI i XVII wieku. Od tego klienta, którego nazwiska nie mogę sobie przypomnieć, otrzymałem za pracę i za jakąś dopłatą w 1922 albo 1923 r. rękopis H. Kołłątaja.

Przechowywałem ten rękopis z całym pietyzmem przez przeszło 10 lat, gdyż sam zawsze czułem się bibliofilem, czego dowodem może być m.in. mój udział w Zjeździe Bibliofilów w 1928 r. we Lwowie, gdzie jako członek Cechu Introligatorów Krakowskich, reprezentowałem ten cech, który był członkiem Towarzystwa Bibliofilów.

W 1932 r. założyłem warsztat introligatorski w Katowicach. Klientem moim był m.in. ówczesny Marszałek Sejmu Śląskiego – p. Konstanty Wolny. Jemu też w roku 1934 wręczyłem wspomniany rękopis jako dar dla ówczesnej Biblioteki Sejmu Śląskiego.

Antoni Dalewski  
mistrz introligatorski  
Katowice, 1.X.1958  
w Katowicach”

Jedynie tak zacząć należy niezwykle Jopowieść o losach jednego z ciekawszych rękopisów Biblioteki Śląskiej, do której trafił on dzięki kontaktom – a może nawet przyjaźni – dwóch niezwykle postaci: marszałka Sejmu Śląskiego Konstantego Wolnego oraz uznanego mistrza introligatorskiego, bibliofila Antoniego Dalewskiego. Można wręcz górnolotnie rzec: połączyła ich miłość do książek. Bo też tak zapewne było, mimo iż dzieliły ich przestrzenie, na których przyszło im działać. Marszałek zajmował się wszak skomplikowanymi, trudnymi, a często zawiłymi problemami autonomicznego województwa śląskiego. Wśród nich – a jakże – organizacją Wydziału Biblioteczno-Archiwalnego Biura Sejmu Śląskiego, po prostu: Biblioteką Sejmu Śląskiego, dbając o jej zbiory, a przez to atrakcyjność i funkcjonalność działań. Wszak głęboka znajomość prawa, historii i współczesności kreowała nowy kształt polskiej części Śląska, wciąż jednak w dialogu kulturowym z rzeczywistością po drugiej stronie granicy. Nieprzypadkowo więc właśnie w latach trzydziestych zintensyfikowano prace nad pozyskiwaniem i wzbogacaniem zasobów. Dość powiedzieć, iż jeszcze w 1930 roku księgozbiór liczył około 20 000 woluminów, sześć lat później – 86 475, dzięki bieżącym zakupom i antykwarycznym penetracjom poszukujących. Ze wszystkich kolekcji wówczas przejętych dwie zasługują na szczególną uwagę. Jedna to księgozbiór znanego i cenionego warszawskiego historyka i literata Aleksandra Kraushara. Druga – dar Zakładu Narodowego im. Ossolińskich we Lwowie i samego dyrektora Ludwika Bernackiego, zawierający księgozbiór po profesorze Oswaldzie Balzerze, wybitnym twórcy, historyku prawa, postaci o ugruntowanym autorytecie wśród znawców. Co ciekawe – poza zasobem przejętym – uderza charakterystyczna oprawa kolekcji, zawsze ujęta w ciemnozielony półskórek lub półpłótno, a każdy z tomów dodatkowo opatrzony był ekslibrisem: „Z księgozbioru Oswalda Balzera dar Zakładu Narodowego im. Ossolińskich we Lwowie”. Oprawy te wykonywał właśnie Antoni Dalewski. Traf chciał, iż po wielu dziesiątkach lat do zbiorów Biblioteki Śląskiej trafiła część kolekcji marszałka Konstantego Wolnego oprawiona niemal w identyczny sposób.

Dobry los więc sprawił, iż owa informacja zawarta w notatce z 1958 roku uwiarygodniona została w inny jeszcze sposób. I być może szacunek i dbałość o książki sprawiły, iż gdzieś pomiędzy 1932 a 1934 rokiem próg pracowni introligatorskiej w Katowicach, przy ul. Józefa Piłsudskiego 60 (dziś ul. Warszawska), przekroczył Konstanty Wolny. Zapewne wiedział, kim był właściciel. Wszak Antoni Dalewski

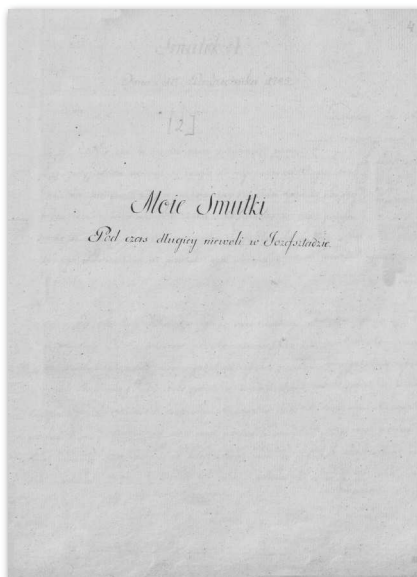


(1892–1961) był bowiem postacią znaną w Krakowie, gdzie już w 1906 roku rozpoczął swoją pracę, a przed przyjazdem do Katowic doszedł do godności podstarszego Cechu Introligatorów, skupiającego w królewskim mieście wszystkich parających się tym zawodem. Dodajmy: szlachetnym, bo chroniącym zbiory Jagiellonki, Czartoryskich, Akademii Umiejętności i licznych wydawnictw oraz poważanym, gdyż oprawy książek w zbiorach prywatnych świadczyły zawsze o poziomie kultury miestasca i jego gospodarzy.

Zapewne z tych też względów ów krakowski introligator zyskał sobie uznanie katowiczian. Już w cztery lata po osiedleniu się w naszym mieście wraz z Władysławem Włodkiem i Franciszkiem Szpandkowskim utworzył samodzielny cech, skupiający introligatorów z całego niemal ówczesnego województwa. Po wojnie zaś, w 1947 roku, zorganizuje w Katowicach Ogólnopolski Zjazd Introligatorów, z czasem zaś przekaze swój warsztat istniejącemu do dziś Technikum Poligraficznemu z Piotrowic, gdzie zresztą będzie uczył adeptów tej pięknej, nierzadko trudnej, acz kunsztownej sztuki zdobienia i ochrony książki.

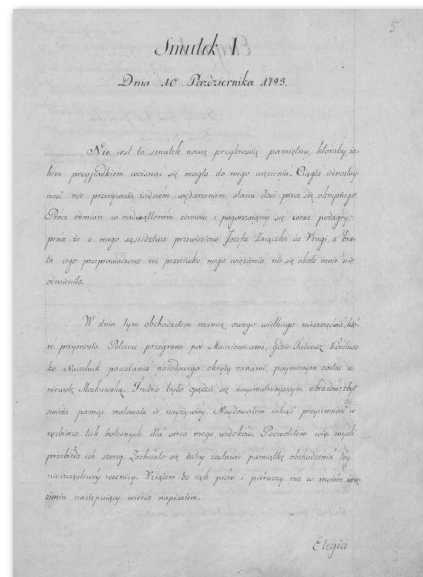
Zatem w 1934 roku, być może w warsztacie Antoniego Dalewskiego, ówczesny marszałek województwa śląskiego Konstanty Wolny otrzymał niezwykle cenny dar, przechowywany przez poprzednią dekadę w domu mistrza introligatorskiego. Ten prosił, by dar przeznaczony dla Biblioteki Sejmu Śląskiego. Darem tym były *Hugona Kołłątaja Prace poetyczne wybrane przez niego samego z rękopism, którymi się bawił podczas swej niewoli w Jozefsztaście i później*. Egzemplarz ten powstał „pod osobistą kontrolą autora dla jego bratanicy Marii z Kołłątajów Krasickiej”.

Już nazwisko autora wzbudza szacunek. Wszak Hugo Kołłątaj – jak pisze Mieczysław Klimowicz – „najwybitniejsza postać wśród działaczy i pisarzy polskiego oświecenia, reformator szkolnictwa, ideolog radykalnego odłamu stronnictwa patriotycznego, twórca słynnej Kuźnicy, wreszcie organizator i przywódca sprzysiężenia, które doprowadziło do Insurekcji Kościuszkowskiej, posądzony przez współczesnych o jakobinizm i nazywany polskim Robespierrem”. Łączył w sposób rzadko spotykany postawę aktywnego polityka z rozległymi zainteresowaniami naukowymi i literackimi, o czym świadczy jego bogata spuścizna, przyciągająca po dzień dzisiejszy uwagę przedstawicieli różnych dyscyplin historycznych” (M. Klimowicz: *Oświecenie*, Warszawa 1972, s. 333). Co ciekawe, wysoko cenione są nade wszystko rozprawy filozoficzne, choćby powstały mniej więcej w tym samym czasie co *Prace*



poetyczne traktat *Porządek fizyczno-moralny*, w którym Kołłątaj rozważać będzie m.in. problemy „praw przyrodzonych, którym podlega człowiek”, „wolności człowieka”, „równości przyrodzonej między ludźmi”.

Znacznie niżej – zdaniem historyków literatury – w hierarchii poczytna artystycznych stała jego twórczość literacka. W moim odczuciu bardzo zróżnicowana. Od tekstów niemal szkolnych po oryginalne wizje mieszczące się w kanonie poezji postanisławowskiej, bliskiej Janowi Pawłowi Woroniczowi. Ta rozpiętość – sięgająca z jednej strony klasycyzmu oświeceniowego, z drugiej zaś przedromantycznej wizyjności – sprawia ogromną trudność interpretatorom. Co ważniejsze, i sam autor, Hugo Kołłątaj, ma świadomość swoich ograniczeń i nie próbuje kreować się na wieszczę narodowego: „Každy – pisze – w tych pracach dostrzeże niezgrabności i widocznego niedostatku ognia imaginacji, która wiekiem i doświadczeniem oziębiona, nie mogła postąpić za uczucia mego nieszczęścia i niem jedynie zajęta była” (s. 2). Co więcej, tłumaczy się tym, iż poetą uczyniła go niewola, pobyt w 1795 roku w twierdzy Jozefsztaadt nieopodal Brna i w Ołomuńcu, gdzie przecież brak było książek. Z pewnym sarkazmem pisze, iż najobszerniejsze biblioteki posiadali jedynie piekarz i piwowar, a i tak przeważały w nich niemieckie romanse. Miał jednak ogromne szczęście lub poważanie wśród dowodzących twierdzą, gdyż sprowadzono specjalnie dla niego księgi z biblioteki praskiej. I tak czekając na dzieła Herodota, Tucydyesa i Diodora, „wyszedł na poetę, nie będąc wprawiony do tego rzemiosła” (s. 2). Zresztą charakterystyczną cechą piarstwa Kołłątajowego był swoisty autotematyzm, stałe komentowanie dopiero co powstałych tekstów, niezwykle skupienie na własnej osobie, podgrze i poczucia starości – mimo 45 lat – człowieka,



o „wieku już nachylonym”. Z całego dorobku powstałego w więzieniu Hugo Kołłątaj wybrał zapewne niewielką część. Pisze o tym we wstępie *Do Marianny z Kołłątajów Krasickiej*.

„Żądałaś Wpani mieć zbiór prac moich poetycznych, którymi bawiłem się pod czas mojej niewoli i później. Czynię zadosyć Jej życzeniom. Odzyskawszy pisma zostawione w Jozefsztaście, wybrałem z pomiędzy nich znośniejsze wiersze, które razem zebrane przesyłam. Najdziesz w tym zbiorze moje *Smutki*, moje *Hymny*, z kilku *Dawida Psalmów* przełożone, *Moje Różne Zabawy* w czasie niewoli lub później napisane. Najdziesz nareszcie trzy *Pieśni* niedokończzonego Poematu o cierpliwości pod tytułem: *Jobiada*. Mały ten zbiór dowiedzie, że jeżeli bawiłem się rzeczą, której nie odpowiada zdolność, byłem przynajmniej skromniejszy w wybuchaniu za granice mego talentu, i nie naśladowałem zbytkiem owych Poetów, którzy kilkadziesiąt tysięcy wierszów dla xięgarni i Bibliotek, lecz nie dla Czytelników przeznaczali”.

Ze wszystkich utworów, jakie znalazły się w rękopisie, bodaj najciekawsza jest *Jobiada. Poema o cierpliwości*, nawiązująca do jednego z częstych w kulturze dawnej motywów, wykorzystujących postać biblijnego Hioba, wielokrotnie ciężko doświadczanego przez Pana. Mimo to wiary i zaufania nigdy nie utracił. Jednak Hioba tu nie ma. Jest natomiast sejm piekielny, pełen rogatych, a bezpiecznych istot – z Lucyferem, Belzebubem i Asmodeuszem, który „wszystko wiernie opisze”. Sejm ma zadecydować, komu wydać wojnę – Bogu czy Jobowi (Hiobowi). Wybór pada na Joba.

Nie wiemy jednak, jak ów tekst przyjęła adresatka. Wiemy natomiast, że przekazała go i wpisała dedykację dla Dionizego Kołłątaja. I jak życzył sobie tego Hugo, zbiór ten pozostał „rękopisem domowym”. Do czasu.



*W Bibliotece Miejskiej w Cieszynie odbywały się warsztaty dotyczące nowych technologii – projektowania 3D oraz warsztaty kodowania.*

# Kody QR, okulary VR, długopisy 3D – dla czytelnika w bibliotece?

RYSZARD LATUSEK

**B**iblioteki publiczne od pewnego czasu bkojarzone są nie tylko z literaturą i bardziej ogólnie – bogatą ofertą kulturalną, lecz także jako miejsce, w którym na dobre zdomowały się nowinki technologiczne. O ile początkowo informatyzacja dyktowana była potrzebą usprawnienia podstawowych procesów bibliotecznych – bardziej efektywne miało stać się gromadzenie, opracowanie, wyszukiwanie i udostępnianie zbiorów – o tyle z czasem spektrum wykorzystania technologii komputerowych zaczęło się znacząco poszerzać. Czytelnicy mogli więc dokonywać zamówień dokumentów zdalnie przez 24 godziny na dobę, w czytelnich bibliotek pojawiały się stanowiska komputerowe, których zastosowanie było różnorodne. Jednak wszystkie elementy technologicznego oblicza bibliotek stanowiły zaledwie namiastkę tego, co miało się wydarzyć wraz z wybuchem cyfrowej rewolucji, związanej z ogromnym wzrostem popytu i podaży na rynku urządzeń mobilnych.

Przekrój grup użytkowników bibliotek jest z kolei na tyle szeroki, że demonstruje także zróżnicowanie kompetencji i poziomu obycia ze sprzętem i oprogramowaniem. Wymaga to od bibliotekarza odpowiedniego przygotowania. Część z nich nie tylko doskonali swoje umiejętności w zakresie przekazywania wiedzy mniej zaawansowanym technologicznie grupom (np. seniorom), ale również stara się na bieżąco śledzić technologiczne nowinki, chociażby po to, by dzięki ich znajomości łatwiej dotrzeć do młodzieży.

W wielu bibliotekach nowoczesny sprzęt pozwala po prostu efektywniej realizować program kulturalno-edukacyjny. Lekcje biblioteczne coraz częściej prowadzone są z użyciem projektorów czy tablic multimedialnych.

Technika od lat służy również do promocji oferty oraz działań bibliotek. Czytelnicy już dawno przyzwyczaili się do tego, że o wydarzeniach w swoich ulubionych placówkach mogą się dowiedzieć z mediów społecznościowych. Z kolei kody QR już przed kilkoma laty były wykorzystywane do tego, aby popularyzować literaturę. Niektóre placówki w województwie śląskim rozwieszały (np. na przystankach autobusowych) plakaty z kodami, po których zeskanowaniu użytkownik mógł pobrać darmową książkę w wersji elektronicznej. Obecnie coraz więcej bibliotek umieszcza tego typu kody również na materiałach promocyjnych – plakatach informujących o imprezach bibliotecznych, ulotkach i folderach. Dzięki temu użytkownik, który zeskanuje kod za pomocą smartfona z odpowiednią aplikacją, zostaje przekierowany na właściwą stronę internetową, zawierającą więcej informacji na temat danego przedsięwzięcia. Niektóre biblioteki (np. Miejska Biblioteka Publiczna w Katowicach) posiadają kody specjalnie personalizowane (np. w środku kodu QR umieszczone jest logo biblioteki). Fotokody wykorzystywane są również w grach terenowych, w których organizowaniu ostatnimi czasy specjalizuje się wiele bibliotek.





Nowoczesne media – poza tym, że służą jako narzędzie (np. do promocji) – same w sobie stały się przedmiotem warsztatów prowadzonych przez bibliotekarzy. Kadra biblioteczna z jednej strony prowadzi działania na rzecz e-inkluzji, starając się, by pewne grupy (np. seniorzy) sprawniej poruszały się w obszarze nowinek techniki, z drugiej zaś szuka w technologiach wspólnego mianownika, dzięki któremu biblioteki mogłyby skupiać wokół siebie również grupy bardziej zaawansowanych użytkowników (np. uczniów czy studentów). Poza tym sferą, która wymaga pewnego zaangażowania bibliotekarzy, jest nie tyle nauczanie obsługi narzędzi, bo z tym młodzież bardzo często doskonale sobie radzi, ile wskazanie możliwości ich zastosowania oraz nakierowanie na te rozwiązania, które są bardziej wartościowe. Zauważyć można również, iż przykładowo problemy z wyszukiwaniem informacji w systemie bibliotecznym czy w ogóle w Internecie mają osoby w różnym wieku, oczekujące od interfejsów szybkości działania i maksymalnej prostoty znanej ze sklepów internetowych. Tutaj bibliotekarze mogą się wykazać, wskazując odpowiednie narzędzia wyszukiwawcze oraz sposoby ich wykorzystywania.

Nowe media to również dokumenty w postaci cyfrowej, które są dostępne lokalnie lub zdalnie. Dokumenty dostępne lokalnie to takie, które przechowywane są na nośnikach fizycznych (dyski, pamięć flash itd.) i które odtwarza się za pomocą różnych urządzeń. Z kolei zbiory o dostępie zdalnym to takie, do których odtworzenia używamy sieci komputerowej. Przykładem mogą tu być biblioteki cyfrowe (np. Śląska Biblioteka Cyfrowa), a także platformy z e-bookami. W tym drugim przypadku biblioteka nie posiada publikacji elektronicznych na własnych nośnikach, lecz wykupuje u dostawcy dostęp do serwisu internetowego. Będąc abonentem takiej usługi, dostarcza kody PIN swoim czy-

telnikom. Dzięki nim mogą oni logować się do platformy, by następnie skorzystać ze zbiorów elektronicznych. Do niedawna były to najczęściej publikacje przeznaczone dla studentów różnych kierunków oraz poradniki, a obecnie coraz częściej udostępniana jest również literatura piękna. Wraz z rozwojem technologii zaczęły pojawiać się urządzenia, za pomocą których można odtwarzać dokumenty. Kilka lat temu publikacje elektroniczne odtwarzane były głównie na komputerach, lecz dziś nikt nie dziwi w bibliotece sprzęt w postaci tabletów czy czytników e-booków. Przykładowo w Miejskiej Bibliotece Publicznej w Gliwicach w poprzednim roku z 26 czytelników skorzystało ponad 200 osób.

Wśród wymienianych przez biblioteki e-usług znajdują się również hot spoty. Jest to usługa bezpłatnego dostępu do bezprzewodowego Internetu. Niektóre biblioteki chwalać się także wirtualnym spacerem po instytucji lub wirtualną galerią, w której prezentowane są np. dokumenty życia społecznego. W placówkach bibliotecznych funkcjonują kluby kodowania, warsztaty robotyki, czasem pogotowie komputerowe dla seniorów.

Organizowane są również szkolenia z bezpieczeństwa w sieci, w których uczestniczą nawet uczniowie szkół podstawowych. Miejska Biblioteka Publiczna w Gliwicach w kwietniu brała udział w organizowaniu Targów Nowych Technologii Media Tent – Smart Life, podczas których prezentowane były innowacyjne produkty i usługi z dziedziny nauki. Pojawiły się tam m.in. interaktywne zabawki, urządzenia mobilne, aplikacje, drony, roboty, elektroniczne deskorolki i segwaye.

W ostatnich latach kontynuowano projekt „Tablety w Twojej bibliotece”, koordynowany przez Fundację Rozwoju Społeczeństwa Informacyjnego, w ramach którego biblioteki inspirowały użytkowników do twórczej pracy z tabletami. Dzięki tym urządzeniom zajęcia z dzieć-

mi nabrały zupełnie nowego charakteru. W celach edukacyjnych wykorzystywane są takie aplikacje, jak Google Earth czy Anatomy 3D. Przykładowo w Powiatowej i Miejskiej Bibliotece Publicznej im. Konstantego Prusa w Rybniku tablety wykorzystywane są do tworzenia „wizualnych audiobooków” – nagrywania bajek edukacyjnych i terapeutycznych, czytanych przez rybnickich seniorów i zilustrowanych wspólnie z dziećmi z placówki wsparcia rodzinnego. Miejska Biblioteka Publiczna w Katowicach opisuje funkcjonalność Elektronicznej Platformy Usług Administracji Publicznej (EPUAP). Serwis jest wykorzystywany przez pracowników biblioteki do komunikacji z urzędem oraz przez czytelników do kierowania zapytań związanych z funkcjonowaniem i usługami biblioteki. Poza tym w bibliotekach coraz częściej pojawiają się działania, podczas których wykorzystuje się okulary VR, długopisy 3D, a nawet piramidy holograficzne. W niektórych bibliotekach (np. w Miejskiej Bibliotece Publicznej Teodora Heneczka w Piekarach Śląskich) każdy może zobaczyć, w jaki sposób działają drukarki 3D. Z kolei w Bibliotece Miejskiej w Cieszynie organizowane są technologiczne wtorki. Odbywają się wtedy warsztaty, podczas których można nauczyć się na przykład projektowania w trzech wymiarach.

Chętnych do udziału w przedsięwzięciach związanych z użytkowaniem sprzętu i oprogramowania nie brakuje.

Biblioteki z kolei coraz częściej pełnią rolę podmiotu wspierającego różne grupy użytkowników podczas przyswajania nowości z rynku technologicznego. Dzięki temu osoby rozpoczynające przygodę z nowymi technologiami mogą liczyć na pomoc, zaś użytkownicy już dobrze z nimi zaznajomieni mogą realizować swoje technologiczne pasje i inspirować się wzajemnie w zakresie wykorzystywania różnych narzędzi. ■



Pod tytułem „Kodowanie w bibliotekach” odbywało się szkolenie w Bibliotece Publicznej Miasta i Gminy Łazy



# Rzęsiście, ancymonek i prażynka, czyli Mów do mnie pięknie

## Międzynarodowy Dzień Języka Ojczystego w Bibliotece Śląskiej

AGNIESZKA KOSMAŁA

**21** lutego został ustanowiony przez UNESCO Międzynarodowym Dniem Języka Ojczystego. Biblioteka Śląska już od kilku lat organizuje akcje językowe, angażujące wszystkich, dla których ojczysta mowa jest ważna. Przypomnijmy, że w poprzednich latach popularyzowaliśmy kulturę języka poprzez konkursy „Tere-fere, czyli „wata słowna”, „Słowa, które chcemy zapamiętać” czy „Ocalimy od zapomnienia”. W tym roku, chcąc uczcić to święto, zaprosiliśmy do wspólnej zabawy językowej – *Mów do mnie pięknie...*, w której nagrodami były książki z projektu Dyskusyjnych Klubów Książki.

Piękno mowy to nie tylko jej poprawność, unikanie wulgaryzmów czy zapożyczeń z języków obcych. Język tworzą słowa. Czy te, które uważamy za piękne, są tylko przyjemnym brzmieniem? A może odzwierciedlają też istotne idee lub postawy? Potoczny język często rezygnuje z elegancji na rzecz szybkości komunikacji, a przecież osoby pięknie się wysławiające od razu przykuwają naszą uwagę. Uczestnicy zabawy mieli więc za zadanie proponować słowa i zwroty językowe, które uważają za piękne, a na drugiej szali położyć słowa, których uroda jest kontrowersyjna. Nadesłane propozycje wyraźnie pokazują, że jesteśmy wrażliwi na piękno słów. Na szczególną uwagę zasługują także komentarze, uzasadniające w ciekawy sposób poszczególne wybory językowe.

W kategorii słów pięknych pierwsze miejsce przypadło propozycji Mateusza Dominika – „**rzęsiście**”. Tak oto umotywował on swój wybór: „Nominację uzasadniam skojarzeniem z wachlarzem rzęs, delikatnością, zwiewnością, choć przechadzanie się w rzęsistym deszczu obarczone jest sporym ryzykiem, zwłaszcza dla kobiecych rzęs, bo wiem chadzanie w deszczu może prowadzić do metamorfozy idealnego makijażu w przyszłowiową „pandę”, a tego kobiety bardzo nie lubią. Wiem to z obserwacji”.

Drugie miejsce zajął wyraz „**ancymonek**”, zgłoszony przez Macieja Sawczuka, a miejsce trzecie przypadło „**prażynce**”, którą wytypowała Barbara Pidanty.

Niepiękne słowa to druga kategoria naszej zabawy językowej, w której zwycięzcą okazał się czasownik „**szpanować**”, zaproponowany również przez Mateusza Dominika. W komentarzu autor zwrócił uwagę przede wszystkim na znaczenie słowa: „Tego na pewno bym nie chciał robić, być ekstrawaganckim jak najbardziej, ale szpanowaniu stanowczo mówię nie. Nadto szpanowanie wiąże się z dużym ryzykiem poniesienia obrażeń, bo kiedy tak będziemy szpanować, możemy pęknąć z dumy”.

Drugie miejsce to propozycja Macieja Sawczuka – „**flaki**”, a słowo „**flegma**” – wybór Barbary Pidanty – zajęło trzecią pozycję.

Różnorodność nadesłanych propozycji w akcji „Mów do mnie pięknie...” skłoniła nas także do przyznania wyróżnień.

Pierwszym wyróżnieniem uhonorowano Bibliotekę Zespołu Szkół Handlowych w Katowicach – za zaangażowanie. To cenne, gdy młode pokolenie wykazuje wrażliwość na piękno mowy. Naszą uwagę zwróciła też słowotwórcza propozycja Pawła Słonia – „**razemka**” / „**razemek**”, którą uczestnik konkursu opatrzył takim komentarzem: „Język polski nie nadążył za zmianami obyczajowymi – brakuje nam ładnego słowa na partnera, z którym pozostajemy w związku romantycznym, lecz niesformalizowanym. Konkubenci muszą mieszkają razem i najczęściej pojawiają się w kronikach kryminalnych, partnerzy są biznesowi, chłopaka mamy w gimnazjum, narzeczeni to już prawie małżeństwo. Kiedyś się z kimś chodziło, teraz się z kimś jest. Więc jak już jesteśmy z kimś, to kto to właściwie dla nas jest? Wychodząc naprzeciw temu oczekiwaniu, utworzono rzeczownik od wyrażenia „być razem”. Trzecie wyróżnione słowo – „**fidrygałki**” – zaproponowała Anna Grobarczyk.

Zamiarem towarzyszącą naszej wspólnej zabawie językowej było również stworzenie *Wirtualnego leksykonu pięknych słów*, który został opublikowany na stronie Biblioteki Śląskiej (w przyszłości poszerzającego się o nowe propozycje).

Do udziału w przedsięwzięciu Biblioteki Śląskiej już po raz kolejny włączył się Instytut Monitorowania Mediów. Wyniki zabawy posłużyły ekspertom z dziedziny medioznawstwa do opracowania raportu dotyczącego częstotliwości użycia w Internecie wybranych słów.

Z monitoringu Internetu i mediów społecznościowych wynika, że wszystkie trzy słowa uznane za najpiękniejsze ukazują się łącznie w około sześciuset publikacjach miesięcznie.

Zwycięzca akcji „Mów do mnie pięknie...” – „**rzęsiście**”, jak podaje raport Instytutu Monitorowania Mediów, to: „słowo używane przede wszystkim w kontekście okłasków, deszczu i łez. Takie zwroty służą najczęściej do opisu różnych wydarzeń, dlatego pojawiają się w dużej liczbie w artykułach publikowanych na portalach internetowych, w postach na Facebooku oraz na blogach” (Raport IMM<sup>1</sup>). Znajdziemy je więc w relacjach z wydarzeń sportowych, koncertów czy w utworach literackich zamieszczanych na blogach. Z bardziej oryginalnych kontekstów możemy wyróżnić – rzęsiste w połączeniu z kólkami z dymu, harmiderem, przemówieniem, nakładami finansowymi czy oświetleniem.

Z analizy słowa „**ancymonek**” przeprowadzonej przez Instytut Monitorowania Mediów wynika, że – mimo pięknego brzmienia – nie zawsze występuje ono w pozytywnym kontekście. Najczęściej określamy tak w piśmiennictwie sposób małe dzieci i zwierzęta, stąd obecność tego słowa w opisach zdjęć, na przykład na Instagramie czy Facebooku. Jednak pojawia się także ironiczne użycie. „Ancymonkiem” nazywamy czasem nielubianego polityka czy inną osobę, która nie wzbudza szczególnej sympatii (Raport IMM).



Infografika opracowana przez Instytut Monitorowania Mediów

„Prażynka” – trzecie piękne słowo, nazwa przekąski, pojawia się w internetowych publikacjach właśnie w kulinarnym kontekście. Amatorzy prażynek snują opowieści o egzotycznych, azjatyckich smakołykach, wymieniają przepisy na domowe przekąski bazujące na papierze ryżowym czy też wyrażają chęć ich zjedzenia (Raport IMM).

Instytut Monitorowania Mediów podjął się również analizy trzech niepięknych słów, wskazanych przez uczestników akcji: „szpanować”, „flaki” i „flegma”. Łącznie pojawiają się one w Internecie i mediach społecznościowych około czterech tysięcy razy miesięcznie, co daje sześciokrotnie więcej publikacji zawierających wyrażenia ocenione jako nieestetyczne niż tych przywołujących piękne słowa. Oczywiście użycie „flaków” w odniesieniu

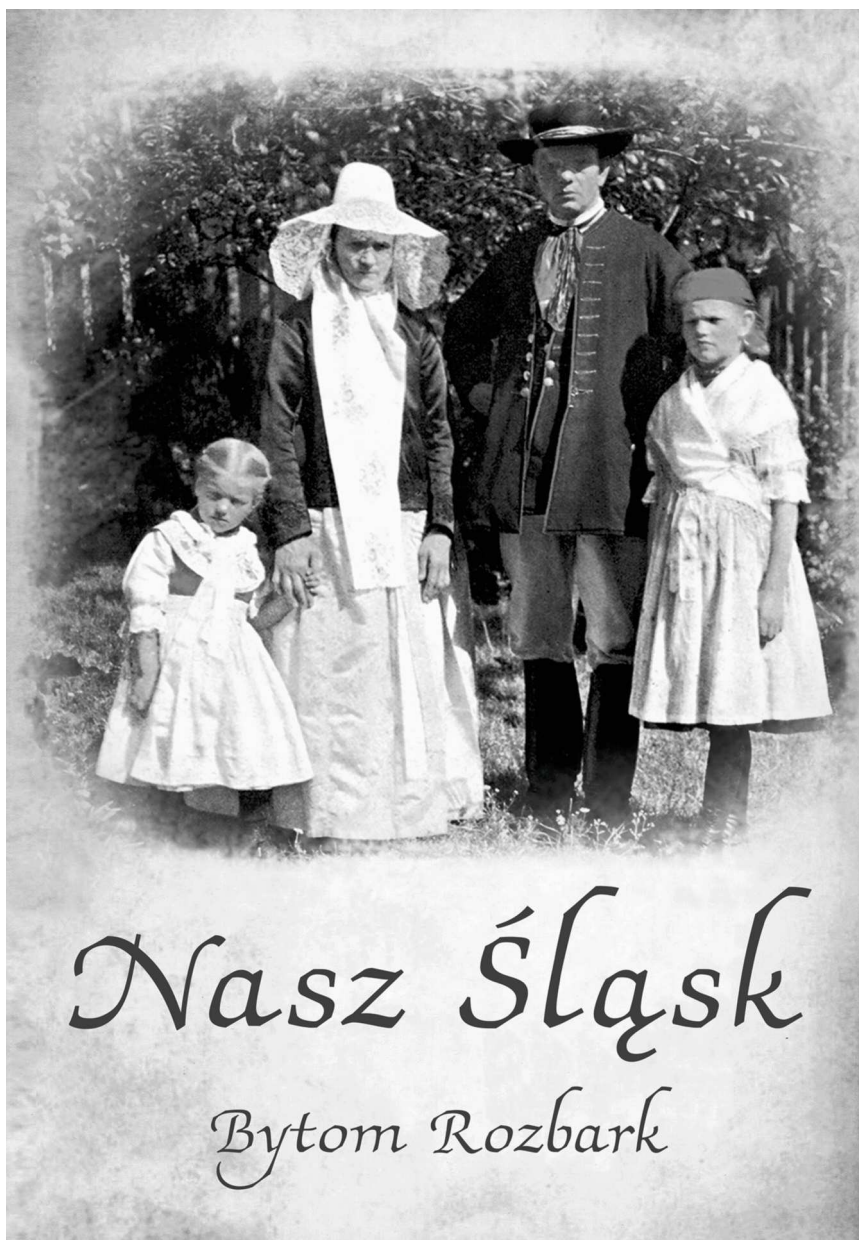
do kulinariów czy „flegmy” w medycznym słownictwie to zaledwie część powszechnego stosowania tych słów, bowiem w Internecie służą one też jako obelgi. „Szpanowanie” używane jest raczej w kontekstach negatywnych, „flaki” występują w związku frazeologicznym „flaki z olejem” jako określenie czegoś nudnego, a „flegma” służy do opisu negatywnej cechy charakteru. „Wszystkie te wyrażenia – jak zauważają autorzy Raportu Instytutu Monitorowania Mediów – często pojawiają się w publikacjach, będących częścią gorącej internetowej dyskusji, w komentarzach pod artykułami, na forach czy w wymianie twittów” (Raport IMM).

Akcja „Mów do mnie pięknie...” dzięki zaangażowaniu uczestników i niezwykłej popularności, jaką cieszyła się w mediach – także ogólnopolskich – do-

wiodła, że język ojczysty jest istotny dla wielu z nas. Tego rodzaju działania promocyjne przynoszą wymierne efekty – mają nie tylko walor zabawowy, ale także mogą być punktem wyjścia do opracowania publikacji popularyzującej kulturę języka – jak wspomniany *Wirtualny leksykon pięknych słów* – czy badań (czego przykładem jest Raport Instytutu Monitorowania Mediów).

<sup>1</sup> Raport Instytutu Monitorowania Mediów, opracowany na podstawie monitoringu Internetu i mediów społecznościowych pod kątem słów wyłonionych z ankiety Biblioteki Śląskiej: „rzesiście”, „ancymonek”, „prażynka”, „szpanować”, „flaki” i „flegma”. Dane obejmują okres od października 2017 do końca lutego 2018 roku.





# Nasz Śląsk

## Bytom Rozbark

# Kiedy Rozbark w duszy gra...

WIESŁAWA KONOPELSKA

**P**iotr Mankiewicz, dla którego Rozbark jest całym światem, zebrał fotografie i opowieści o tym dla niego świętym miejscu na ziemi i umieścił w niezwyklej książce – albumie. Od wielu lat kojarzony jako twórca Muzeum Chleba, które

ulożował w Radzionkowie – niegdyśszej dzielnicy Bytomia. Dziś jest to takie oczywiste, że jeśli ktoś chce poznać tajemiki śląskich wypieków, zobaczyć dawny wystrój wnętrza domu czy przedwojennej klasy, jedźcie do Radzionkowa. Tam

Piotr Mankiewicz we własnej osobie jest przewodnikiem, oprowadzającym i młodych, i dorosłych po swoim świecie – swoim Śląsku. Ileż trzeba mieć nie determinacji, nie uporu – chociaż pewnie to też, ale przede wszystkim miłości, by wymyślić, utrzymywać, dbać, rozwijać i upowszechniać historię ziemi najmilszej. Mankiewicz to postać niezwykła, nietuzinkowa. Pokazuje, że jeśli robi się to, co się kocha, nie potrzeba zabiegać o względy gminy, urzędników, o pieniądze, pracowników etatowych i to wszystko, bez czego nie funkcjonują dużo skromniejsze placówki gminne. A ileż tam życia, prawdziwości, pasji, wspomnień, zyczajności, życzliwości i troski o to, by nie zaprzepaścić klejnotów zrodzonych z tej ziemi – od prostych narzędzi rolniczych po wyjątkowe rozbarskie stroje, które nie tylko zdobią szafy i manekiny, ale są częścią codzienności.

Lecz Muzeum to tylko fragment działalności Piotra Mankiewicza – ciągle, przy pomocy finansowanych z własnej kieszeni wydawnictw upowszechnia najpiękniejsze karty historii rozbarskiej i radzionkowskiej ziemi. A to kalendarze, a to książki dla dzieci, a ostatnio piękny album *Nasz Śląsk*. Niezmiennie zachwycony tą krainą, ludźmi tu urodzonymi, rodzinami kultywującymi tradycję, ciągle marzy o zrealizowaniu nowych pomysłów, które pozwolą na zatrzymanie czasu w pędzącym współczesnym świecie. Mankiewicz nie chce, by jego Śląsk odszedł w niepamięć, albo pozostał tylko na pocztówkach czy kartach albumu. Cieszą go coroczne procesje Bożego Ciała, wielkanocne obrzędy i święcenie potraw, uroczystości w owianym wieloma legendami kościele św. Jacka, uroczystości rodzinne, podczas których czymś naturalnym jest zakładanie zarówno przez najmłodszych, jak i najstarszych dawnych strojów, których piękno ciągle zatyka dech w piersiach. Tak u Mankiewicza przeplata się historia z nowoczesnością, bo to że żyjemy w czasach wysokich technologii, w niczym nie przeszkadza, by zachować swoją rozbarską i radzionkowską duszę. To niezwykle, że Piotrowi Mankiewiczowi udaje się to od lat.

– Na moim ukochanym Rozbarku przeżyłem tu 70 szczęśliwych lat wśród przyjaznych sąsiadów. To przede wszystkim właśnie im, jak i mieszkańcom Śląska dedykuję tę książkę – powiada w swojej najnowszej książce Piotr Mankiewicz. W słowie wstępnym napisał: – Każdy, kto choć trochę zna Śląsk, wie jaki potrafi być zaskakująco piękny, że to nie tylko zanurzone w przeszłości szyby i kominy kopalń, czy ziejące ogniem czeluście hut, że to nie tylko nasze śląskie góry – hałdy, które już prawie zniknęły z najbliższych nam okolic i rozliczne, powstałe na piaskowych wyrobiskach stawiki. Trzeba zdać sobie sprawę, że obok szarego, przemysłowego krajo-



brazu, istniał zawsze, a nawet był tu najpierwszy – kiedy Śląsk był krainą rolniczą – krajobraz niezwykle kolorowy, mieniący się – zwłaszcza w odświętne dni – różnorodnością strojów, które napały dumą tutejszych mieszkańców. Jak mocno wpisały się w tradycję tego kawałka naszej śląskiej ziemi widać jeszcze dziś, chociaż to też już coraz rzadsze zjawisko. Najpiękniejszy z pięknych – strój rozbarski nosiły z dumą nasze prababki, babki i matki. Ale ta moja książka – *Nasz Śląsk* nie tylko o stroju opowiada. Chciałem zawrzeć w niej opowieść o umiłowania mojej małej ojczyzny, choć po prawdzie, to ona dla mnie jest największą, ale też pokazać młodym pokoleniom, że ich korzenie mają niezwykłą, czasem wręcz magiczną historię, że przekazywane wartości mają swoje źródło przede wszystkim w rodzinie, że wyrastają z szacunku, rozumienia oraz chęci utrwalenia naszej przeszłości dla przyszłości.

17 lat temu stworzył w Radzionkowie Muzeum Chleba – poświęcił je temu, co najważniejsze na co dzień, co było przez wieki czczone, stanowiło podstawę naszego bytu. Jeśli pojmujemy nasz śląski żywot jako chleb codzienny – powiada Mankiewicz – to podniesiemy z ziemi każdy okruszek naszej tożsamości.

Zarówno poprzez Muzeum, jak i przez wszystkie lata swojej działalności, także wydawniczej, stara się przekazać starszym i młodszym nie tylko mieszkańcom Śląska, ale także przyjezdnym, licznie odwiedzającym to miejsce, jaki naprawdę był i jest Śląsk.

Rzec więc można, że książka Mankiewicza powstała z potrzeby serca. Autor zgromadził w niej teksty znakomitych autorów, wśród których są Leszek Jodliński – dyrektor Muzeum Górnośląskiego w Bytomiu, Małgorzata Krakowiak – pracownik naukowy Uniwersytetu Śląskiego, Marcin Zasada – publicysta „Dziennika Zachodniego” i znany regionalista Marek Szołtysek, dodał wiele znakomych archiwalnych i współczesnych zdjęć, pokazał zbiór starych pocztówek i to jedno, najważniejsze zdjęcie, którego historia otwiera tę absolutnie wyjątkową księgę śląskości. Najważniejsza jest jednak długa lista tych, dzięki którym ta książka powstała: to krąg ludzi jemu podobnych, pojedynczych osób i całych rodzin – Spyrów, Mankiewiczów, Tokarzów, które nie tylko zaświadcza o prawdziwości słów autora, ale też wtórują mu w jego poczynaniach.

Na stronach albumu *Nasz Śląsk* Piotr Mankiewicz zdradza jeszcze jedno swoje marzenie: mieszkanie rozbarskie. Ma nawet lokalizację – to dom Spyrów przy znanej bytomskiej ulicy – Witeczka. I podobnie jak jego Muzeum Chleba, miałyby skupiać całe społeczeństwo, służyć edukacji, zwyczajnego codziennego gawędzenia przy kuchennym stole – ale po śląsku, w pięknej gwarze, jaką znali jego rodzice i dziadowie. Bo i o tę gwarę



Zwiedzający Muzeum Chleba w Radzionkowie Klaus Kroczeck rozpoznaje na zdjęciu z 1919 roku swoją mamę Otylię

upomina się Piotr Mankiewicz w swoim albumie. Pokazuje też, że w ramach tzw. regionalizmu – ale nie administracyjnego, tylko prawdziwego, autentycznego, można zrobić wiele dobrego, że nic tak nie cieszy, jak myśl o ciągłości historii, o tym, że chociaż czas przemija, to najważniejsze wartości pozostają i są niezmiennie. Na dowód tego dołącza do książki nowoczesny element – płytę DVD, na której utrwalone zostały *Rozbarskie podania* w reżyserii Mieczysława Szemalikowskiego.

*Nasz Śląsk* to niezwykle osobisty i emocjonalny zapis, ale – jak to u Piot-

ra Mankiewicza – podszyty edukacją, staniem o zachowanie tego co najcenniejsze. Bo cóż piękniejszego nad rozbarski strój widziany dziś na ulicach Bytomia?...

A jeśli dodać, że album jest rozdawany za „co łaska”, a zebrane pieniądze Piotr Mankiewicz przeznaczył na remont kościoła św. Jacka, któremu też poświęca spory kawałek tego wydawnictwa, to czyż można inaczej traktować takie zachowanie jak nie jako misję i posłannictwo, tak dziś nieczęste, albo wręcz jednostkowe i wyjątkowe?



Otylia Kroczeck z synami Jerzym i Klausem

# NOTATNIK KULTURALNY

Redagują:  
Anna Gaitoer  
Jan Picheta  
Joanna Kotkowska  
Janusz Ireneusz Wójcik

## Przekazanie insygniów rektorskich

**KATOWICE.** W 1950 roku powołano w Katowicach w miejsce likwidowanego Instytutu Pedagogicznego – Wyższą Szkołę Pedagogiczną z pełnią praw akademickich. 8 czerwca 1968 roku powstał Uniwersytet Śląski, jako dziewiąty uniwersytet w Polsce. 1 października 1968 roku w Hali Parkowej w Katowicach odbyła się uroczysta inauguracja pierwszego roku akademickiego w Alma Mater Silesiensis. W dniu 23 maja 2018 roku, w pięćdziesięciolecie powołania Uniwersytetu Śląskiego dyrektor Biblioteki Śląskiej, prof. zw. dr hab. Jan Malicki przekazał na ręce JM Rektora Uniwersytetu Śląskiego, przechowywane dotąd w Bibliotece Śląskiej oryginalne berło rektorskie ostatniego JM Rektora WSP (na zdjęciu).

## Protokół rozbieżności w Galerii Pustej Instytucji Kultury Katowice Miasto Ogrodów

**KATOWICE.** Wystawa zbiorowa fotografii studentów Pracowni Fotografii Akademii Sztuk Pięknych w Katowicach pod opieką merytoryczną Barbary Kubskiej i Piotra Muschalika. Z bilansu kolizji i dysonansów, konfliktów i rozczarowań, tarć, polaryzacji, zatargów czy przejawów odmienności, generuje się egzystencjalny niepokój. Niepokój jaki widzimy w otaczającym nas chaosie. Ten specyficzny dla każdego prezentowanego twórcy protokół rozbieżności, staje się początkiem opowieści o świecie. Kontekst wystawy należy rozpatrywać jako tezy powołane w formie fotograficznych obrazów. Tezy te zostały oparte o osobiste doświadczenia ich autorów i są efektem bądź chłodnej obserwacji świata i jego dogłębnej analizy, bądź wynikają z potrzeby „poskramiania swoich demonów”.

## Kielecka Szkoła Krajobrazu. Wystawa zbiorowa w Galerii Miasta Ogrodów

**KATOWICE.** Podczas wystawy zaprezentowanych zostanie pięćdziesiąt fotografii dwunastu autorów tworzących w wysublimowanej wizualnie stylistyce tzw. Kieleckiej Szkoły Krajobrazu oraz Edwarda Hartwiga – mistrza, który swoim wpływem był wzorem i inspiracją dla protoplasty grupy – Pawła Pierścińskiego. Znakomita większość prac to bardzo dobrze zachowane wystawowe odbitki żelatynowo-srebrne z lat 1960-79. Znajdziemy wśród nich mistrzowskie ujęcia wpisane w historię polskiej fotografii. Prezentowane fotografie stanowią starannie zbudowaną kolekcję atrakcyjną dla widzów – w pełni reprezentatywną dla tego tak ważnego dla polskiej fotografii zjawiska jakim była Kielecka Szkoła Krajobrazu, prezentującą dzieła dotychczas znajdujące się w domowych archiwach spadkobierców. Edward Hartwig, Paweł Pierściński oraz Andrzej Borys, Janusz Buczkowski, Wacław Cislowski, Jerzy Kamoda, Andrzej Łada, Jerzy Mąkowski, Andrzej Pęczalski, Jerzy Piątek, Jan Siudowski, Jerzy Soński, Jan Spałwan



## Truskaweczka. Wystawa Emilii Ateń Fałek w galerii Pojedynczej Instytucji Kultury Katowice Miasto Ogrodów

**KATOWICE.** Twórczość Emilii Fałek skupia się na badaniu i ilustrowaniu ludzkiego ciała, na odkrywaniu standardów piękna i ludzkiej seksualności. Inspiracje czerpie przede wszystkim z wizerunków Wenus z Willendorfu z okresu paleolitu, symbolu płodności, lub innych starożytnych rzeźb. Elementy te są często zmieszane z rudymmentarnymi fallicznymi symbolami inspirowanymi erotycznymi petroglifami, aby stworzyć napięcie, relację między strukturą ciała kobiety i mężczyzny. Stara się również zgłębiać podświadomość wykorzystując ludzką zdolność do rozpoznawania wzorców, w tym celu sięga po elementy tabu związane z cielesnością.

## Wystawa niezależnej włoskiej wytwórni płytowej Auand Records w Galerii Engram Instytucji Kultury Katowice Miasto Ogrodów

**KATOWICE.** Wytwórnia Auand Records została założona przez Marco Valente w 2001 roku we włoskim Bisceglie i jej działalność jest dedykowana artystom, którzy przekraczają granice gatunków, dodatkowo promuje najciekawsze i najnowsze projekty włoskiej sceny muzycznej i prezentuje je międzynarodowej publiczności.

Wielu artystów, których nazwiska pojawiają się w wytwórni to laureaci tytułu „Jazz Rising Star Of The Year” w tym, między innymi Gianluca Petrella (2001), Francesco Bearzatti (2003), Cuong Vu (2006), Giancarlo Tossani (2006), Roberto Cecchetto (2007), Matteo Bortone (2015) i Filippo Vignato (2016).

## Jazz Free Photo 2017. Wystawa zbiorowa w Galerii 5 Instytucji Kultury Katowice Miasto Ogrodów

**KATOWICE.** Wystawa jest efektem plenerowych działań 15 autorów podczas 47. Warsztatów Jazzowych w Chodzieży w 2017 roku. Wystawa fotografii i prac z zakresu mediów wizualnych uczestników ogólnopolskiego Pleneru Fotograficznego JAZZ FREE PHOTO 2017 realizowanego w ramach 47. Międzynarodowych warsztatów Jazzowych CHOJAZZ 2017 w Chodzieży w sierpniu 2017 roku. Zaproszenie na plener przyjęło 15-tu uznanych oraz rozpoczynających dopiero drogę twórczą autorów zajmujących się szeroko pojętą fotografią i mediami wizualnymi.

Wystawa zbiorowa: Wojciech Beszterda, Anna B. Gregorczyk, Tomasz Grzyb, Zofia Kawalec-Luszczewska, Włodzimierz Kowaliński, Katarzyna Kryńska, Zdzisław Mackiewicz, Krzysztof Madera, Jowita Bogna Mormul, Paweł Opaliński, Kacper Spek, Piotr Spek, Jalanta Rycerska, Magdalena Wdowicz-Wierzbowska, Andrzej Zygmuntowicz.



### **Katowice grają dla Aleppo.** Instytucja Kultury Katowice Miasto Ogrodów

**KATOWICE.** Śląskie Dzieciom Aleppo to akcja charytatywna od 1 do 3 czerwca, która ma pomóc w sfinansowaniu budowy Ośrodka dla dzieci w tym syryjskim mieście. Ośrodek ma powstać w pobliżu Klasztoru Franciszkańskiego. Kompleks obejmie plac zabaw, basen, budynek terapeutyczny. Do tego potrzebny też będzie autobus oraz urządzenia solarne do zasilania w energię elektryczną. W samym mieście Aleppo znajduje się około miliona dzieci, z czego jedna trzecia to sieroty. Katowiccy Franciszkanie, którzy koordynują akcję, potrzebują na ten cel 3,5 mln złotych. Wiele już udało się zebrać, ale do miliona dolarów wciąż jeszcze daleko.

W Dzień Dziecka w Mieście Ogrodów będzie czekać spektakl przygotowany przez Teatr Lalki i Aktora Ateneum. 2 czerwca to dzień muzyki. Do nocy będą dla nas grać m.in. VOŁOSI, Miuosh, Chwila Nieuwagi czy młode utalentowane zespoły z konkursu Dzielnica Brzmi Dobrze. Niedziela 3 czerwca będzie poświęcona badmintonowi. Plac Sejmu Śląskiego zamieni się w wielki kort, gdzie rozegra się Wielki Turniej Badmintonu z udziałem amatorskich i zawodowych grup sportowych oraz znanych postaci związanych z regionem.

### **Wystawa Jerzy Wroński i przyjaciele.** BWA Galeria Sztuki Współczesnej

**KATOWICE.** Znaczenie Jerzego Wrońskiego dla sztuki na Śląsku, nie tylko przez własną twórczość, ale również przez aktywne i niezmiernie animowane życie artystyczne, przez pracę nauczycielską i organizacyjną jest nie do przecenienia.

Jerzy Wroński (1930–2016) był współzałożycielem nieformalnej artystycznej Grupy Nowohuckiej, powołanej z przyjaciółmi w latach 50., jeszcze podczas studiów w krakowskiej ASP. Na początku lat 60. został członkiem Grupy Krakowskiej, skupiającej plejadę najwybitniejszych artystów nurtu awangardowo-nowoczesnego w Krakowie i spoza Krakowa.

W latach 70. Jerzy Wroński rozpoczął swoją działalność na wydziale artystycznym Filii Uniwersytetu Śląskiego w Cieszynie, gdzie odkrył nową pasję – pracę nauczycielską. Jego działalność w Cieszynie nie ograniczała się jedynie do pracy pedagogicznej i dydaktycznej: Jerzy Wroński w latach 80. zorganizował Galerię Uniwersytecką, do której, m.in. w dużej części trafiały najciekawsze wystawy z galerii Grupy Krakowskiej – Krzysztoforów (których kształt i program wystaw w dużym stopniu był jego udziałem, jako wieloletniego prezesa Grupy Krakowskiej). Wraz z tymi wystawami, dzięki Jerzemu Wrońskiemu, przybywali do Cieszyna na spotkania i gościnne zajęcia ze studentami wybitni artyści.

Wystawa „Jerzy Wroński i przyjaciele” prezentuje owe konteksty i konstelacje, niekiedy w części nakładające się na siebie. Jest to krąg Grupy Nowohuckiej i niektórych artystów – członków Grupy Krakowskiej z generacji Jerzego Wrońskiego. W dużej reprezentacji – po raz pierwszy szerzej niż jedynie tzw. Grupa Cieszyńska (parokrotnie wystawiająca już wcześniej zespół z Jerzym Wrońskim) – pokazani są na wystawie jego uczniowie i studenci. Kontekst uniwersytecki dopełniają współpracownicy Jerzego Wrońskiego oraz, również tylko niektórzy, artyści goszczący w Galerii Uniwersyteckiej.

Osobny charakter na wystawie, aczkolwiek równoprawny artystycznie, ma najnowszy film kolekcjonera i dokumentalisty Grzegorza Schmidta pt. „Jerzy Wroński. Żywoty” (2017).

### **Mamo, Tato, chodźmy na koncert! Gdzie jest Reksio?** Silesia Instytucja Promocji i Upowszechniania Muzyki

**KATOWICE.** W Miejskim Domu Kultury „Bogucice-Zawodzie” „Gdzie jest Reksio?” to muzyczny spektakl Teatru Lalek Marka Żyły i Zespołu Etnos Ensemble – dla dzieci i nie tylko... Artyści zapraszają słuchaczy małych i dużych do odbycia niezwyklej podróży połączonej ze zwiedzaniem różnych regionów świata, a przewodniczką w trakcie wizyt po tych wielu tajemniczych i niezwykłych krainach będzie muzyka. Po co w ogóle ta podróż? Bo zaginął Reksio, nie wiadomo, czy uciekł, czy został porwany... Bohaterowie spektaklu grający na klawirze, akordeonie, wiolonczeli i kontrabasie pomagają rozwiązać tę zagadkę. Dzięki nim widzowie dowiadują się, co to jest dźwięk, struna, smyczek, stroik, jak zbudowane są poszczególne in-

strumenty. Poznają rytmy muzyki bałkańskiej, słowiańskiej, melodie żydowskie. Niezwykłego klimatu dopełnią elementy animacji dziecięcej, efekty świetlne i multimedialne. Warto dodać, że w tym roku zespół muzyków Etnos Ensemble został laureatem programu Ministra Kultury i Dziedzictwa Narodowego „Młoda Polska” i przygotowuje się do nagrania autorskiej płyty.

### **Metropolia. Wystawa fotografii.** Muzeum Historii Katowic

**KATOWICE.** Pomysł zorganizowania wystawy *Metropolia*, zaproponowany przez dyrektora Muzeum Historii Katowic, został chętnie podjęty przez fotografików naszego regionu. Artyści Śląskiego Okręgu ZPAF przystąpili zatem do utrwalenia na fotografii miejsc najciekawszych lub najbardziej charakterystycznych w każdej z 41 tworzących Związek miejscowości. Temat ciekawy i jakże aktualny, służący lepszemu zaprezentowaniu, a więc i poznaniu regionu, sąsiadujących ze sobą miast i wsi. Na ekspozycji zaprezentowano jedynie niewielką część bogatego materiału, swe prace zaprezentowało 11 fotografików: Antoni Kreis, Krzysztof Lisia, Arkadiusz Ławrywianiec, Beata Mendrek, Halina Morcinek, Kamil Myszkowski, Piotr Oleś, Krzysztof Paliński, Zbigniew Podsiadło, Krzysztof Szlapa, Janusz Wojcieszak.

### **„Śląsk” dla Niepodległej.** Zespół Pieśni i Tańca „Śląsk”

**ZABRZE.** Tuż przed majówką, 29 kwietnia w Domu Muzyki i Tańca w Zabrze, odbył się koncert dedykowany obchodom 100-lecia odzyskania niepodległości pt. „Śląsk” dla Niepodległej. Program, na który złożyły się pieśni patriotyczne i tańce narodowe, obejrzał komplet widzów zgromadzonych w sali koncertowej DMI T oraz telewizji TV Trwam, która na swojej antenie transmitowała koncert na żywo. Program rozpoczął „Mazurek Dąbrowskiego” nadając koncertowi uroczystego charakteru i wprowadzając publiczność w podniosłą atmosferę patriotycznego widowiska. Śląskim trojakiem na początku programu, Zespół zaakcentował z kolei przywiązanie do swojej Małej Ojczyzny – Śląska, na którym mieszka i tworzy już od 65 lat. Widzowie w Zabrze – a dzięki transmisji na żywo, także w całej Polsce – wysłuchali kolekcji najbardziej znanych i najpiękniejszych pieśni patriotycznych, które w narodowej tradycji towarzyszą uroczystościom państwowym, wojskowym oraz rocznicom najważniejszych wydarzeń historycznych. W programie przygotowanym przez „Śląsk” z okazji 100-lecia odzyskania niepodległości narodowo-patriotyczny charakter programu doskonale uzupełniły tańce w wykonaniu baletu Zespołu „Śląsk”. Choreografie Elwiry Kamińskiej (trojak, kujawiak, krakowiak) i Władysława Stefanika (mazur) do opracowań muzycznych Stanisława Hadyny oraz polonez w choreografii Hanny Chojnackiej do muzyki Wojciecha Kilara, to wizytówka Zespołu „Śląsk”.

Popularne pieśni znane z wielu koncertów okolicznościowych, w wykonaniu solistów, chóru i orkiestry Zespołu „Śląsk” zachwyły nowym brzmieniem i niepowtarzalną maestrią wykonania. Publiczność odnalazła w programie m.in. polskie pieśni hymniczne, a także popularne pieśni wojenne, żołnierskie i partyzanckie. Wzbogaceniem pełnego emocji śpiewu były polskie tańce narodowe, w których widzowie mogli zobaczyć jak w zwierciadle nasz narodowy charakter: dumę, romantyczność, ale i żywiołowość pełną ludowego kolorytu. Koncertem w wykonaniu chóru, baletu i orkiestry Zespołu „Śląsk” dyrygował Krzysztof Dziewięcki.

### **Koncert jubileuszowy z okazji 65-lecia Zespołu:** „A to Polska właśnie”. Zespół Pieśni i Tańca „Śląsk”

**WIEDEŃ.** Świętując jubileusz „Śląsk” zawitał do stolicy Austrii, gdzie na scenie Akzent Theater w Wiedniu odbył się koncert z okazji 65-lecia Zespołu. Artyści chóru, baletu i orkiestry pod dyktando Krzysztofa Dziewięckiego przygotowali dla wiedeńskiej publiczności swój przebojowy program „A to Polska właśnie”.

Koncert w Wiedniu był elementem trasy koncertowej, jaką Zespół „Śląsk” odbywa w ramach jubileuszowego sezonu artystycz-



nego oraz z okazji obchodów 100-lecia Odzyskania Niepodległości. Wspaniałe układy choreograficzne, najpiękniejsze pieśni ludowe, wielobarwne kostiumy i niezwykła dynamika koncertu zachwyciły publiczność. Była to także niepowtarzalna okazja, aby zaprezentować piękno i różnorodność polskiej kultury Austriakom. To wyjątkowo cenne spotkanie, bowiem w historii Zespołu „Słask” to zaledwie ósma wizyta w tym kraju. Wśród gości honorowych na widowni zasiadł m.in. Konsul Generalny RP w Austrii, Aleksander Korybut-Woroniecki.

### Himalaje.

#### Teatr Śląski im. S. Wyspiańskiego

**KATOWICE.** Premiera spektaklu w reżyserii Roberta Talarczyka, który współtworzą m.in. Dariusz Kortko i Marcin Pietraszewski, autorzy głośnej biografii „*Kukuczka: opowieść o najsłynniejszym polskim himalaistcie*”. Co zrobisz, gdy na wysokości 8300 metrów nagle pęknie lina, która Cię utrzymywała? Przed Tobą kilka długich chwil samotnego lotu w pustkę – masz więc czas, żeby się zastanowić. Samotność to Twoja jedyna towarzyszka w tej podróży. A może zawsze była z Tobą tylko ona? Czternaście najwyższych gór świata, tzw. ośmiotysięczników. Korona Himalajów i Karakorum. Z każdą z nich związane są legendy, historie o euforycznych zwycięstwach, ale i bolesnych porażkach. Czy podejmiesz wyzwanie zdobycia ich wszystkich, mając świadomość, że każdemu osiągnięciu szczytu grozi ryzyko upadku? Ile poświęcisz, by osiągnąć cel? Jerzy Kukuczka, choć zdobył je wszystkie, zamiast odpoczywać w domu, postanowił powrócić w Himalaje i raz jeszcze zmierzyć się ze swoją pierwszą górą, Lhotse. Czy musiała to być jednocześnie jego ostatnia wyprawa? Czy przywróciło to równowagę świata? (cyt. Z Programu teatru)

### Czekając na Chopina.

#### Opera Śląska w Bytomiu

**BYTOM.** Spektakl teatralno-muzyczny odzwierciedlający nastroje salonowych spotkań muzycznych, gdzie nie brakuje zabaw z publicznością, wspólnego śpiewania. Bohaterkami są uczennice, które rozmawiają na temat mistrza, wymieniają uwagi i komentarze dotyczące jego metody pracy i kompozycji. Wykonują niektóre pieśni i piosenki, które Chopin skomponował specjalnie dla nich, podczas różnych sytuacji towarzyskich. George Sand analizuje kompozytorski kunszt utworów Chopina, a wzruszające wspomnienia Delfiny Potockiej są pretekstem do przedstawienia niektórych utworów mistrza fortepianu. Te nieznanne rysy postaci Fryderyka Chopina i jeszcze mniej znane utwory muzyczne tworzą szaradę muzyki, słowa, myśli i uczuć. Czy Chopin się pojawi? Może zostanie wywołany, może jednak dojedzie, może ktoś się za niego przebierze...

### Noc Muzeów

**KATOWICE.** Jak każdego poprzedniego roku ta realizowana od 10 lat propozycja zgromadziła w dniu 19 maja br. tłumy wielbicielei tajemnic historii i żądnych poznania skarbów przepastnych magazynów muzealnych. Bardzo cenna i udana inicjatywa.

### Kultura czy natura?

#### Narodowa Orkiestra Symfoniczna Polskiego Radia

**KATOWICE.** Czwarta edycja *Festiwalu Katowice Kultura czy Natura* odbyła się w dniach od 11 do 20 maja. Jak co roku program Festiwalu otwarty był na wszystkie epoki historyczne i gatunki. I jak co roku w Katowicach goszczono światowej klasy muzyków. Na dwóch koncertach Festiwalu można było usłyszeć słynną Tonhalle-Orchester Zürich i jej dyrektora artystycznego Lionela Bringuiera. Podczas niedzielnego koncertu orkiestrze towarzyszył jeden z najlepszych na świecie pianistów Leif Ove Andsnes. Na Festiwalu, wzorem poprzednich edycji, zagościła także muzyka kameralna. We wtorek 15 maja wystąpił, wymieniany wśród najważniejszych kwartetów, francuski Quatuor Ebène. Częścią Festiwalu są także dwa koncerty abonamentowe Narodowej Orkiestry

Symfonicznej Polskiego Radia pod batutą dyrektora artystycznego Festiwalu Alexandra Liebreicha. Ten drugi koncert był okazją do wysłuchania słynnego już *Requiem* Tigrana Mansuriana, którego nagranie dokonane przez Alexandra Liebreicha i kolejnych gości Festiwalu RIAS Kammerchor, było w tym roku m.in. nominowane do nagrody GRAMMY i zostało uhonorowane nagrodą International Classical Music Awards. W programie Festiwalu nie zabrakło także muzyki dawnej, reprezentowanej tym razem przez Orkiestrę Historyczną, której koncert uświetni wiolonczelista Jean-Guihen Queyras

### Odmiany wolności w życiu i twórczości Zofii Kossak.

#### Biblioteka Śląska

**KATOWICE.** Katolickie Stowarzyszenie „Civitas Christiana” Oddział Okręgowy w Opolu oraz Biblioteka Śląska w Katowicach była organizatorem konferencji poświęconej życiu i twórczości Zofii Kossak, zorganizowanej w związku z 50. rocznicą śmierci pisarki oraz obchodami 100-lecia odzyskania przez Polskę niepodległości. W trakcie konferencji starano się przybliżyć nietuzinkową biografię Zofii Kossak, jej życie i twórczość, których tłem była burzliwa historia Polski XX wieku. Wśród zaproszonych prelegentów byli m.in.: dr hab. Marek Białokur, dr hab. Katarzyna Tałuc, dr Beata Gdak, dr Joanna Jurgała-Jureczka, dr Marta Nadolna, dr Lucyna Sadzikowska. Patronat honorowy nad wydarzeniem objęli: JE ks. abp Wiktor Skworc, metropolita katowicki i Wojciech Saługa, marszałek województwa śląskiego.

### Spór wokół nowej wystawy stałej w Bloku nr 11.

#### Muzeum Auschwitz Birkenau

**OŚWIĘCIM.** Na 14 czerwca, w 78. rocznicę deportowania przez Niemców do obozu Auschwitz pierwszej grupy Polaków zaplanowano otwarcie nowej wystawy w bloku 11, która przybliży działalność obozowego ruchu oporu, w tym rtm. Witolda Pileckiego. Przeciwna lokalizacji nowej ekspozycji zaproponowanej przez dyrekcję Muzeum Auschwitz-Birkenau jest część rodzin ofiar obozu i historyków. Podkreślają, że powstanie ona kosztem istniejącej już w bloku 11, nazywanym też blokiem śmierci, wystawy poświęconej polskim więźniom z tzw. rejencji katowickiej, z których 95 proc. zostało skazanych na karę śmierci. Więźniowie polityjni, byli członkami ruchu oporu przeciw niemieckiemu okupantowi. Nowa wystawa może spowodować zniszczenie obecnej i zatarcie śladów po osobach tutaj więzionych. Rotmistrz Pilecki nie miał nic wspólnego z blokiem 11, a działalność obozowego ruchu oporu była tam marginalna. Wystawę o rotmistrzu Pileckim i konspiracji w obozie można zorganizować czasowo w bloku wystaw czasowych, tj. w bloku 12, na stałe urządzić taką ekspozycję w bloku 15, gdzie Pilecki był więziony. Rzecznik Muzeum przekonuje, że konstrukcja nowej wystawy w żaden sposób nie zaburzy autentyczności pomieszczeń w bloku 11. – Oryginalne napisy, które się tam znajdują, zostaną pieczołowicie zabezpieczone przez naszych konserwatorów, a w treści wystawy pojawi się informacja o tych wyjątkowych śladach, znajdujących się w tych pomieszczeniach, która wyjaśni ich historię (obszerny materiał dotyczący dramatycznych losów więźniów Bloku 11 zamieścimy w najbliższych numerach).

### Śląska Partia Regionalna zarejestrowana!

**KATOWICE/WARSZAWA.** Po 181 dniach od złożenia wniosku do Sądu Okręgowego w Warszawie Śląska Partia Regionalna została wpisana do ewidencji partii politycznych. To jedno z najdłuższych trwających postępowań w sprawie rejestracji partii w historii III Rzeczypospolitej. Wniosek o rejestrację SPR został wysłany 13 października 2017 roku, dołączono do niego 1300 podpisów osób popierających zgłoszenie partii, choć ustawa wymaga tylko 1000 podpisów. Pod koniec stycznia 2018 roku Sąd zobowiązał wnioskodawców do złożenia dodatkowej listy podpisów, które zostały wysłane miesiąc później. Warszawski Sąd pozytywnie zweryfikował losowo wybrane 200 podpisów i 12 kwietnia 2018 roku postanowił wpisać Śląską Partię Regionalną do ewidencji partii politycznych.



## Śląsko godka – już język czy jeszcze gwara? Regionalny Instytut Kultury

**KATOWICE.** W dekadę po pierwszym spotkaniu, rozpoczynającym m.in. prace nad kodyfikacją śląskiej grafii i ortografii, zorganizowana została druga konferencja, pod tytułem *Śląsko godka – już język czy jeszcze gwara?* Współpracując z Regionalnym Instytutem Kultury w Katowicach wraz z Wydziałem Filologicznym Uniwersytetu Śląskiego (Instytutem Języka Polskiego im. Ireny Bajerowej i Centrum Badań nad Kulturami Mniejszych) prof. dr hab. Jolanta Tambor zaprosiła do kontynuowania rozpoczętych 10 lat temu dyskusji oraz analizy postępu normatywizacji, aktywności środowisk naukowych i dorobku piśmienniczego Śląska. W dniu 27 kwietnia 2018 roku do siedziby Regionalnego Instytutu Kultury przy ulicy Teatralnej 4 w Katowicach o godzinie 13.00 zaproszono wszystkich, dla których język jest istotnym spoiwem regionalnych społeczności. Ludzi posługujących się śląszczyzną i tych, którzy ją badają. Twórców, którzy piszą po śląsku i osoby propagujące ich dorobek. Kontynuowano burzliwą dyskusję nad statusem, kondycją i ważnością godki.

## II Dni Tranströmerowskie Instytucja Kultury Katowice Miasto Ogrodów

**KATOWICE, KRAKÓW.** W dniach 7 i 8 kwietnia 2018 zorganizowano 2. Dni Tranströmerowskie. dwudniowe wydarzenie literacko-muzyczne w dwóch miastach kreatywnych UNESCO – Katowicach, Mieście Muzyki i Krakowie, Mieście Literatury. Tomasz Tranströmer, szwedzki poeta nagrodzony w 2011 Literacką Nagrodą Nobla był w Polsce wielokrotnie, m.in. jako gość Spotkań Poetów Wschodu i Zachodu, z których wyrósł Festiwal Miłosza. Po otrzymaniu Nagrody Nobla gościł w Polsce w 2012 roku z okazji wydania jego „*Wierszy i prozy 1954-2004*”. W 2014 otrzymał doktorat honoris causa Uniwersytetu Jagiellońskiego i Uniwersytetu Śląskiego. W Katowicach przed Biblioteką Śląską, w której występował, rośnie jego drzewo. Obok poezji, muzyka była bardzo ważnym elementem życia Tomasza Tranströmera. Grał na fortepianie i organach, po wylewie, sparaliżowany, kontynuował przygodę z muzyką grając sprawną lewą ręką – specjalnie dla niego pisano także nowe utwory.

Wśród gości Dni Tranströmerowskich znaleźli się m.in.: Adam Zagajewski, Justyna Bargielska, Ryszard Kosiński, i znakomici artyści: Maja Komorowska, Krzysztof Globisz, Jerzy Trela, Joanna Freszel oraz Royal String Quartet. Honorowym gościem Dni był Adam Zagajewski, laureat Nagrody Tomasza Tranströmera z 2000 r. Specjalnie z okazji Dni ukazał się tomik jego poezji pt. „*Nasze północne miasta*” w wyborze własnym Poety. W sobotę 7 kwietnia odbył się koncert pt. „*Muzyka słuchana z toba*” z udziałem Mai Komorowskiej, Joanny Freszel i Royal String Quartet, w sali koncertowej Miasta Ogrodów. W programie znalazła się muzyka Franza Schuberta, Ludwiga van Beethovena, Dymitra Szostakowicza oraz wiersze Adama Zagajewskiego. Krakowską odsłonę wydarzenia zwieńczył koncert pt. „*Nasze północne miasta*”, w Cricotece. W części poetyckiej prezentowano wiersze Tomasza Tranströmera i Adama Zagajewskiego w wykonaniu Mai Komorowskiej i Jerzego Treli. W części muzycznej zagrał Royal String Quartet. Gościem specjalnym Dni w Katowicach i Krakowie była Paula Tranströmer, córka Noblisty.

## O zbrodniach i społeczeństwie

**CZĘSTOCHOWA.** 4 kwietnia 2018 w OPK Gaude Mater odbyło się spotkanie z Adamem Regiewiczem, kulturoznawcą, badaczem średniowieczności, miłośnikiem kryminałów, autorem rozprawy *Pomiędzy zbrodniami* oraz powieści *Kamienica przy Antycznej*. Kilka lat wcześniej był współorganizatorem cyklu spotkań *Częstochowa do kryminału*, w czasie których autorzy wywodzący się z naszego miasta prezentowali swoje najnowsze książki z tego gatunku. Tym razem to on prezentował swoją powieść na tle współczesnych opowieści kryminalnych, polskich i europejskich, ich sposobów konstruowania świata, a także inspiracji czerpanych z rzeczywistości.



Fot. Marcin Szczygiel / ze zbiorów OPK Gaude Mater

XXX Jubileuszowy Plener Miejski  
*Architektura przemysłowa Częstochowy w interpretacji artystycznej*

Rozmowę prowadził Michał Wilk. Pytał o ulubionych pisarzy powieści detektywistycznych i kryminalnych oraz o naukowe poszukiwania. Okazało się, że ważną postacią dla Regiewicza jest Umberto Eco, autor *Imienia róży*, ale także wybitny semiotyk, zajmujący się między innymi literaturą popularną. Jedną z kluczowych dla współczesności postaci, ważnych toposów kultury, a także wzorem dla literaturoznawców stał się detektyw. Ślady, poszlaki, okruciny w połączeniu z pragnieniem całości i sensu wciąż zachęcają do codziennych aktywności, mimo tak typowego dla ponowoczesności sceptycyzmu.

## Piosenki mistrza

**CZĘSTOCHOWA.** Podczas 11. Festiwalu im. Kaliny Jędrusik w Częstochowie (organizowanego od 2008 roku) zabrzmiały piosenki zmarłego rok temu Wojciecha Młynarskiego. To już tradycja, by w ten sposób przypominać legendy polskiej piosenki, twórców oraz wykonawców, a piosenki Młynarskiego wciąż inspirowały. Zanim jednak zaśpiewali je uczestnicy konkursu usłyszeliśmy ich wybór w wykonaniu zespołu Młynarski Plays Młynarski. Gabie Kulce towarzyszyli: Jan Młynarski (perkusja), Piotr Zabrodzki (pianino akustyczne), Wojciech Traczyk (gitara basowa, kontrabas).

Następnego dnia (7 kwietnia) z twórczością mistrza zmierzyli się młodzi wokaliści i wokalistki. Cezurą nie był wiek, a debiut fonograficzny, choć wielu uczestników ma na swoim koncie sukcesy muzyczne. Jury w składzie: Jan Młynarski, Iwona Chołuj oraz Marian Florek, po wysłuchaniu prezentacji 10 uczestników przyznało Nagrodę Prezydenta Miasta Częstochowy Martynie Kasprzyckiej. Drugą nagrodę otrzymała Barbara Piotrowska, trzecią – Aleksandra Lechowska. Wyróżnienie Fundacji im. Wojciecha Młynarskiego wręczono Agnieszce Kacale. Laureaci wystąpili podczas finałowego koncertu. Wcześniej jednak zaśpiewał ubiegłoroczny zwycięzca – Piotr Zubek.

## Przypadek opanował miasto

**CZĘSTOCHOWA.** W kwietniu w wielu miejscach Częstochowy – w Miejskiej Galerii Sztuki, OPK Gaude Mater, galerii Instytutu Sztuk Pięknych, Pawilonie Wystawowym w parku im. Staszica, w Konduktorowni oraz Galerii 3 Kolory – przygotowano wystawy w ramach 4. Incident – Accident. Międzynarodowego Festiwalu Muzyki i Sztuki.

Pomysł spotkania narodził się przed laty podczas wernisażu w Palazzo Cecchini w Cordovado. Inicjatorami i organizatorami są Bartosz Frączek i Włodzimierz Karankiewicz. Od 2012 roku spotkanie odbywa się co trzy lata. O jego wzrastającej sile i popularności świadczy coraz większa przestrzeń wystawiennicza. W tym roku w wydarzeniu wzięło udział ponad 100 artystów z 20 krajów. To doskonała możliwość porównania kultury zachodniej (w tym przedstawicieli obu Ameryk) z kulturą Wschodu, reprezentowa-



ną przez uczestników z Chin, Korei Południowej, Nepalu, Malezji czy Indii.

W tym roku w organizację przedsięwzięcia włączył się także Instytut Muzyki AJD, który zaproponował cykl koncertów. Podczas wernisażu w Miejskiej Galerii Sztuki, 20 kwietnia, wystąpili: Robert Gawroński, Jakub Brawata, Maciej Zagórski i Barbara Karaszkiewicz, a także duet akordeonowy Amalgalis, czyli Ewa Grabowska-Lis oraz Daniel Lis.

### Przemysłowa przeszłość Częstochowy

**CZĘSTOCHOWA.** W Pawilonie Wystawowym w parku im. S. Staszica od 14 lutego można było oglądać efekty XXX Jubileuszowego Pleneru Miejskiego *Architektura przemysłowa Częstochowy w interpretacji artystycznej*. Wystawę przygotowało Muzeum Częstochowskie razem z ZPAP Oddziałem w Częstochowie. W plenerze wzięło udział 27 artystów z miejscowego oddziału oraz przyjaciele z oddziałów gliwicko-zabrzańskie oraz wrocławskie.

W tym roku tematem stała się przemysłowa tradycja miasta. Artysty utrwaliли miejscowe fabryki (Browar, Elanex, Wełnopol, Zapalczarnię), pałacyki i wille przemysłowców (Wilhelma Brassa, Bernarda Hantkego, Jeana Mottego), wybrane detale architektoniczne. Stworzyli też swego rodzaju syntezę przemysłowej Częstochowy (Lech Leddecki), a także portrety dawnych właścicieli (Aleksander A. Walberg Rafała J. Cierpiąła).

Artysty, dokumentując stan faktyczny dawnych przedsiębiorstw, jednocześnie komentowali współczesność. Ujawniały to już tytuły prac – cykl *Zamknięte* Marii Konopackiej, *Cisza* Jadwigi Wosik, albo wybrany element świata, np. kolorowy wykwit w pracy Grażyny Tarkowskiej *Na ścianie Wełnopolu*.

### Retrospektywa Sobockiego

**CZĘSTOCHOWA.** Do 15 kwietnia w Miejskiej Galerii Sztuki można było obejrzeć wystawę *Leszek Sobocki. Retrospektywa*, której kuratorkami były Barbara Major i Joanna Matyja. Pokazano około 300 prac częstochowianina, ironicznego komentatora rzeczywistości. Artysta reprezentuje nurt Nowej Figuracji, jest jednym z założycieli grupy WPROST (1966–1986), do której należeli także: Jacek Waltoś, Maciej Bieniasz, Zbysław Grzywacz oraz Barbara Skąpska, zaangażowany w działalność podziemia.

Na wystawie można było zobaczyć prace z kolejnych okresów twórczych. W bogatym zbiorze autoportretów Sobockiego za pomocą typowych gestów, ubioru upodabniał się do rozpoznawalnych postaci, by w ten sposób komentować współczesność. Pokazano także grafiki nawiązujące do najważniejszych wydarzeń narodu: II wojny światowej, kolejnych przełomów – 1968, 1970, działalności związku Solidarność, stanu wojennego, pontyfikatu Jana Pawła II czy śmierci ks. Jerzego Popiełuszki. Były także *Etykiety zastępcze* oraz *Znaki ostrzegawcze*. Z instalacji przedstawiono m.in. *Krzesełko bez właściwości* czy *Panoramę* (o wydarzeniach na Węgrzech 1956). Prace uzupełniono wypowiedziami artysty oraz tekstami krytycznymi.

### Krótko

■ Zagrali: Filharmonia Częstochowska – koncert *A to Polska własnie* z okazji 65-lecia Zespołu Pieśni i Tańca „Śląsk”, Dżem; OPK Gaude Mater – Paweł Łowicki; klub Rura – Lemon; Muzeum Monet i Medali Jana Pawła II – Martyna Jakubowicz (koncert *Zwycięzcy wódcęga* dedykowany Bobowi Dylanowi), Piotr Bukartyk; plac Biegańskiego – Mesajah.

■ Wystawiali: OPK Gaude Mater – Władysław Ratusiński; Muzeum Częstochowskie – *Rekin i baran* zdjęcia Marty i Adama Biernatów z podróży po Islandii.

■ 20 kwietnia spotkanie poetyckie z Mariuszem Kusionem w Bibliotece Publicznej im. W. Biegańskiego.

■ 20–21 kwietnia odbył się IV Częstochowski Festiwal Podróżniczy *Za horyzontem*.

■ 13 kwietnia w Galerii Dobrej Sztuki Agnieszka Mitry opowiadała o drzeworytach Stefana Mrożewskiego.



Times Square, Nowy Jork (luty 2015)

## TOMASZ MARKIEWKA

Fotografię traktuję jako podręczny notatnik z podróży – tych bliskich, i tych dalszych – który pozwala mi na uchwycenie chwili w jej niepowtarzalności. W miejscach, które utrwalam najczęściej szukam harmonii, skupienia i ciszy, nawet jeśli są one ukryte w chaosie wrażeń. Zdjęcia te stają się zatem bardziej narzędziem pamięci, drogą powrotu do emocji konkretnego miejsca i czasu, niż poszukiwaniem warsztatowej doskonałości. Tak rozumiem radość fotografowania.



Nerja, Andaluzja (maj 2014)

Dr Tomasz Markiewka jest literaturoznawcą i przekładoznawcą w Instytucie Neofilologii Akademii Techniczno-Humanistycznej w Bielsku-Białej.